POLSKA NAUKA BANKRUTUJE

NOWY STRÓŻ DOKTRYNY WIARY

CHIŃSKIE BAZY NA KUBIE

SZCZĘŚLIWI INDIANIE

Kraków 16 lipca 2023 nr 29 (3862)

cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Wypaleni władzą

Nowe badania opinii: PiS tonie we frustracji, a wyborcy czują gniew

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

Pierwsza biografia Magdaleny Abakanowicz

Porywającą opowieść o jednej z najwybitniejszych, a jednocześnie najbardziej tajemniczych polskich artystek

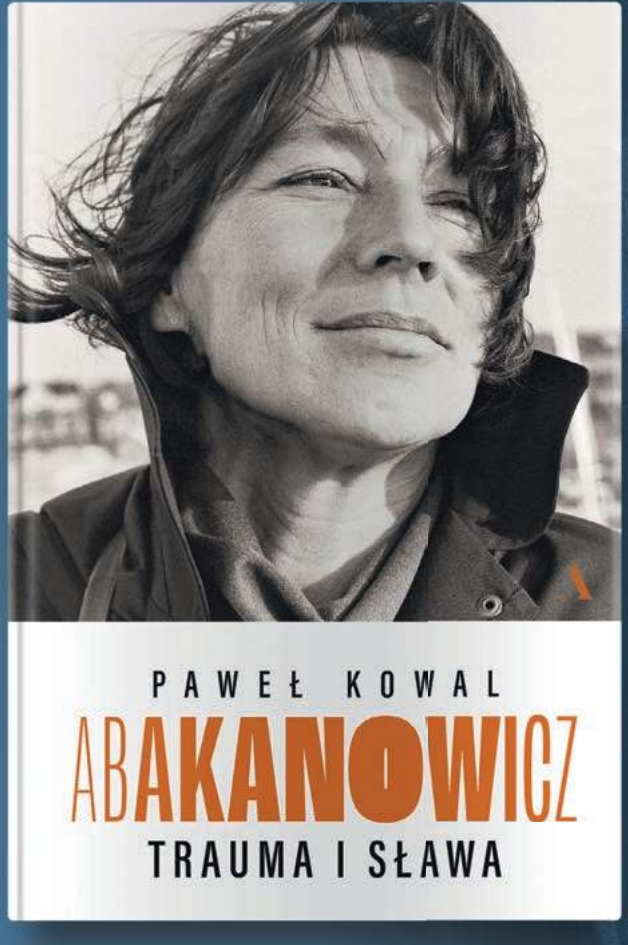

JUŻ W SPRZEDAŻY

Dobrze się stało, że pisania o Magdalenie Abakanowicz podjął się politolog, gdyż sięgnął do źródeł, które mógł pominąć historyk sztuki. Nikt, kto znał artystkę, nie zdziwi się, że ta pozycja wychodzi dopiero po jej śmierci; za życia by na nią nie pozwoliła.

Anda Rottenberg

Kowal doskonale uchwycił nie tylko istotę sztuki Abakanowicz, lecz także to, jak ona i moja matka ucieleśniały europejską historię.

Ian Brzezinski

Artystą się jest albo nie. Pośrednich form sztuka nie zna, gdyż dla cywilizacji nie jest to potrzebne. Warto poznać tę biografię, by lepiej zrozumieć Magdalenę Abakanowicz.

Leon Tarasewicz

Partner wydania: OKNOPLAST

ISP PAN

Wydawnictwo Agora

REKLAMA

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Nowy kardynał, nowy prefekt*

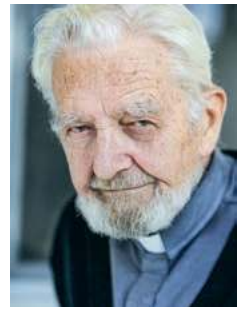

Grzegorz Ryś został kardynałem. Nie powiem, żebym się nie spodziewał. Ryś został kardynałem, bo jest żywcem wzięty z serca Kościoła, które chce rozruszać papież Franciszek. Radosnego w świętowaniu nadziei i miłości, poważnego w kwestiach ostatecznych, nie nadętego, cierpliwego w trosce o cierpiących i biednych, służebnego, bliskiego wielkich i skromnych źródeł wiary. Jest z Kościoła serdecznego, właśnie. Jako arcybiskup nie robi wokół siebie hałasu. Wiele się u niego dzieje, choć jego diecezja nie jest uważana ani za najnabożniejszą, ani za najgorliwszą. Jest w wielu sprawach nietypowy, jakiś taki „niebiskupi". Choć jego nominacja nie jest początkiem ani końcem żadnej epoki, to jest znakiem czasu.

A czy w Dykasterii – do niedawna Kongregacji – Nauki Wiary nadszedł koniec epoki? Nominacja nowego prefekta i list papieża do niego zdają się to sugerować. Dykasteria uporczywie przypominająca swą dawną nazwę (Świętego Oficjum), pełniąca rolę stróża ortodoksji – według wizji papieża Franciszka ma odejść do historii. W liście papieża czytamy, że teraz w jej pracy będzie chodziło o „wejście w dialog z aktualną sytuacją, która pod wieloma względami jest bezprecedensowa w dziejach ludzkości". Można się zastanawiać, czy to, o czym pisze papież, będzie możliwe, czy też nowy prefekt Dykasterii będzie raczej zmuszony do stanowczego *non possumus* w sytuacjach, gdy pod naciskiem aktualnych prądów myślowych nauka Jezusa Chrystusa będzie negowana albo zapominana. „Miejsce siedzenia", czyli miejsce, z którego się mówi, jest ważne. Inna jest miara dla biskupa lokalnego, inna dla kogoś, kto przemawia w imieniu Stolicy Apostolskiej. Widzieliśmy to na przykładzie choćby Josepha Ratzingera.

Papież Franciszek w liście do Víctora Manuela Fernándeza bardzo krytycznie pisze o dotychczasowej pracy Dykasterii, która polegała na narzucaniu wszystkim jednego sposobu wyrażania wiary. Tymczasem nikt nie wątpił – przynajmniej w naszych czasach – że „do wzrostu Kościoła mogą się przyczyniać różne kierunki myśli filozoficznej, teologicznej i duszpasterskiej". Kongregacja nieraz bywała nazbyt ostrożna w ocenianiu tych kierunków myślowych, bo przecież osoby borykające się za życia z zakazami kościelnymi bywały potem ogłaszane świętymi, a ich poglądom przywracano szacunek.

Nowy prefekt Dykasterii stanie przed zadaniami, które będą go zmuszały do decyzji ważnych dla wiary Kościoła. Niewątpliwie wiele jest do zrobienia w oczyszczeniu wiary z poglądów i praktyk mających z nią związek luźny lub żaden. Nic w tym zresztą nowego. Z drugiej strony jednak jest coś, co można nazwać „tożsamością chrześcijaństwa". Co pochodzi od Chrystusa, ale rozpisane jest na konkretne życiowe sytuacje wierzących. Dwa tysiące lat chrześcijaństwa jest faktem i trudno ten czas wykasować, potraktować jako niebyły. Kultura chrześcijańska jest w świecie zbyt głęboko osadzona, by można ją było anulować. Proces oczyszczania chrześcijaństwa z obłudy, faryzejskiego zakłamania, pozorów trwa i będzie postępował. Byłoby jednak kosztownym błędem rezygnowanie ze wszystkiego, co jest dorobkiem chrześcijaństwa. Ono nigdy nie będzie ściśle dopasowane do ludzkich pragnień, zawsze będzie wymagało od człowieka ofiary, dając w zamian wewnętrzny pokój i radość, jakiej „ten świat" dać nie może. Ale co tu pisać, abp Víctor Manuel Fernández doskonale to wszystko wie.

Wie o tym również nasz przyjaciel Grzegorz Ryś, któremu w imieniu całego „Tygodnika Powszechnego" składam najlepsze życzenia. Szczęść Boże na wszystko, co Cię teraz czeka, Grzegorzu. ©℗

22 Kultura wiecznej terapii
DOMINIKA TWOREK
Nigdy wcześniej nie martwiliśmy się tak bardzo o zdrowie psychiczne. Ze wszystkim można jednak przesadzić.

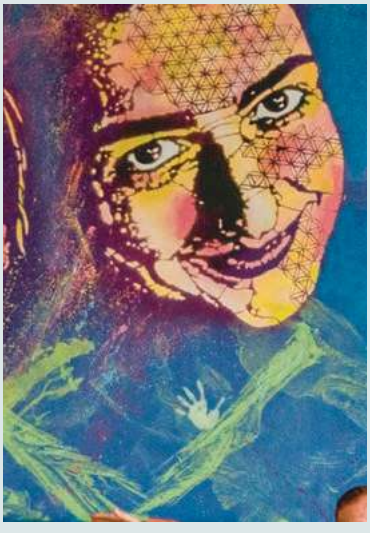

30 Zobaczcie, usłyszcie, poczujcie
Rozmowa SABINY JAKUBOWSKIEJ *z* JUSTYNĄ DĄBROWSKĄ *o polskim systemie szpitalnym, który zbyt często zmienia poród w traumę.*

46 Szkoła albo śmierć
MARCIN KĘDZIERSKI
Francja płonie, bo jej system edukacji przestał spełniać funkcje, do których był stworzony.

64 Pan Wrzątek
WOJCIECH ALBIŃSKI
Na spotkaniu autorskim spytano Sieńczyka, skąd wziął pomysł na opowieść o człowieku, który dla złagodzenia cierpienia kociąt chodził wokół nich, by pchły przeskoczyły na jego łydki.

60 Gdy chorują pszczoły
JUSTYNA KIERAT
W społeczności łatwiej o żywność i bezpieczeństwo, ale trudniej zachować higienę. Przynajmniej owadom.

78 Indiańskie lato
BARTOSZ CHLEBOWICZ
Czy opowieść o rdzennych mieszkańcach Ameryki Północnej może być pełna radości i czułości?

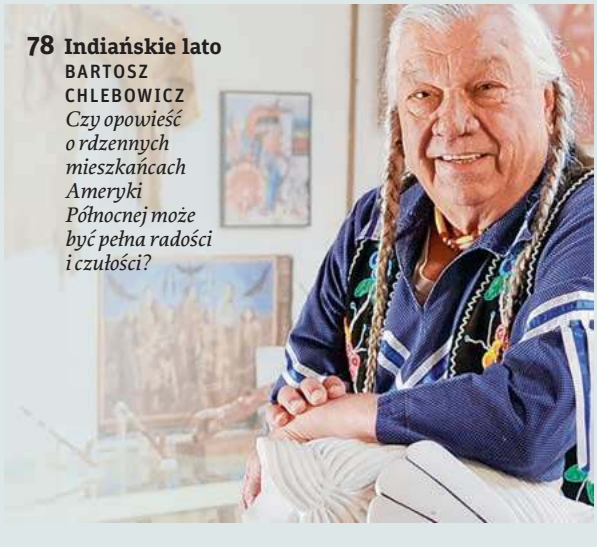

ANDY BARRON / AP / EAST NEWS // SORGE / BE&W // PHILIPPE LOPEZ / AFP / EAST NEWS

MARZENA WYSTRACH / REPORTER // IULIIA ISAIEVA / GETTY IMAGES // MACIEJ SIEŃCZYK //

6 Przyszłość jest gorąca
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Kultura wiecznej terapii
DOMINIKA TWOREK

26 Skrobanie dna
Rozmowa z prezesem PAN MARKIEM KONARZEWSKIM *o finansach polskiej nauki*

ROZMOWA

30 Zobaczcie, usłyszcie, poczujcie
Rozmawiają SABINA JAKUBOWSKA *i* JUSTYNA DĄBROWSKA

WIARA

36 Prefekt na nowe czasy
DOMA MATEJKO *o nowym szefie Dykasterii Nauki Wiary*

40 Bóg, bąki i dziecko
WACŁAW OSZAJCA: *Stwórca jest nieuchwytny. Ale nie dla poetów*

43 Sudoku i liturgia
MARCIN CHODUŃ *o Marii Kubin, pierwszej biskupce wśród starokatolików*

ŚWIAT

46 Szkoła albo śmierć
MARCIN KĘDZIERSKI

50 Hiszpański sposób na transplantacje
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Hiszpania przoduje w świecie pod względem liczby dokonywanych przeszczepień*

TEMAT TYGODNIKA

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

12 Wypaleni władzą
STEFAN SĘKOWSKI
Widać to gołym okiem. Politycy PiS weszli w fazę wypalenia – rutyny nie wystarczają, puszczają nerwy.

16 Dobra, zmiana
ROZMOWA Z MARCINEM DUMĄ, BADACZEM OPINII
Dziś gotowi jesteśmy zaryzykować zmianę. Uważamy, że obecna władza się zużyła.

FELIETONY

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI **45** ZUZANNA RADZIK
63 ELIZA KĄCKA **76** OLGA DRENDA **77** PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: JAROSŁAW KACZYŃSKI
FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Redaktor prowadzący: MAREK RABIJ

53 Głód czerwonego smoka
MARTA ZDZIEBORSKA: *Na pogrążonej w kryzysie Kubie Chiny chciałyby ulokować bazę wojskową. Czy czeka nas drugi kryzys kubański?*

HISTORIA

56 Gwardziści przeciw syjonistom
GRZEGORZ SKRUKWA *szuka korzeni współczesnych ruchów wielkorosyjskich w strukturach władzy i kultury Związku Sowieckiego*

NAUKA

60 Gdy chorują pszczoły
JUSTYNA KIERAT

KULTURA

64 Pan Wrzątek
WOJCIECH ALBIŃSKI

68 Niewdzięczny kraj
KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET: *Zeruya Shalev jest dziś głosem opozycji wobec najbardziej prawicowego rządu w dziejach Izraela*

71 Czarny scenariusz
MICHAŁ WALKIEWICZ *o strajku scenarzystów w Hollywood przeciwko sztucznej inteligencji*

74 Jazda na wstecznym
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film „Sytuacja awaryjna" Jiřiego Havelka*

75 Świat Świetlickiego
LEKTOR *o książce „Sierotka (Wiersze 2019-2022)" Marcina Świetlickiego*

ZMYSŁY

78 Indiańskie lato
BARTOSZ CHLEBOWICZ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Dżihadyści kontra wagnerowcy [Strona Świata]
Po francuskich spadochroniarzach i żołnierzach afrykańskich sąsiadów wojskowa junta wyprosiła z Mali wojska pokojowe ONZ
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata

Poznajcie Marcela Muszelkę [Co obejrzeć na VoD]
Ma w sobie charyzmę, ale też bezbrzeżny smutek
– recenzuje **ANITA PIOTROWSKA**
| powszech.net/weekend

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

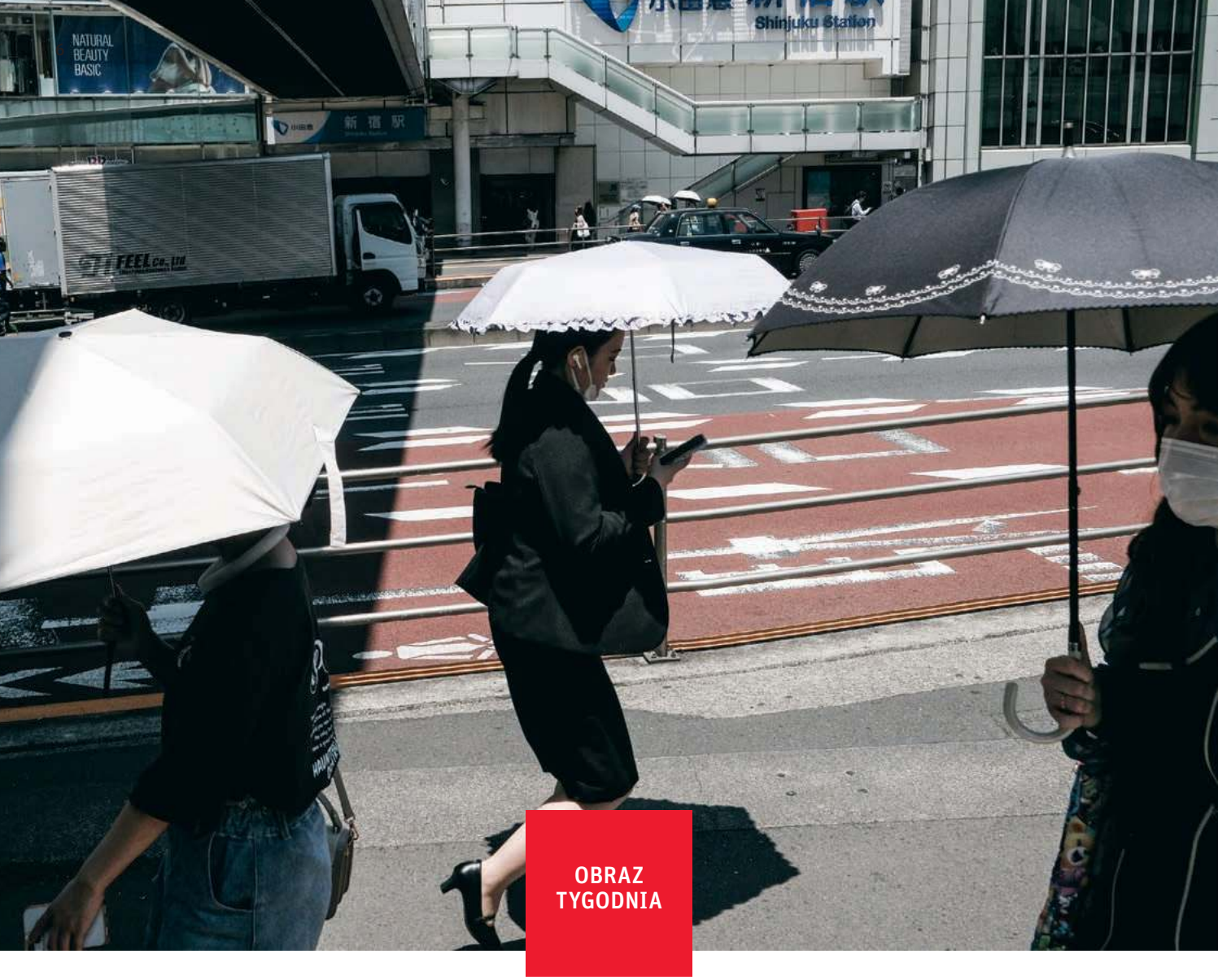

OBRAZ TYGODNIA

PRZYSZŁOŚĆ JEST GORĄCA

Ziemski klimat właśnie stał się nieprzewidywalny. To, o czym słyszymy jako o „najwyższych średnich w historii pomiarów", skutkuje powodziami, pożarami, głodem i wielkimi migracjami. Już teraz.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

POWYŻEJ: Tokio, 10 lipca 2023 r. Japońska Agencja Meteorologiczna podała w opublikowanej w zeszłym tygodniu prognozie, że wschodnia i zachodnia Japonia będzie miała 60 procent szans na ponadnormatywne temperatury w ciągu najbliższego miesiąca.

Poniedziałek 3 lipca był wyjątkowy, bo pierwszy raz w historii pomiarów średnia temperatura na świecie przekroczyła 17 stopni Celsjusza. Dokładnie rzecz biorąc, przekroczyła ją o jedną dziesiątą stopnia. Tyle że już we wtorek odnotowano 17,18 stopnia. Okazało się zatem, że właśnie minął najgorętszy tydzień, odkąd prowadzi się pomiary.

17 stopni: to nie brzmi groźnie, cieplejsze bywają majowe poranki. Jest to jednak średnia z pomiarów dokonanych przez tysiące czujników rozmieszczonych od Sahary przez Patagonię po biegun południowy. Wiele wskazuje, że tegoroczny lipiec będzie najgorętszym miesiącem od... 125 tysięcy lat – co wiemy dzięki badaniom bąbelków powietrza uwięzionych w pradawnym lodzie, pozwalającym z dużą precyzją ustalić, jaki klimat panował nawet setki tysięcy lat temu. A także, że w tym roku globalna średnia temperatura może być wyższa o 1,5 stopnia od średniej sprzed epoki przemysłowej. Czyli przekroczymy granicę, której ludzkość obiecywała sobie nie przekroczyć, aby zmiany klimatyczne nie stały się nieodwracalne.

To jeszcze nie koniec złych wiadomości. W zasadzie to tylko ich zapowiedź. Lód morski Antarktydy ma najmniejszy zasięg spośród dotąd zareje-

strowanych (jest go o 2,5 mln km kw. mniej niż zwykle), a na najbardziej wysuniętym na południe kontynencie naszej planety, gdzie właśnie trwa zima, temperatury są nawet o 20 stopni wyższe, niż powinny być o tej porze roku.

Do tego średnie temperatury powierzchni oceanów są najwyższe w historii. Światowa Organizacja Meteorologiczna 4 lipca potwierdziła, że rozwinął się El Niño – pojawiająca się raz na kilka lat ogromna strefa ciepłej wody na Pacyfiku, która, zmieniając przebieg prądów morskich i atmosferycznych, wpływa na pogodę na całym świecie. A po drugiej stronie obu Ameryk wyjątkowo rozgrzany jest Atlantyk, co da się logicznie wyjaśnić jedynie galopującymi zmianami klimatu. Wyliczono, że tylko ten ocean przyjął 380 zettadżuli dodatkowego ciepła z emisji gazów cieplarnianych – to mniej więcej tyle energii, co 9 mld bomb atomowych zrzuconych na Hiroszimę.

Klimatolodzy zgodnie twierdzą, że wkraczamy na klimatyczną *terra incognita*. „Powiedziałbym: witajcie w przyszłości, ale przyszłość będzie o wiele gorętsza" – napisał na Twitterze prof. Bill McGuire, klimatolog z Uniwersytetu Londyńskiego.

Możemy oczywiście mydlić sobie oczy, że czekające nas ekstrema pogodowe – jak fale upałów, susze, huragany, megaburze czy powodzie – to konsekwencja pojawienia się El Niño. Ale prawda jest taka, że przez ostatnie lata wody Pacyfiku były chłodniejsze niż zazwyczaj, bo La Niña, czyli zjawisko odwrotne do El Niño, w pewnym sensie niwelowała zmiany klimatyczne i maskowała wzrost średniej temperatury. Teraz El Niño odpłaca nam za problem, który stworzyliśmy, bo tylko redystrybuuje ciepło, które w oceanach było już zgromadzone.

Oceany długo były buforem chroniącym nas przed najgorszymi skutkami emisji gazów cieplarnianych do atmosfery – pochłaniały nawet 90 proc. nadmiarowego ciepła będącego skutkiem zmian klimatycznych. Ale każdy bufor ma limity. Kiedy poprzednio pojawił się El Niño, rok 2016 stał się najgorętszym rokiem w historii pomiarów. Od tamtej pory wpompowaliśmy do atmosfery dodatkowych 240 mld ton CO_2. W konsekwencji nasz oceaniczny bufor zbiera energię równą siedmiu atomówkom zrzuconym na Hiroszimę... co sekundę.

Tymczasem wydaje się, że świat próbuje wziąć zmiany klimatu na przeczekanie. Mimo pięknie brzmiących deklaracji i szczytów gromadzących najważniejszych polityków globalne emisje CO_2 spadły tylko raz – w 2020 r., a to z powodu pandemii. Dziś są o ponad połowę wyższe niż w 1992 r., gdy podpisywano protokół z Kioto – pierwsze globalne porozumienie klimatyczne.

Najważniejszym tego skutkiem nie jest wzrost jakiejś abstrakcyjnej globalnej średniej – to samo w sobie tylko statystyka. Najważniejszym skutkiem jest śmierć i cierpienie ludzi, których już dotykają i będą dotykać powodzie, pożary, głód i w konsekwencji wielkie migracje. I to nie jest żadna pieśń przyszłości. 50 mln mieszkańców wschodniej Afryki już dziś głód zagląda w oczy. W Meksyku upały zabiły właśnie ponad sto osób, w Algierii temperatury nawet nocą nie spadają ostatnio poniżej 39 stopni, a w Kanadzie 432 pożary lasów strawiły 8 mln hektarów ziemi – obszar dorównujący wielkością Austrii – co uwolniło do atmosfery 160 mln ton węgla. Zmiany, które wywołaliśmy, napędzają kolejne zmiany. I to o wiele ważniejsze niż to, czy średnia temperatura wzrosła o jeden czy pół stopnia Celsjusza.

Te statystyki i średnie pozwalają nam natomiast zrozumieć, w jak głębokim bagnie tkwimy. I jak szybko galopuje katastrofa, którą wywołaliśmy. „O ile jeszcze kilka dekad temu niektórym mogło się wydawać, że zmiany klimatu są zjawiskiem stosunkowo powolnym, teraz zaczynamy być świadkami tego, w jak przerażającym tempie do nich dochodzi – mówił „Guardianowi" prof. Peter Stott, który kieruje zespołem monitorowania klimatu w brytyjskim Met Office. – Gdy El Niño będzie narastać przez resztę tego roku, dodając dodatkowy impuls do szkodliwych skutków globalnego ocieplenia wywołanego przez człowieka, wiele milionów ludzi na całej planecie i wiele różnorodnych ekosystemów stanie w obliczu niezwykłych wyzwań i niestety poniesie ogromne szkody".

A zatem: witajcie w przyszłości. Będzie bardzo gorąco. ©

Na marne

KRZYSZTOF STORY

Za kilkanaście lat Polska zmarnuje aż 40 proc. taniego prądu z wiatru i słońca. To nie energetyczne czarnowidztwo, tylko realne wyliczenia zapisane w szykowanej przez rząd aktualizacji „Polityki Energetycznej Polski do 2040 r.".

PEP2040 to najważniejszy dokument polskiej energetyki. Został uchwalony w lutym 2021 r. i dziś jest po prostu nieaktualny. Rząd pracuje nad nową wersją i opublikował do tej pory jeden scenariusz ukazujący, skąd weźmiemy prąd w gniazdkach w najbliższych latach. Według think tanku Instrat: „to krok w dobrą stronę, ale wciąż wymaga ulepszenia".

Raport Instratu nosi tytuł „Marnowanie potencjału" i to główny zarzut do rządowej strategii: moc odnawialnych źródeł ma rosnąć dużo szybciej niż ilość produkowanej przez nie energii. Będziemy budować farmy fotowoltaiczne i wiatraki (głównie na morzu), a potem regularnie je wyłączać, choć wytwarzają najtańszy prąd. W ten sposób tylko w 2040 r. zmarnujemy nawet 70 TWh energii. To prawie połowa dzisiejszego rocznego zużycia w Polsce.

Pozornie absurdalna strategia powstała z przyczyn technicznych. Nasza energetyka jest bardzo mało elastyczna, zarówno w aspekcie rozwiązań prawnych, jak i infrastruktury. Już dziś przymusowo wyłącza się instalacje OZE, a większość projektów nowych farm wiatrowych i słonecznych jest odrzucanych, bo w sieci nie ma na nie miejsca. Na dodatek za kilka lat ruszą pierwsze w Polsce reaktory atomowe, które według nowej strategii mają dostać absolutny priorytet.

Rząd w tym aspekcie idzie na łatwiznę: zamiast przystosowywać się do warunków, woli je ignorować.

Choćby wiało i świeciło, my będziemy pełną parą produkować prąd z atomu i utrzymywać elektrownie węglowe oraz gazowe na minimum technicznym, bo ich czasowe wygaszanie jest nieopłacalne.

Oczywiście niskoemisyjny prąd z atomu jest nam potrzebny, ale jest też droższy od energii z wiatru i uzależnia nas od importowanego paliwa. Eksperci Instratu apelują, by większy nacisk położyć na rozwój elastyczności energetycznej. To „elektrownie jądrowe powinny dostosować się do potrzeb systemu, a nie wymagać, aby to wszystkie inne elementy dostosowały się do nich". ©℗

SOICHIRO KORIYAMA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Wołyń nadal boli

ARTUR SPORNIAK

Prezydenci Duda i Zełenski pojawili się na nabożeństwie w Łucku, zapalając znicze w ramach kościelnych polsko-ukraińskich obchodów 80. rocznicy rzezi wołyńskiej (na zdjęciu). „Razem oddajemy hołd wszystkim niewinnym ofiarom Wołynia! Pamięć nas łączy! Razem jesteśmy silniejsi" – napisał Zełenski na Twitterze.

Choć był to niespodziewany i ważny gest, prezydent Ukrainy użył eufemizmu – to nie „Wołyń" wymordował w latach 1943-45 ok. 100 tys. Polaków! Pokazuje to, jak bardzo politycy muszą się liczyć w Ukrainie ze słowami. Zresztą nie tylko oni. Uczestniczący w trzydniowych obchodach pielgrzymki przebaczenia i pojednania arcybiskup Kościoła greckokatolickiego Światosław Szewczuk mówił w Warszawie: „Winniśmy ciągle sobie nawzajem powtarzać: wybaczam i proszę o wybaczenie. Ten proces musi być dwustronny". Ten symetryzm pozwolił mu też uniknąć deklaracji, którymi jako zwierzchnik mniejszościowego Kościoła mógłby się narazić społeczeństwu ukraińskiemu.

ZELENSKIY / OFFICIAL / TELEGRAM

Tymczasem reprezentujący polski Kościół rzymskokatolicki abp Stanisław Gądecki przemawiał głosem ofiar, domagając się zaprzestania posługiwania się eufemizmami, nazwania rzezi wołyńskiej ludobójstwem, godnego pochówku ofiar i zaprzestania święcenia pomników sprawców.

Czy obchody kościelne coś zmienią? Jedno zdanie ze wspólnej deklaracji wymagało ze strony ukraińskiej odwagi. „Dzisiaj, po odkryciu masowych grobów w Buczy, Irpieniu czy Hostomlu wszyscy rozumiemy, jak bardzo ważne jest jednoznaczne nazwanie sprawców, ekshumacja ofiar, uszanowanie ich prawa do godnego pochówku oraz ludzkiej pamięci" – napisali polscy i ukraińscy biskupi. Zestawienie rosyjskich morderców z ukraińskimi nacjonalistami sprzed 80 lat na pewno jest trudne dla społeczeństwa ukraińskiego. Ale to właśnie rozliczenie ludobójstwa wołyńsko-galicyjskiego dałoby silniejszą moralną legitymację do domagania się od świata uznania rosyjskiego ludobójstwa na narodzie ukraińskim. ©℗

NA PUNKTY

ANATEMA
„PSL pokazał swoją prawdziwą twarz" – mówiła po sejmowym głosowaniu nad 800 plus minister rodziny Marlena Maląg. Podwyżka świadczenia przeszła, bo poza ludowcami mało kto miał chęć się jej sprzeciwić.

ALLELUJA
Rodzinną twarz pokazywał w weekend do kamer PiS, organizując piknik w Pułtusku. Do Rodziny Radia Maryja przemówił zaś nazajutrz na Jasnej Górze prezes Kaczyński: „Trzeba słowa, które powtarza ojciec dyrektor: »Alleluja i do przodu«, traktować jako wskazanie, które prowadzić nas będzie do zwycięstwa, wbrew wszystkim grupom na Wschodzie i na Zachodzie".

AKADEMIA
Według samego o. Rydzyka, który wystąpił w Radiu Maryja, zagrożenie przychodzi nie z dwóch, a „ze wszystkich stron". Zakonnik wskazał ratunek: więcej porządnych dziennikarzy. „Dlatego powstała Akademia Kultury Społecznej i Medialnej" – tłumaczył, grożąc przy tym, że na kształceniu kolejnych porządnych dziennikarzy się nie skończy, wkrótce Akademia otworzy wydział lekarski.

AGENCJA
Wyposażeni już w kulturę medialną dziennikarze TVP wyemitowali sondę uliczną. Przypadkowy przechodzień, „przeciwnik pikiet zakłócających spokój w stolicy", pomstujący na zgromadzenie z hasłem „TVP łże" – został wynajęty na potrzeby sondy przez agencję medialną. ©℗

Niemcy: AfD na fali wznoszącej

WOJCIECH PIĘCIAK

77 procent: tylu Niemców, pytanych na początku lipca przez ośrodek Infratest dimap o nastroje, uznało, że „sytuacja w kraju daje powód raczej do niepokoju". Dopytani, co ich niepokoi, wymieniali: działania rządu i w ogóle polityków (z pracy rządu zadowolonych jest 23 proc.), wzrost cen i inflację, politykę w sferze klimatu i energii (w tym gronie są ci, dla których idzie ona za szybko, i ci, dla których rząd działa za wolno), imigrację, wojnę Rosji przeciw Ukrainie i rosnące poparcie dla Alternatywy dla Niemiec (AfD).W tym samym badaniu 20 proc. deklarowało, że chce głosować na AfD. To najwyższe poparcie sondażowe dla tej partii od jej powstania 10 lat temu. AfD wyprzedziła wszystkie partie rządzącej koalicji, w tym SPD kanclerza Scholza (18 proc.), i uplasowała się na drugiej pozycji – za opozycyjną chadecją (CDU/CSU), którą popiera 28 proc.

To kolejny ostatnio sukces AfD, która prezentuje się w opozycji do wszystkich innych partii i eksponuje temat masowej niekontrolowanej imigracji oraz jej skutków. Jej kandydaci wygrali – po raz pierwszy – wybory na starostę i burmistrza. Sondaże we wschodnich landach – we wrześniu 2024 r. wybory landowe będą tam w Saksonii, Turyngii i Brandenburgii – dają AfD pierwsze miejsce z poparciem rzędu 30 proc. (w Turyngii 34 proc.).

W sondażu z Saksonii prawie połowa wyraziła opinię, że trend wznoszący AfD bierze się ze słabości innych: 45 proc. Saksończyków uważa, że głos na AfD to głównie wyraz protestu przeciw innym partiom. ©℗

Zły WIBOR

MAREK RABIJ

To pierwszy taki przypadek: sąd prawomocnie orzekł o wyrzuceniu stawki WIBOR z umowy kredytu hipotecznego do czasu zakończenia głównego procesu o unieważnienie całej umowy. Klient będzie więc spłacać bankowi jedynie raty kapitałowe. Odsetki, stanowiące zazwyczaj lwią część zobowiązania, na razie przestają być jego zmartwieniem, ale jeśli przegra sprawę o kredyt, bank będzie mógł zażądać od niego natychmiastowego zwrotu całej niedopłaconej kwoty.

Sprawa jest interesująca nie tylko dlatego, że po raz pierwszy sądy dwóch instancji w Polsce przychyliły się do wniosku o wprowadzenie takiego zabezpieczenia. Wcześniej klientom zdarzało się dostać wyrok wyłączający WIBOR, ale w drugiej instancji zawsze przegrywali z bankiem domagającym się zachowania stawki w umowie. Trudno też mówić o zmianie w linii orzeczniczej sądów, bo to przypadek na razie odosobniony, ale może on świadczyć o tym, że sędziowie zaczynają podzielać wątpliwości części prawników i kredytobiorców co do legalności mechanizmu, jakim jest WIBOR.

W skrócie: ten wskaźnik, będący obok stóp procentowych NBP podstawą do obliczenia oprocentowania kredytu, banki kształtują same, ustalając między sobą, po ile pożyczałyby sobie pieniądze, gdyby musiały. Rzecz w tym, że nie muszą, bo wręcz cierpią dziś na nadmiar gotówki, dlatego klienci w WIBOR-ze coraz częściej widzą podobieństwa do klauzul indeksacyjnych w umowach frankowych, uznanych za niezgodne z prawem.

Banki na razie skutecznie bronią WIBOR-owej cytadeli, jednocześnie szukając bezpieczniejszego zamiennika.

Bezpieczniejszym i rzekomo tańszym dla klientów ekwiwalentem ma być WIRON. Chodzi o ok. 84 mld zł – o tyle miałyby stopnieć bankowe zasoby, gdyby klientom udało się doprowadzić do masowego unieważnienia przez sądy umów kredytu hipotecznego w rodzimej walucie.

Jednego bankowcy mogą być pewni: argumenty o tym, że wadliwie skonstruowanych umów kredytowych nie wolno ruszać dla bezpieczeństwa polskiej gospodarki, europejskie prawodawstwo po prostu odrzuca. Nie akceptują ich już również polskie sądy. ©℗

Limity na recepty

MAŁGORZATA SOLECKA

Trzysta recept w ciągu dziesięciu godzin dla maksymalnie 80 pacjentów – to patent ministra zdrowia na ukrócenie biznesu receptowego. Limity obowiązują od 3 lipca. Wcześniej, przez trzy lata oglądaliśmy jednak wielkoformatowe billboardy reklamujące „Receptę w 5 minut". Natomiast resort zdrowia przez wszystkie przypadki odmieniał „cyfryzację", „teleporadę", „e-receptę", nie zważając na płynące ze środowiska lekarskiego ostrzeżenia, że trzeba dobrze uregulować te nowości czasu pandemii.

Teraz minister zdrowia wytoczył przeciwko receptomatom broń, która może wcale nie ukrócić tej działalności, ale realnie zaszkodzić – nawet nie lekarzom, tylko pacjentom. Minister sięgnął bowiem po rozwiązanie siłowe, za nic mając takie wartości, jak państwo prawa, konstytucyjne zasady legalizmu czy proporcjonalności – ograniczające instytucje publiczne w ich zakusach przeciwko wolności obywateli. Zasada legalizmu stanowi, że obywatelowi wolno wszystko, co nie jest zakazane, a instytucjom wolno tylko tyle, ile przewiduje prawo. Tymczasem rządzący nawet nie kryją, że nie ma podstawy prawnej dla ich działań. Gdy o nią zapytałam, otrzymałam odpowiedź: „Nie ma prawnych przeciwwskazań, aby zastosować mechanizm zwiększający bezpieczeństwo zdrowotne Polaków". Nie dokonano jednak żadnej korekty przepisów. Minister kazał, Centrum e-Zdrowia „zastosowało mechanizm".

Zasada proporcjonalności stanowi z kolei, że wprowadzając przepisy ograniczające wolności obywatelskie, władze mogą sięgać wyłącznie po konieczne środki – nie mogą strzelać z armaty do wróbla. A że mamy do czynienia z problemem w zasadzie mikrym, demonstruje sam minister. Adam Niedzielski ogłosił dane o lekarzach, którym system zablokował wystawianie recept: 283 w poniedziałek i wtorek, nieco ponad 300 w środę. Lekarzy i stomatologów, którzy mają prawo wypisywać recepty, jest w Polsce niemal 200 tys.

30 czerwca minister ogłosił, że skierował do prokuratury zawiadomienie w sprawie 10 lekarzy, z których rekordzista wystawił w ubiegłym roku 400 tys. recept, ale w tym samym gronie część lekarzy wystawiła ich nieco ponad 100 tys. Nawet nie wykorzystując całego limitu, jaki udostępnił resort zdrowia (dwa razy po 10 godzin na dobę, czyli 600 recept) i pracując w miesiącu zaledwie 20 dni, lekarz może wystawić ich ponad 140 tys. Nie łamiąc limitów, ale narażając się na ministerialny donos do prokuratury. ©

Reklama receptomatów, Warszawa, maj 2023 r.

ALEK / ADOBE STOCK

VICTORIYA MAY / / SANT'EGIDIO LWÓW

JURIJ LIFANSE, WSPÓLNOTA SANT'EGIDIO:

Lwów żyje. Rosjanom nie uda się nas zastraszyć

EDWARD AUGUSTYN: Jaka jest sytuacja we Lwowie po ataku rakietowym?
JURIJ LIFANSE: Zniszczenia są poważne. Zginęło 10 osób, ponad 40 zostało rannych. Na miejsca, gdzie spadły pociski, przyszło wiele osób, by pomóc. Wszyscy byli przerażeni, nikt nie spał w nocy, ale niewiele się o tym mówi. Nie da się cały czas żyć tragicznymi wiadomościami.

Czy ludzie uciekają z miasta?
Nie mam takiego wrażenia, nie widać paniki. Zresztą, nie ma dokąd uciec. To Lwów jest miejscem, do którego docierają uchodźcy. W całym regionie jest ich około 250 tysięcy.

Jak im pomagacie?
Wspólnota Sant'Egidio przyjęła we Lwowie ponad 5,5 tys. rodzin. Pomagamy też w innych regionach. Przekazaliśmy 30 tys. paczek z produktami medycznymi, ubraniami, żywnością. Bez pomocy międzynarodowej ludzie nie dadzą sobie rady.

Czy w takich warunkach da się żyć normalnie?
Udajesz, że żyjesz normalnie, a potem widzisz płaczącą osobę, spotykasz rannego na ulicy, widzisz pogrzeb... Ale Lwów żyje. W sobotnie wieczory na rynku trudno znaleźć stolik w restauracji. To mimo wszystko spokojne miasto, które wróciło do swojej dawnej funkcji weekendowego centrum turystycznego.

Myślisz, że po ataku rakietowym to się zmieni?
Mam nadzieję, że nie. Rosjanom nie uda się nas zastraszyć. Będziemy żyć dalej. Ukraińcy będą przyjeżdżać do Lwowa. Gdzie mają jechać? Przecież już nie mają morza.

Brałeś udział w misji specjalnej kardynała Zuppiego...
Byłem tłumaczem, więc nic nie pamiętam...

Nie pytam o szczegóły, tylko jak oceniasz szanse tej misji?
Widząc, jak kardynał został przyjęty w Ukrainie, a następnie w Rosji, mam nadzieję, że misja się powiedzie. Na przykład, że ukraińskie dzieci wrócą do domu. O to nasz prezydent prosił papieża.

Jak można Wam pomóc?
Jeśli ktoś chciałby, może skontaktować się ze Wspólnotą Sant'Egidio w Warszawie, pomagającą zarówno Ukraińcom, którzy znaleźli schronienie w Polsce, jak i tym, którzy zostali w kraju. ©℗

JURIJ LIFANSE *jest odpowiedzialnym za Wspólnotę Sant'Egidio w Ukrainie. Od ponad roku organizuje pomoc dla uchodźców wewnętrznych we Lwowie.*
▪ **Czytaj więcej: powszech.net/lwow**

YURIY DYACHYSHYN / EAST NEWS

Patrol policyjny przed budynkiem zniszczonym w ataku rakietowym. Lwów, 7 lipca 2023 r.

Arcybiskup Grzegorz Ryś kardynałem

KOŚCIÓŁ W POLSCE ▪ Nazwisko metropolity łódzkiego znalazło się wśród 21 ogłoszonych w niedzielę przez papieża nominacji kardynalskich. Jego wybór potwierdza, że Franciszek nie kieruje się zasadą przyznawania kapeluszy kardynalskich rządcom tzw. stolic kardynalskich, gdyż Łódź nigdy do nich nie należała.

ŁUKASZ GDAK / EAST NEWS

Grzegorz Ryś urodził się w Krakowie w 1964 r. Jest związany z Ruchem Światło-Życie i Drogą Neokatechumenalną. W 1988 r. otrzymał w Krakowie święcenia kapłańskie oraz ukończył Wydział Historyczny Papieskiej Akademii Teologicznej, z którym związał się następnie pracą naukową. Jako historyk Kościoła nie unikał kłopotliwych tematów: habilitację poświęcił osobie Jana Husa, ma też na koncie monografie o inkwizycji i celibacie kapłańskim.

W 2007 r. został rektorem krakowskiego seminarium duchownego, a w 2011 r. biskupem pomocniczym w Krakowie. Zaangażował się wtedy w pracę Zespołu ds. Nowej Ewangelizacji przy episkopacie. W 2017 r. Franciszek mianował go arcybiskupem łódzkim, gdzie wprowadził m.in. rekolekcje dla młodzieży „Arena Młodych", w których uczestniczy co roku kilka tysięcy osób. Jego homilie i konferencje rekolekcyjne cieszą się dużym zainteresowaniem w internecie. W 2011 r. po śmierci abp. Józefa Życińskiego przejął w „Tygodniku Powszechnym" jego rubrykę „Okruchy Słowa". Od tego czasu co tydzień na naszych łamach ukazuje się komentarz bp. Rysia do Pisma Świętego. Ostatnio Franciszek w ramach własnej puli nominacji mianował go członkiem zgromadzenia Synodu Biskupów poświęconego synodalności, który obradować będzie w Rzymie w październiku. ©℗ ARTUR SPORNIAK

CPK będzie nowym centrum kraju, na dobre i na złe

MATERIAŁY PRASOWE CPK

Wizualizacja portu lotniczego CPK

TRANSPORT ▪ Wizualizacje architektoniczne często mają się w Polsce nijak do efektu końcowego, więc ubiegłotygodniową prezentację projektu Centralnego Portu Komunikacyjnego lepiej traktować ostrożnie. Jednak poza ilustracjami efektownych brył i wnętrz terminali oraz dworców pokazała nam ona coś jeszcze – stojącą za nim filozofię. CPK – lotnisko, program inwestycji kolejowych oraz, przynajmniej w teorii, nowy pomysł na transport pasażerski – ma w ciągu kilkunastu lat odmienić sposób podróżowania Polaków, a częściowo także mieszkańców państw sąsiednich.

Zacznijmy od architektury. Projektanci chcą w CPK stworzyć rodzaj „przedpokoju", czyli olbrzymie, ogólnodostępne atrium, przez które pasażerowie – niezależnie od tego, czy dotrą na lotnisko koleją, czy samochodem – będą wchodzić do terminalu. W praktyce będzie to też miejsce spotkań oraz przesiadek dla pasażerów kolei – sześcioperonowy dworzec będzie największym tego typu węzłem w Europie. Duży pojedynczy terminal lotniczy, przyjemnie dla oka zintegrowany z czterema wychodzącymi z niego pirsami prowadzącymi do rękawów, zaprojektowano modułowo, z możliwością ewentualnej rozbudowy w przyszłości. Samo lotnisko – z infrastrukturą do obsługi 40 mln pasażerów rocznie (dla porównania: z lotniska Chopina w Warszawie korzysta ok. 15 mln pasażerów) – ma rozpocząć działalność już w 2028 r. Jednak dopiero 20 lat później CPK będzie działać na całego.

Projekt krytykowany bywa od początku – niektórzy specjaliści od transportu wytykają mu koncentrację na kolei dużych prędkości kosztem połączeń regionalnych; przez innych krytyków jest uznawany za efekt przerostu ambicji obecnej władzy. Jedno jest już jednak pewne – z każdym kolejnym etapem CPK staje się projektem nie do zatrzymania; a jego wymiar praktyczny odróżnia go np. od prawdziwie ambicjonalnego projektu The Line, 170-kilometrowego miasta na saudyjskiej pustyni. Jeśli zaś podstawowe założenia CPK zostaną zrealizowane choćby w 80 procentach, Polska, na dobre i na złe, zyska nowe centrum.

©℗ MARCIN ŻYŁA

Życie znalazło sposób

EWOLUCJA ▪ W 2016 r. zespół Johna Craiga Ventera opisał w „Science" stworzenie „minimalnej komórki". Badacze zredukowali informację genetyczną bakterii *Mycoplasma mycoides*, wywołującej choroby płuc u przeżuwaczy, o ok. 45 proc.: z 900 genów zawierających przepisy na ważne dla bakterii białka do niespełna 500. Powstały szczep, nazwany JCVI-syn3B, to najprostszy organizm zdolny do samodzielnego życia. Niektóre bakterie posiadają mniej niż 200 genów, ale są to symbionty – żyją w ścisłej współpracy z gospodarzami, w przyjaznym środowisku.

Niespełna 500 genów JCVI-syn3B zapewniało funkcjonowanie podstawowej biochemicznej maszynerii komórkowej (przetwarzanie energii, utrzymywanie homeostazy, naprawę uszkodzeń), ale „minimalna komórka" nie była tak sprawna jak jej prekursorka. Redukcja genomu JCVI-syn3B odbiła się na jej dostosowaniu – kopiowała się prawie dwa razy wolniej niż bakteria posiadająca 900 genów. Gdy Jay T. Lennon, szef innego laboratorium, dowiedział się o tych wynikach, postanowił sprawdzić, co się stanie, gdy pozwolimy JCVI-syn3B ewoluować w niezbyt przyjaznym środowisku. Badacze opisali właśnie swój eksperyment w „Nature".

Lennon spodziewał się, że krótki genom JCVI-syn3B będzie bardzo wrażliwy na przypadkowe mutacje – czyli nawet niewielkie zmiany informacji genetycznej rozregulują komórkowe mechanizmy i rozerwą bakterię na strzępy. Krótki genom to także mniejsza liczba miejsc, w których można dokonywać poprawek genetycznych przepisów. Dlatego wyniki badania są zaskakujące: minimalna komórka ewoluowała prawie 40 proc. szybciej niż jej „pełnowymiarowa" prekursorka, a po 2 tys. pokoleń miała już identyczne tempo kopiowania się. Nie zmieniła przy tym swoich rozmiarów, podczas gdy jej niezredukowana prekursorka urosła o 80 proc. Badanie obrazuje, jak zawiłe mogą być ewolucyjne trajektorie – i jak szybko proste organizmy mogą się po nich poruszać.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TP"
co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – **www.tokfm.pl**

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

TEMAT TYGODNIKA

WYPALENI WŁADZĄ

Niedawna ceremonia wręczenia Jarosławowi Kaczyńskiemu nominacji na wicepremiera była najsmutniejszą w III RP. Ministrowie wyglądali, jakby zebrali się na pogrzebie. Dlaczego?

STEFAN SĘKOWSKI

Ostatnia rekonstrukcja rządu, Pałac Prezydencki w Warszawie, 21 czerwca 2023 r.

Poparcie dla PiS powoli topnieje – maleje też przewaga tej partii nad Koalicją Obywatelską. Kolejne chwyty – obietnice 800 plus, komisja ds. wpływów rosyjskich czy skierowanie propagandy TVP na Donalda Tuska – nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Dlatego ostatnie ruchy PiS nie mają już nic wspólnego z rządzeniem. Ani rozumianym jako administrowanie, ani jako reformowanie państwa.

Rząd służy partii

Symboliczny był powrót Jarosława Kaczyńskiego na stanowisko wicepremiera. Merytorycznie to pusty ruch – prezes PiS nie dostał w radzie ministrów żadnych zadań do wykonania, jak to miało miejsce podczas poprzedniego jego wrządowstąpienia, kiedy przynajmniej formalnie odpowiadał za sprawy bezpieczeństwa. Gdy Ryszard Terlecki tłumaczy, że obecność prezesa pomoże powstrzymać nawał żądań poszczególnych ministrów, albo gdy Rafał Bochenek twierdzi, iż dzięki temu praca rządu będzie lepiej skoordynowana z kampanią wyborczą PiS, brzmi to wręcz kompromitująco. Pierwsze tłumaczenie wskazuje na to, że ministrowie weszli na głowę Mateuszowi Morawieckiemu, który potrzebuje odsieczy z Nowogrodzkiej. Drugie – że samo państwo w sposób otwarty stało się już narzędziem służącym do utrwalania władzy PiS.

Zmęczenie władzą przejawia się też w braku wizji dalszych rządów. Gdy ci sami politycy PiS przejmowali stery w państwie, wydawali się pełni werwy. Przekonywali hasłami: „Praca, a nie obietnice", oraz krótkim „Damy radę". Wiele propozycji z tamtej kampanii (choćby wprowadzenie 500 plus czy obniżkę wieku emerytalnego) zrealizowali, co utwierdziło zdecydowaną większość ich wyborców w poczuciu słuszności podjętej decyzji.

Cztery lata później szli do wyborów pod hasłem budowy „Polskiego modelu państwa dobrobytu". Slogan był chwytliwy: obrazował działania w latach 2015-19 i wskazywał, że owa budowa jeszcze ↦

↦ nie jest zakończona, więc rząd Morawieckiego potrzebuje odnowienia mandatu. Choć w latach 2015-19 PiS nie reformował państwa (właściwie jedyną zmianą, którą można określić mianem systemowej, była Ustawa 2.0, dotycząca nauki i szkolnictwa wyższego), wprowadził rozwiązania, które zostaną z nami na stałe – nawet obecna opozycja ich nie kwestionuje.

A teraz?

Po co ta władza

Politycy PiS twierdzą, że trzecia kadencja tej partii jest Polakom potrzebna, żeby się bronić przed obecną opozycją, która gotuje nam straszny los. Chce odebrać zdobycze socjalne w postaci 500 plus czy niższego wieku emerytalnego (choć sama opozycja rękami i nogami broni się przed tymi zarzutami). Współpracuje też z wrogiem zewnętrznym, zarówno z Moskwy, jak i Berlina. Stąd komisja ds. rosyjskich wpływów czy serial „Reset", mający ukazać Donalda Tuska i innych polityków PO jako zdrajców. Oprócz opozycji zagrożeniem są też Unia Europejska oraz uchodźcy. PiS wmawia nam, że UE chce nas zmusić do ich przyjmowania, pora więc odwołać się do głosu ludu w referendum. W przekazie rządzących jest wiele niedomówień i manipulacji, co oczywiście może pomagać w kampanii, a nie jej przeszkadzać – przy czym jest to także już mocno zwietrzały przekaz, który pamiętamy z 2015 r.

Jedyną obietnicę, która – przy maksimum dobrej woli – może zapowiadać się na systemową, złożył rzecznik rządu Piotr Müller, który powiedział, że „jeżeli wygramy wybory, chcemy w kolejnej kadencji przeprowadzić kompleksową reformę sądownictwa, aby przede wszystkim sprawy były szybciej rozpatrywane". Po ośmiu latach deform podporządkowujących sądy politykom, w trakcie których większość spraw ciągnie się teraz jeszcze dłużej, brzmi to jednak jak absurdalny żart. Można więc odnieść wrażenie, że Jarosław Kaczyński po prostu nie wie, w jakim rzeczywistym celu PiS miałby sprawować władzę przez kolejne cztery lata. Oczywiście, takim celem może być sama władza. I wszystko wskazuje na to, że tylko ona nim jest.

Potwierdza to mapa wewnętrznych konfliktów. Szczególnie napięte są relacje między Suwerenną Polską a PiS, zwłaszcza Mateuszem Morawieckim. Pierwsi krytykują politykę europejską rządu, drudzy nieudane reformy sądownictwa. Najchętniej obie formacje poszłyby do wyborów osobno. Jednak dla ziobrystów taka sytuacja oznaczałaby znalezienie się w politycznym niebycie. Z kolei wzięcie ich na listy PiS daje partii Kaczyńskiego nadal iluzoryczne szanse na uzyskanie samodzielnej większości i zabezpiecza prawą flankę (przynajmniej dla tych wyborców, dla których głosowanie na Konfederację jest nie do przyjęcia). Małżeństwo z rozsądku? Raczej skazane na siebie.

Od Buzka do Belki

Zmęczenia władzą nie da się zmierzyć. Ale widać je gołym okiem. Członkowie rządu obecni na ceremonii wręczenia Jarosławowi Kaczyńskiemu teki wicepremiera wyglądali, jakby zebrali się na pogrzebie.

Politycy PiS weszli w fazę wypalenia, podobnie jak ich poprzednicy – rutyny nie wystarczają, puszczają nerwy. Rządy PO-PSL zwolniły w lecie 2014 r., kiedy to wybuchła afera taśmowa. Donald Tusk i jego koledzy wyraźnie nie potrafili sobie poradzić z nagraniami opublikowanymi przez „Wprost". Tłumaczenia brzmiały nieprzekonująco, a podległe rządzącym służby zareagowały histerycznie, wchodząc do redakcji tygodnika, co wywołało solidarną krytykę przez dziennikarzy od lewa do prawa (rzecz niewyobrażalna w dzisiejszych warunkach). A przecież nie była to pierwsza afera, w którą zaangażowani byli politycy tego rządu. „Platforma po raz pierwszy od siedmiu lat nie pozostawiła Polakom żadnego pozytywnego przekazu na wakacje, a taśmy narobiły więcej szkody niż afera hazardowa, bo zdemitologizowały PO, która prezentowała się jako partia ludzi poważnych, fachowców i Europejczyków. Okazało się zaś, że jej działacze wcale nie są lepsi od polityków innych partii" – komentował wówczas w „Rzeczpospolitej" politolog prof. Rafał Chwedoruk.

Zamiast programowej ofensywy, PO i PSL odpowiadały rytualnym straszeniem złym PiS-em. Kilka miesięcy po wybuchu afery taśmowej Platformę osierocił Donald Tusk, zostając przewodniczącym Rady Europejskiej. Nową szefową PO stała się Ewa Kopacz, w partii zapanowało bezhołowie. W 2015 r. zniechęceni wyborcy odeszli w dużej mierze do Nowoczesnej, Kukiz'15 i PiS – dwie ostatnie formacje wybierali też chętnie dawni wyborcy ludowców.

Rządy PO-PSL oraz PiS i tak wytrzymały dłużej niż poprzednicy. Jedynym, którego nie zmogła rutyna, był gabinet SLD-PSL z lat 1993-1997. Może dlatego, że kierowało nim w tym czasie aż trzech premierów, a przez pół kadencji wystarczających bodźców do działania dostarczał im wrogo nastawiony prezydent Lech Wałęsa. W sprawach gospodarczych rządzący co do zasady realizowali zarysowaną przez Grzegorza Kołodkę Strategię dla Polski i szykowali się do jej kontynuacji. W sprawach zagranicznych przygotowywali Polskę do wstąpienia do NATO i Unii, największym zaś osiągnięciem kadencji było uchwalenie nowej Konstytucji w 1997 r. Obie partie łącznie uzyskały po czterech latach rządzenia lepsze wyniki wyborcze, jednak przegrały z prawicą zjednoczoną w większości pod szyldem Akcji Wyborczej Solidarność oraz, częściowo, z powodzią stulecia.

Pierwszy wypalony premier, Jerzy Buzek, pochodził właśnie z AWS. Ten sojusz, rządzący Polską w pierwszym okresie wspólnie z Unią Wolności, rozpoczął hardo, czterema reformami (samorządową, edukacji, opieki zdrowotnej, emerytalną) i wprowadzeniem Polski do NATO.

Jednak później impet wyhamował. AWS zaczęła się rozpadać, a z dotychczasowej współpracy przestali być zadowoleni liberałowie z UW i związkowcy, którzy dominowali w AWS. Dochodziło do sytuacji, w których posłowie Akcji, wspólnie z lewicą, przyjmowali ustawy sprzeczne z dążeniami własnego rządu (np. gdy w 2001 r. przyjęto ustawę centralizującą politykę płacową w oświacie, premier Buzek się temu sprzeciwił, ale większość posłów Akcji wstrzymała się od głosu i ustawa przeszła). Z kolei UW wspólnie z SLD odrzucała prawicowe rozwiązania (np. w sprawie dekomunizacji). W 2000 r. koalicja się rozpadła, a gabinet Buzka przez ponad rok rządził jako mniejszościowy.

Rząd AWS-UW wyczerpał się, ponieważ był wewnętrznie niespójny. Sama Akcja składała się z partii i partyjek, których poglądy wahały się od liberalno-euroentuzjastycznych po narodowo-etatystyczne, a nad wszystkim „czapę" trzymał NSZZ „Solidarność" z Marianem Krzaklewskim na czele, który w dodatku postanowił, że nie będzie pełnić funkcji

premiera. Był więc prototypem, znanego nam skądinąd, „prezesa państwa".

Po realizacji czterech reform rząd skupił się na wprowadzaniu Polski do UE, co w dużej mierze sprowadzało się do automatycznego implementowania prawa unijnego. Było to zresztą jednym z wielu powodów rozpadu AWS, z której wypączkowały mniejsze ugrupowania eurosceptyczne. Pod koniec XX wieku nasza gospodarka zaczęła szwankować i wzrosło bezrobocie, co z kolei skłoniło związkowców do wspierania kosztownych dla budżetu rozwiązań socjalnych – a to napotykało na sprzeciw liberałów z UW. Rząd AWS-UW rozpadł się, bo nie udało mu się znaleźć nowego wspólnego celu ani lidera. Upadek koalicji był wielki: ani Akcja, ani Unia, która wcześniej opuściła sojusz, nie przekroczyły w 2001 r. progu wyborczego.

Co by nie mówić o tamtym rządzie, to jednak był ostatnim, który próbował realizować dalekosiężną wizję. Przeciwnie niż gabinet SLD-PSL Leszka Millera. Ten, poza wprowadzeniem Polski do UE, głównie dryfował. Szybko skłócił się wewnętrznie, co doprowadziło do wyrzucenia ludowców z rządu po zaledwie 1,5 roku. Politycy lewicy i jej klienci oddali się aferom w bezprecedensowej skali, takim jak ta starachowicka, groteskowe przyjęcie mercedesa (z firankami!) jako łapówki przez posła Andrzeja Pęczaka czy wreszcie afera Rywina. Do tego dochodziła „szorstka przyjaźń" między Millerem a prezydentem Kwaśniewskim. Panowie spierali się o kwestie personalne w rządzie i spółkach skarbu państwa, w 2004 r. zaś byli prekursorami „sporu o krzesło", kiedy pokłócili się o to, kto ma przewodzić polskiej delegacji podczas podpisywania traktatu akcesyjnego. Miller w 2004 r. zrezygnował ze stanowiska. Do końca kadencji dopełzł już „ekspercki" rząd Marka Belki.

Lewicę zgubiła pycha i przekonanie, że wprowadzenie Polski do UE wystarczy, by zapracować na wieczną wdzięczność Polaków. Ponadto – poczucie bezkarności, wówczas jeszcze zdradliwe. Wtedy afery budziły zniesmaczenie u Polaków, także jeśli byli wyborcami przyłapanych na aferach polityków.

Kot już nie chce łowić myszy

Pierwsze rządy PiS (2005-07) były burzliwe. Rozpoczęły się od utworzenia gabinetu mniejszościowego, który z czasem poszerzył się o koalicjantów, Ligę Polskich Rodzin i Samoobronę. Przetrwały tylko dwa lata. Kaczyński chciał rządzić dalej, ale samodzielnie, i zagrał *va banque*, doprowadzając do przedterminowych wyborów, które przegrał.

> Politycy PiS weszli w fazę kryzysu – podobnie jak poprzednicy. Koalicja PO-PSL wyczerpała swą energię podczas afery taśmowej, na którą zareagowała wręcz histerycznie.

Obecnie Kaczyński i spółka kończą wypaleni. PiS nie dzieli jednak losu poprzednich „wymęczonych" rządów, ponieważ wielu jego wyborców nawet nie zauważa syndromów zmęczenia. Podporządkowane władzy media publiczne nie krytykują premiera, jak za rządów AWS, kiedy to TVP była w rękach lewicowej opozycji. Inaczej niż za rządów SLD czy PO, PiS konsekwentnie twierdzi, że jego członków nie imają się żadne afery, a wszelkie złe wieści rozsiewają źli ludzie mówiący językiem Kremla.

Wyborcy PiS nie mają też politycznej alternatywy. Z AWS wypączkowały PO, PiS i LPR, zniechęceni do SLD mogli głosować na Socjaldemokrację Polską czy startującą z jej list Unię Pracy; chcący wrócić do korzeni Platformy Obywatelskiej mieli na podorędziu Nowoczesną. PiS się nie rozpada, a inne oferty są dla dotychczasowych wyborców partii Jarosława Kaczyńskiego niezbyt interesujące. Pisowskie wypalenie nie wygląda też katastrofalnie na tle konkurencji, która nie grzeszy werwą.

Zjednoczona Prawica przejawia energię głównie w wykorzystywaniu państwa do zwiększania swoich szans wyborczych. Najświeższym przykładem są politycy Suwerennej Polski, którzy przekazują środki z Funduszu Sprawiedliwości do Kół Gospodyń Wiejskich. Dzieje się to oczywiście głównie w okręgach wyborczych, w których owi politycy zostali wybrani. Ziobryści pokazują w ten sposób, że okręgi wyborcze, które na nich zagłosują, mogą później liczyć na publiczne pieniądze.

Rządzący i powiązani z nimi aktywiści starają się zamykać usta niezależnym mediom. Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nakłada kary albo zwleka z przyznawaniem koncesji (np. dla Tok FM lub stacji należących do grupy TVN). Ukoronowaniem tego procesu było uchwalenie ustawy o komisji „rosyjskiej", która miała, w skrajnym przypadku, uniemożliwić konkretnemu politykowi zostanie premierem.

Jeśli ostatni rok rządów polega głównie na straszeniu wyborców i doskonaleniu narzędzi służących do wygrywania wyborów, to kolejna kadencja PiS może służyć do domykania systemu. Partia chce kontroli nad prokuraturą, sądownictwem konstytucyjnym. Może zawalczyć o opanowanie sądownictwa powszechnego, spółek skarbu państwa, a fundusze celowe i różnego rodzaju agencje staną się źródłem finansowania działalności partyjnej.

Przejęcie władzy przez obecną opozycję może zatrzymać ten proces. Ale nawet jeśli będzie chciała przejąć narzędzia stworzone przez PiS i wykorzystać je dla swoich celów, będzie to trudne, ponieważ napotka opór obecnych już w nich ludzi starego układu. Ponadto nauka obsługi tego systemu będzie wymagała czasu.

Od 2005 r. u władzy wymieniają się stronnictwa kierowane przez dwóch ludzi – to aż osiemnaście lat. Może dlatego Donald Tusk wciąż nie przejawia woli do wyrazistej aktywności po wyborach, podkreślając, że to, co się wtedy będzie działo, jest obecnie dla nich mniej istotne niż sama zmiana kierownictwa kraju. „Kiedy bijesz się na polu walki, to raczej nie myślisz o tym, jak urządzisz swój dom na emeryturze. Odebranie PiS-owi władzy to pierwszy i najważniejszy punkt mojego programu" – mówił w ubiegłym roku „Tygodnikowi". Także potencjalni koalicjanci Platformy to partie, których działacze zdążyli już w przeszłości zmęczyć się władzą, zwłaszcza Lewica i PSL.

Różnica polega jednak na tym, że PiS się władzą nasycił. Dlatego przypomina rozleniwionego kocura, któremu nie chce się gonić za myszami, ale boi się, że zabiorą mu ciepłe miejsce na kaloryferze. Opozycja zdążyła zgłodnieć – i to napędza ją w kampanii.

© STEFAN SĘKOWSKI

Dobra, zmiana

MARCIN DUMA, BADACZ OPINII, PREZES IBRIS:

Cztery lata temu wyborcy uznali, że z PiS u steru mogą się dalej bogacić, i dlatego większość opowiedziała się za kontynuacją. Dziś gotowi jesteśmy zaryzykować zmianę. Uważamy, że obecna władza się zużyła.

MAREK KĘSKRAWIEC: Po raz kolejny zbadaliście nastroje Polaków. Jest Pan zaskoczony wynikami?

MARCIN DUMA: Wnioski są bardzo ciekawe. Poczucie braku nadziei i frustracji, które po raz pierwszy odnotowaliśmy zimą 2021 r. w związku z przedłużającą się pandemią – zaczęło się przeradzać w gniew. Wcześniej byliśmy pasywni, uginaliśmy się pod kolejnymi zdarzeniami, a teraz zrodził się w nas bunt i niezgoda na milczące cierpienie, które trwa już trzeci rok, jeśli weźmiemy pod uwagę covid, drożyznę i wojnę. Dziś chcemy rzeczywistość zmienić, wyjść z apatii, zerwać kajdany.

Co Polacy uznają dziś za kajdany? Pewnie narracja nie jest jedna.

Niepisowska część Polski czuje się spętana i przyduszona życiem w kraju, który nie spełnia ich elementarnych oczekiwań, nie mówiąc o marzeniach – za to gnębi ich i upokarza. To są mocne słowa, a używają ich już nie tylko przedstawiciele radykalnego „antypisu", ale dużo szersza grupa. Cztery lata temu wyborcy uznali, że z PiS u steru mogą się dalej bogacić, i dlatego większość opowiedziała się za kontynuacją. Koszty tych rządów, z których Polacy zdawali sobie sprawę, oceniliśmy jako mniej dotkliwe od oczekiwanych zysków.

Dziś już nie ma tamtej atmosfery?

Obserwujemy uczucie braku stabilności i wiary, że władza, która długi czas tę stabilność nam przynosiła, znowu sobie poradzi. Mam wrażenie, że większość z nas gotowa jest zaryzykować zmianę u steru, ale nie dlatego, że tak bardzo kochamy którąś z opozycyjnych partii; bardziej chodzi o to, że obecna władza się zużyła, więc gotowi jesteśmy na ryzyko zmiany. Wciąż jest oczywiście bardzo liczna grupa, sięgająca niemal jednej trzeciej społeczeństwa, dla której nie ma alternatywy dla obecnego rządu, ale jest za mała, by dać PiS samodzielne rządy.

Dlaczego raport nazwaliście: „Szkoda, że Państwo tego nie widzą"?

Odwołaliśmy się do języka radiowych sprawozdawców sportowych, a wybory potraktowaliśmy jak piłkarskie derby, w których liczą się tylko dwie siły. Na trzecią nie bardzo jest miejsce, do takiej roli może aspirować co najwyżej zespół sędziowski i walka toczy się dziś w Polsce o to, kto znajdzie się w tej roli. Albo więc arbitrem zostanie Mentzen, albo będzie to duet Hołowni i Kosiniaka-Kamysza. Jest również Lewica, ale ona dziś nawet nie aspiruje do takiej roli. Ważne jest oczywiście, kto wystąpi w drużynach i kto przyjdzie na stadion. Dziś można mieć wrażenie, że część kibiców PiS jest trochę rozczarowana i wstydzi się otwarcie paradować w koszulce z nazwą klubu; w tej chwili to głosowanie na opozycję znajduje się w nurcie oczekiwań społecznych. Ale jak ci ludzie zachowają się w wyborach? W badaniach mówią nam czasem, że nie pamiętają, na kogo ostatnio głosowali, że teraz może w ogóle nie pójdą, ale podejrzewam, że wśród tych ludzi jest część „nieśmiałych wyborców PiS", których w sondażach nie widzimy, ale oni ostatecznie pójdą głosować.

Czy to rozczarowanie dotyka tylko „nieśmiałych" zwolenników, czy twardy elektorat PiS również?

Ten twardy pozostaje wierny, niemniej gniew, który objawia się nie tylko w dużych miastach, ale występuje jak Polska długa i szeroka, sprawia, że ci ludzie muszą się coraz częściej mierzyć z tym nastrojem, więc swoje poglądy zaczęli ukrywać. Wynik PiS może więc być w sondażach zaniżony. Czy „nieśmiali" wyborcy mogą przynieść wynik z czwórką z przodu? Takie niby badania mają w PiS, ale ja w nie wątpię, choć ostateczny rezultat może być wyższy niż spodziewany.

Nigdy jednak aż tak wyraźnie nie było widać wypalenia tej ekipy. Mogliśmy to obserwować np. podczas ceremonii pieczętującej zmiany w rządzie: brak entuzjazmu, smutek, zmęczenie, niepewność. Polki i Polacy to czują?

Czują brak energii, widzą wewnętrzne skłócenie środowiska oraz utratę zdolności narzucania własnej narracji, w czym PiS był kiedyś bardzo dobry. Wciąż oczywiście próbuje, ale efekty są marne. Jakiej kampanijnej opowieści się chwyci, to kończy się tak samo – przestaje nią zarządzać. Ustawa o komisji mającej tropić rosyjską agenturę szybko zmieniła się w lex Tusk, wymyślone nie dla tropienia agentury, ale jako sposób usunięcia z „derbów" lidera opozycji.

Nie działają też pomysły, które działały. Darmowe autostrady, z których skorzystają raczej bogatsi niż biedni, przeszły bez echa. Recepcja 800 plus też okazała się rozczarowująca, tak jakby Polacy usłyszeli oczywistość.

Autostrady znikły w cieniu 800 plus, a 800 plus skleiło się z propozycją Tuska, by podwyżkę świadczenia uchwalić od czerwca, a przede wszystkim – i to jest naprawdę ciekawe – zmiana ta została uznana za dowód rozdawnictwa, zanim PiS zdążył cokolwiek więcej o niej opowiedzieć.

No ale przecież jeszcze niedawno argumenty o rozdawnictwie, a zwłaszcza klasizm obecny w komentarzach o „hołocie, która wzięła 500 plus i okupuje nadmorskie plaże", obracały się przeciwko krytykom programu i opozycji.

Jesteśmy już w innym momencie. Doświadczyliśmy przez ostatnie półtora roku wysokiej inflacji, a społeczeństwo powiązało programy społeczne ze wzrostem cen. I choć nadal większość z nas

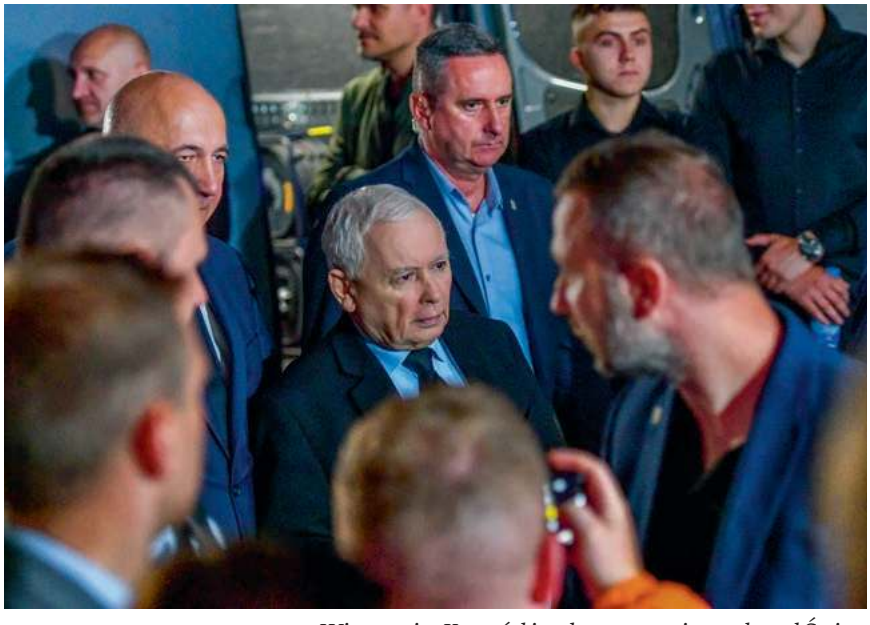

MARCIN BIELECKI / PAP

Wicepremier Kaczyński podczas otwarcia tunelu pod Świną. Świnoujście, 30 czerwca 2023 r.

uważa, że samo 500 plus nie powinno być zabrane, to – po pierwsze – nie jest to już świeży program budzący emocje i nadzieje, a po drugie – podwyższanie świadczenia rodzi obawy, że znowu rozpędzi się inflacja. To jest dla nas dziś ważniejsze. Oczywiście, przyczyny kryzysu są bardziej złożone, ale nie prowadzimy tu analizy ekonomicznej, tylko rozmawiamy o nastrojach przedwyborczych.

Polacy wolą dziś, żeby zamiast dawać im pieniądze, po prostu ich nie zabierać?

Tak, mówią nam w badaniach: „Inflacja się obniża, więc nie kuśmy losu podwyżką świadczenia". Wielu z nas uważa, że musimy przyhamować z rozdawnictwem rozumianym jako zabieranie nam pieniędzy poprzez podatki, by potem je nam oddawać. Zwłaszcza że państwo oddaje tylko część, bo z tej sumy wspiera również takich, którym sami byśmy dać nie chcieli. Coraz więcej Polaków jest zdania, także w elektoracie PiS, że państwo zabiera aktywnym i pracowitym, a daje wszystkim, także cwaniakom i nierobom. Gdyby jeszcze to 800 plus było obietnicą powrotu na ścieżkę wzrostu kraju, zapowiedzią nowego początku, ale nie – nie wierzymy, że będzie lepiej, co najwyżej dołożą nam do zapomogi, byśmy jakoś przetrwali.

Ta władza wychodziła już z różnych kłopotów, większość wynikała zresztą z potykania się o własne nogi, a nie ze strategii opozycji. Jednak z tego, co Pan dziś mówi, wynika, że przekonanie o omnipotencji PiS gdzieś się rozpłynęło.

PiS o różne rzeczy się potykał, ale zawsze odzyskiwał formę. W ostatnich dwóch miesiącach walczy już tylko z problemami, które sam tworzy, a potem zamienia je w kolejne. Na dodatek mimo obecności Zbigniewa Ziobry na konwencji w Bogatyni w społeczeństwie jest świadomość ich wewnętrznych konfliktów frakcyjnych. Kiedyś te kłótnie nie wychodziły jednak na zewnątrz, a Zjednoczona Prawica uważana była za twór bardzo spójny – to opozycja była rozbita. Dziś wszyscy wiedzą o wzajemnej niechęci Morawieckiego i Ziobry, o konfliktach w sztabie, złej strategii wyborczej – to rozsadza ten obóz, a w kontekście wyborów na horyzoncie jest wręcz fatalne.

Ale przecież opozycja też się kłóci.

Ale to są kłótnie o strategię pomiędzy ugrupowaniami, a nie wojny wewnątrz nich. Nie słyszymy nic o możliwym rokoszu w Platformie i odejściu jakiejś znaczącej grupy. Kłopoty wewnątrz Lewicy to też daleka przeszłość. Jest oczywiście problem kryzysu Trzeciej Drogi, pożeranej w sondażach po marszu 4 czerwca przez PO, ale mimo wszystko sojusz partii Hołowni i Kosiniaka-Kamysza był krokiem jednoczącym, a nie rozbijającym opozycję.

Z drugiej strony nacisk Donalda Tuska nawołującego do wspólnej listy mocno osłabił Trzecią Drogę, co w efekcie może oznaczać klęskę całego obozu. To też jest wojna w rodzinie.

Ideę wspólnej listy traktuję nie jako rozmowę o tym, byśmy poszli razem, ale żeby ci inni oddali wyborców. To nie jest szantaż emocjonalny skierowany w stronę Kosiniaka, Hołowni, Czarzastego czy Biedronia, ale w stronę ich wyborców. I trzeba oddać największej sile, że potrafi z tej umiejętności korzystać. Czy to działa na korzyść całego obozu? Niekoniecznie. Obgryzanie przez PO mniejszych partii może w naszym skomplikowanym systemie liczenia głosów skończyć się mniejszą liczbą posłów w parlamencie. To nie jest bowiem tak, że przy metodzie D'Hondta przelicza się uzyskane procenty na mandaty prostym mechanizmem na poziomie krajowym. Nie, my mamy 41 okręgów i tyle samo małych Polsk, gdzie rozdziela się mandaty i gdzie te proporcje mogą wyglądać trochę inaczej niż w całym kraju, zwłaszcza że okręgi mają różne wielkości i różną liczbę miejsc w parlamencie. W niektórych 5 proc. głosów gwarantuje już mandat, w innych potrzeba ponad 10 proc., co jest na niekorzyść mniejszych ugrupowań opozycyjnych.

Jak na to zapatruje się PiS?

Do pewnego stopnia się cieszy, bo to, co straci na rzecz Platformy Trzecia Droga, to w sporej części przy przeliczaniu głosów na mandaty przejmie PiS. Wyborca, który przeniesie głos z Trzeciej Drogi na PO, może w niektórych okręgach wspomóc nieświadomie obecną władzę.

Wspomniał Pan o zatraceniu przez PiS zdolności narzucania własnej narracji. Czy jednak temat imigracji oraz przygotowywanego w UE systemu relokacji, zwłaszcza w kontekście śmierci młodej Polki na wyspie Kos i erupcji przemocy na francuskich ulicach, nie może być mocną pożywką dla PiS? Retoryka użyta przez Donalda Tuska w słynnym filmiku mającym pokazywać hipokryzję obecnej władzy była jednak wejściem w jej narrację.

To zjawisko będzie w Polsce rezonować, zwłaszcza że ściągani do pracy migranci zaczęli być u nas naprawdę widoczni. Na to nakłada się też zmęczenie ↦

↦ uchodźcami z Ukrainy, którzy zadomowili się u nas i z którymi coraz częściej musimy rywalizować.

Słyszę od roku o zmianie nastrojów wobec Ukraińców, ale wciąż nie czytam o żadnych eskalacjach, napaściach czy bójkach między Polakami i Ukraińcami. Nie przesadzamy z tymi ostrzeżeniami?

Trochę się do ukraińskich uchodźców przyzwyczailiśmy, a trochę widzimy, że jest ich mniej. Chociaż poziom konfliktu społecznego jest wciąż daleki od wybuchu, to jednak zmiana jest wyraźna, a niechęć faktem. Nie tylko do Ukraińców, ale w ogóle do obcych, którzy zdaniem wielu Polaków mogą być dla naszego ładu społecznego niebezpieczni. Wystąpienie Tuska jest odbiciem tych emocji i dowodem, że nie tylko wśród Konfederatów takie tendencje są znaczące. Także wśród zwolenników demokratycznej opozycji znajdą się tacy, którzy wcale nie uważają, by państwo PiS maltretowało na granicy białoruskiej niewinnych uchodźców. W kwestii unijnego mechanizmu relokacji jest podobnie, nie tylko sympatycy PiS są nim zaniepokojeni i nie tylko oni uważają, że nie po to budowaliśmy na granicy barierę, by Unia wpuszczała do nas migrantów od drugiej strony.

Dlaczego Trzecia Droga traci wyborców?

Myślę, że ta koalicja wciąż nie potrafi klarownie opowiedzieć, po co oni są i czym się różnią od PO. Na dziś nie jest to odmienny program, ale brak Tuska, którego część opozycyjnego elektoratu nie chce widzieć kolejny raz u władzy. Poza tym Trzecia Droga mówi to samo, tylko trochę inaczej. Pamiętajmy też, że ten sojusz nowej siły, jaką jest Polska 2050, i weteranów z PSL – jest jednak dość egzotyczny.

To są ich główne słabości, przez które zjada ich w sondażach PO, a podczas uczty karmi się również PiS. Jeśli jednak Trzecia Droga wytrzyma z przyzwoitym wynikiem do rejestracji list i ta wspólna stanie się przeszłością, Tuskowi przestanie się opłacać podgryzanie konkurencji. Może być przecież tak, że niszcząc Trzecią Drogę Platforma przeskoczy wręcz PiS i stanie się liderem, ale rządu nie stworzy, bo nie da się go sklecić z Lewicą i Konfederacją.

BARTEK SYTA / MATERIAŁY PRASOWE IRBIS

MARCIN DUMA jest badaczem opinii i rynku, prezesem Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych.

No właśnie, skupiliśmy się na Trzeciej Drodze, a przecież trzecią siłą jest dziś Konfederacja. Skąd się bierze jej fenomen? I czy Pana zdaniem możliwe jest, by stworzyła z PiS koalicję rządzącą, tracąc przez to popularność u swych wyborców, czy też pójdzie długą drogą licząc, że nowy parlament będzie chwiejny i pełen chaosu, a oni dopiero w kolejnej rozgrywce pokażą swą siłę?

Fenomen Konfederacji to świetne wykorzystanie rosnącej roli mediów społecznościowych, na których wyrosła z uwagi na odcięcie od tradycyjnych mediów rządowych i tych sprzyjających opozycji. Karmi się tam wyborcami bardzo różnymi. Są wśród nich ludzie, którzy nigdy nie głosowali, są też zawiedzeni sympatycy PiS, którzy na Tuska nigdy nie zagłosują, natomiast Konfederacja jest dla nich bezpiecznym wyborem, bo jest prawicowa i nie jest za rozdawnictwem, kojarzącym się z lewicą. Liberalno-egoistyczna opowieść Mentzena może być równie kusząca dla części dawnego elektoratu PO, który nie zaakceptował jej przesunięcia w lewo.

Ważne są też różnice wieku. Mentzen wciąż podkreśla, że nie jest z pokolenia Tuska i Kaczyńskiego, i że czas tych emerytowanych polityków mija. Mówi: „ja jestem nową Polską", ale w części wraca do neoliberalnej opowieści snutej przed erą PiS, kiedy nie zwracano tak dużej uwagi na klasę ludową. Mentzen mówi, że nic nam nie da, ale też nic nam nie zabierze.

To wygląda jak koniec idei Polski solidarnej i powrót do klasycznej III RP.

W jakimś sensie tak. Część ludzi, którzy odpowiedzieli pozytywnie na ofertę PiS z 2015 i 2019 r., mówiącą o wyrównywaniu szans i bogaceniu się, teraz już nie uważa jej za atrakcyjną i nie wierzy ani w 800 plus, ani w to, że PiS ma nadal dobre pomysły na naszą przyszłość. Dziś państwo nie ma już zabierać, by potem dawać, ale stworzyć warunki, byśmy sami sobie wzięli. To jest klasyczna narracja III RP, która trafia do wyborców, którzy się w czasach transformacji i wilczego kapitalizmu wychowali.

Oczywiście, zwolennicy Polski solidarnej nie znikli, tylko zmieniły się znacznie proporcje i nastroje. W dużej części te emocje obsługuje dziś Konfederacja, a nie Tusk, który chciałby 800 plus już od czerwca. Oczywiście jego twardy elektorat powie, że to był genialny ruch, gambit wytrącający Kaczyńskiemu oręż z ręki. Ale dla innych wyborców to będzie wpisywanie się w politykę pisowskiego rozdawnictwa.

Co się właściwie ludziom nie podoba w Tusku?

Zacznę od tego, że dla elektoratu PO jest on wciąż charyzmatycznym przywódcą i jedyną obietnicą wygranej z Kaczyńskim. Wyjeżdżał z Polski jako wielokrotny zwycięzca, to inni później przegrywali, więc po powrocie z Brukseli też musi wygrać. Z drugiej strony wyborca Lewicy nie bardzo ufa w jego progresywną przemianę i pamięta, że przez osiem lat rządów PO nawet nie zalegalizowano związków partnerskich. Z kolei wyborca Trzeciej Drogi pamięta zabranie pieniędzy z OFE oraz podwyższenie wieku emerytalnego. Wielu ma też wrażenie, że czas Tuska w polityce minął.

Fakt, starcie Kaczyński-Tusk zaczęło się w 2005 r. i uzyskało pełnoletność, trwa przecież od 18 lat. Niektórzy są już tym zmęczeni.

Z naszych badań wynika, że większość Polaków nie chce już tego duopolu, choć oczywiście przy urnie w dużej części będą na niego głosować, wybierając „mniejsze zło". Ludzie jednak coraz częściej oczekują dehermetyzacji tego systemu. To też jest źródło popularności Konfederacji, która

od „PO-PiS-u” odcina się najbardziej. I dlatego dla niej wejście do rządu z którąkolwiek z głównych sił byłoby kosztowne. Ten elektorat chce zasadniczej zmiany, a nie kontynuacji z udziałem swoich ludzi. Zresztą nie wiem, jak sztandarowe postulaty Konfederacji miałyby się połączyć z narracją PiS. Także scenariusz niewchodzenia w oficjalną koalicję, tylko popierania rządu mniejszościowego i handlowania poparciem w zamian za zapisy w konkretnych ustawach, jest mocno ryzykowny.

Faktem pozostaje, że przy obecnych sondażach stworzenie stabilnego rządu bez Konfederacji wydaje się wątpliwe. Opozycja demokratyczna w tej chwili nie ma na tyle siły.

PiS liczy, że w ostateczności wyrwie część posłów z Konfederacji.

Gdyby chodziło o pięciu czy dziesięciu, mogłoby się udać, ale oni będą potrzebować co najmniej trzydziestu. To nierealne marzenie wobec partii, która rośnie w siłę. Ona raczej będzie recenzować duopol i prowadzić grę w perspektywie kolejnych, być może przyspieszonych wyborów.

Rozmawiamy ponad godzinę i w zasadzie nie mówimy o Lewicy, która mimo trudnej sytuacji gospodarczej i ognistych sporów o aborcję tkwi w narożniku.

> PiS o różne rzeczy się potykał, ale zawsze odzyskiwał formę. W ostatnich dwóch miesiącach walczy już tylko z problemami, które sam tworzy.

Lewica uznała, że na walkę z Tuskiem, jak to robi Trzecia Droga, nie ma siły, zwłaszcza że po przesunięciu PO w lewo starają się o podobnych wyborców. Ponadto konflikt z Tuskiem mógłby im ograniczyć dostęp do tradycyjnych mediów, które trafiają do ich wyborców; w tych społecznościowych nie mają zaś takiej pozycji jak Konfederacja. Lewica jest pogodzona z tym, że gra w niższej lidze. Co prawda najlepiej uosabiają progresywne tendencje społeczne i najbardziej dbają o prawa kobiet, ale ta agenda niekoniecznie musi być decydująca dla wyborcy przy urnie, i oni to wiedzą. Raczej więc zechcą zająć miejsce u boku PO, by niejako przypilnować jej w paru sprawach, jak związki partnerskie czy aborcja. Lewica po wielu latach w ławach opozycji chce odzyskać sprawczość, a nie tylko wołać na puszczy.

W Polsce problemem jest frekwencja. Czy któraś z partii próbuje komunikować się z ludźmi, którzy na wybory nie chodzą?

Problem jest inny: jak przemówić do tych, którzy w 2019 r. poszli na wybory, a teraz nie chcą. Bo mimo tej emocji gniewu i chęci zmiany 20 proc. wyborców PiS i Lewicy nie chce iść głosować – nie widzą swoich reprezentantów. Wiatr w żagle chwycił za to elektorat PO, tu mamy pełną mobilizację od afery z lex Tusk.

Załóżmy na koniec scenariusz zwycięstwa PiS. Co by to oznaczało?

O zmianach ustrojowych nie chciałbym nawet dywagować. Na pewno doszłoby do dekompozycji opozycji, końca hegemonii Donalda Tuska i długiego procesu wyłaniania kolejnego lidera. Paradoksalnie porażka Kaczyńskiego mogłaby dla niego, mimo wieku, być mniej bolesna. Nawet jeśli straci rządy, może być wciąż liderem najsilniejszego ugrupowania w kraju, a poza tym pamiętajmy, że PiS będzie miał jeszcze przez jakiś czas instrumenty wpływu na władzę poprzez prezydenta, Trybunał Konstytucyjny, państwowe media.

Erozja PiS może być dłuższa, bo nie widać nikogo, kto obecnie mógłby stać się konkurencją dla Kaczyńskiego.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i sprzedaż: Anna Dziurdzikowska, Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Moc kobiet

Machla, Noa, Chogla, Milka i Tirca – pięć sióstr, których imiona w Księdze Liczb padają po trzykroć. To córki Celofchada, które ważą się upomnieć o dział ziemi dla siebie jako schedę po zmarłym bez męskiego potomka ojcu. Otwierają one 27. rozdział Księgi Liczb. Jedna z żydowskich tradycji przygląda się następującym po sobie wersom biblijnym, które zdają się nie mieć ze sobą nic wspólnego. Tak robi jeden z mędrców w starożytnym midraszu. „Rabin Natan rzecze: Napisane jest wcześniej: »[A między tymi nie było żadnego ze spisanych przez Mojżesza i Ahrona, kapłana, którzy spisali synów Israela na puszczy Synai.] Gdyż rzekł był Wiekuisty o nich: umrzeć im na pustyni! I nie został z nich nikt itd.« [Lb 26, 64-65; Cylkow], a [tuż] za tym: »I przystąpiły córki Celofchada itd.« [Lb 27, 1]. Co ma jedno do drugiego? Pismo ma nas pouczyć, że moc kobiet w tym pokoleniu przewyższała siłę mężczyzn. Mężczyźni mówili: [»A po co Wiekuisty prowadzi nas do ziemi tej? – abyśmy padli od miecza? – aby żony nasze i dzieci nasze stały się łupem? Czyżby nie lepiej nam było wrócić do Micraim?« I rzekli jeden do drugiego:] »Ustanówmy sobie wodza, i wróćmy do Micraim!« [Lb 14, 3-4], zaś kobiety powiedziały: »Daj nam posiadłość między braćmi ojca naszego!« [Lb 27, 4]".

Przypomnijmy: gdy 10 spośród 12 wysłanych przez Mojżesza wywiadowców wróciło do obozu z niepomyślnym raportem dotyczącym Kanaanu, zaczęły się wśród mężczyzn narzekania i mowa o powrocie do Egiptu. Najwyższy zdecydował, że nikt z urodzonych w Egipcie – poza Jozuem i Kalebem – nie wejdzie do Ziemi Obiecanej. W tym samym midraszu czytamy: „Skoro usłyszały córki Celofchada, że Ziemia [Obiecana] będzie przydzielana szczepom, a nie kobietom, zebrały się, by się naradzić. Rzekły: miłosierdzie śmiertelnika nie jest takie jak miłosierdzie Wiekuistego. Śmiertelnik lituje się nad mężczyznami bardziej niż nad kobietami. Jednak Ten-który-przemówił-i-stał-się-świat nie jest taki, lecz nad mężczyznami i nad kobietami – Jego miłosierdzie dotyczy wszystkich, jak jest powiedziane: »Dobry Bóg dla wszystkich, i miłosierdzie Jego nad wszystkiemi tworami Jego« (Ps 145, 9)".

A więc istniało już kiedyś pokolenie przełomu, w którym „moc kobiet przewyższała siłę mężczyzn". Wtedy Celofchadowe córki „stanęły przed Mojżeszem, i przed Elazarem, kapłanem, i przed naczelnikami i całym zborem" (wers 2), by się upomnieć o swoje prawa – niebywała odwaga. Czy mężczyźni z hierarchii nie „wiedzą lepiej", czego Bóg oczekuje? W sądzie mężczyzn kobiety nie wygrają – trzeba iść do samego Źródła Sprawiedliwości. Najwyższy nie pozostawia wątpliwości: „Słusznie córki Celofchada mówią" (wers 7). Iza, Justyna, Ania, Agnieszka, Dorota. Ani jednej więcej! ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Antyekumenizm

Serce tego ludu stało się gnuśne, ich uszy dotknęła głuchota, a oczy ślepota, bo nie chcą widzieć ani słyszeć i nie chcą zrozumieć ani się nawrócić, żebym ich uzdrowił". Natomiast „kto słucha nauki i ją rozumie, [ten] przynosi plon: jeden stokrotny, drugi sześćdziesięciokrotny, a trzeci trzydziestokrotny", powiedział Jezus do Apostołów, a tym samym do nas. I podobnie jak oni, my również mamy kłopot z dosłuchaniem się głosu Jezusa w głosach świata i Kościoła. Choćby takich: „W Niebie mój dom, na ziemi Twój tron. / Dlatego chcę pamiętać, że do Ciebie wrócę znów. / Radość mój znak, ziemia mój szlak. / Zatańczyć chcę, bo chciałeś mnie najmocniej, jak się da! / Najpierw byłem w sercu Boga, stamtąd tutaj prosta droga. / Potem wrócę znów do Niego. Będzie super! Na całego!" – wyśpiewujemy w kościołach.

Mamy więc dwa światy, sąsiadujące ze sobą i skłócone. Niebo-*sacrum* i ziemia-*profanum*, niewyobrażalna doskonałość i jej niewyobrażalne przeciwieństwo. Domena wiecznego dobra i domena wiecznego zła. A przecież pierwsze wystąpienie przeciwko Bogu miało miejsce nie w ogrodach Edenu, ale pod bokiem Stwórcy, wynalazcami zła zaś nie byli ludzie, lecz aniołowie. Co więcej, do pewnego czasu szef upadłych aniołów, dręczący sprawiedliwego Hioba, był dworzaninem Boga. Wreszcie sprawa najistotniejsza: czy i jak można pogodzić obraz rozsierdzonego Boga, spoglądającego bezradnie, jak człowiek siebie i innych wyniszcza, lub bez litości pakującego do piekła swoje dzieci, z obrazem Boga, który „stał się ciałem", to znaczy tak się zmaterializował, że nie można Go w żaden sposób odróżnić od otoczenia, w którym wciąż żyje? Owszem, chcieliśmy, i nadal chcemy, Boga stąd eksmitować, ale na próżno, choć czasami udaje się nam, czyli Kościołowi, żyć tak, „jakby Boga nie było".

Patriarcha Konstantynopola Bartłomiej mówi, że mamy „nowy ekumenizm", wynalazek moskiewskiego patriarchatu, który pozwolił „namaścić" prezydenta Federacji Putina na politycznego mistrza Cerkwi, a patriarchę Cyryla na jej duchowego przywódcę. Skutkiem „tej dzielącej i destrukcyjnej mentalności" jest brutalny atak Rosji na Ukrainę i przedstawianie tej „wojny jako zbawienia Ukrainy przed rzekomym uwiedzeniem przez bezbożny, świecki i liberalny Zachód". Po prawdzie, „ten »nowy ekumenizm« jest zasadniczo nieekumeniczny, jeśli nie antyekumeniczny", ponieważ nastawia Cerkiew moskiewską wrogo wobec innych chrześcijan, którzy nie akceptują działania opartego na takim „zestawie wartości". „Ostatecznie ów »nowy ekumenizm« promuje etos polaryzacji oparty na dualistycznym, a nie inkarnacyjnym rozumieniu relacji Boga ze światem". A przecież „nie jesteście obcymi i przychodniami, ale (...) domownikami Boga". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Dar Boga

Jezus, wychodząc z Kafarnaum, ujrzał człowieka imieniem Mateusz, siedzącego na komorze celnej, i rzekł do niego: Pójdź za Mną!". A on wstał i poszedł za Nim (zob. Mt 9, 9-13). Jakie było to spojrzenie Jezusa, że ten człowiek po prostu „wstał i poszedł za Nim"? Więcej – św. Łukasz zaznacza, iż uczynił tak, zostawiwszy wszystko (por. Łk 5, 28).

Jezus zobaczył w nim Mateusza! „Mateusz" znaczy tyle, co „Dar Boga". Możemy być niemal pewni, że nikt inny w całym Kafarnaum nie odbierał go w ten sposób. Wszyscy inni widzieli w nim raczej narzędzie szatana. Był przecież celnikiem, to znaczy zawodowym złodziejem, kolaborującym z rzymskim okupantem. Zbierał podatki dla Rzymu, okradając przy tym „swoich". Był zaprzeczeniem swojego imienia, a wejście do jego domu i zajęcie w nim miejsca przy stole oznaczało zaciągnięcie rytualnej nieczystości. Jezus dostrzega w nim „Dar Boga" – już teraz widzi w nim ucznia, apostoła, ewangelistę, męczennika. Widzi w nim człowieka, który jeszcze otworzy się na wszechpotężną łaskę Boga. Zdolnego do nawrócenia. I do misji.

Właśnie tak: do misji! Jezus nie przyszedł – sam o tym mówi (w. 13) – do Kafarnaum, aby Mateusza rozgrzeszyć. Przyszedł, aby go powołać! „Nie przyszedłem powołać sprawiedliwych, ale grzeszników". Wybaczenie przychodzi wewnątrz powołania. Można powiedzieć jeszcze mocniej: pełne wybaczenie wypowiada się dopiero powołaniem: do bycia razem („pójdź za Mną"), do wspólnie podejmowanych zadań, do pełnienia dobra. Przebaczenie – przyjęte – uwalnia potencjał drzemiący w osobie – wiarę w to, że jest komuś potrzebna, i że dotychczasowe życie i wybory tego nie przekreśliły.

Czy nie dlatego właśnie Jezus określa się w tym wydarzeniu mianem „lekarza"? Mówi: „Nie potrzebują lekarza zdrowi, lecz ci, którzy się źle mają" (w. 12). Ciekawe, że nie nazwał tak siebie w poprzednim epizodzie (Mt 9, 1-8), w którym uzdrowił przyniesionego mu paralityka. Teraz jest lekarzem – w spotkaniu z Mateuszem. A pierwszym lekiem, po który sięga, jest wspólnota stołu. Znów, dokładnie na odwrót, niż podpowiada nam pewna siebie „sprawiedliwość", która zaleca nam oddzielenie się od grzesznika, zawieszenie relacji, dopóki się nie poprawi. Jezusowa pedagogika mówi: w taki sposób nigdy się nie poprawi. Bo nie ma nikogo, kto by w niego uwierzył...

Uzasadnieniem takiego podejścia jest Słowo – Jezus przytacza zdanie z Ozeasza, które zarówno u Proroka, jak i w zapisie Ewangelii brzmi nieco mocniej niż w naszym tłumaczeniu: „Chcę miłosierdzia, nie ofiary" (w. 13; por. Oz 6, 6). Ozeasz używa tutaj słowa *chesed*, oznaczającego dobroć (miłosierdzie, litość), która nie jest wzajemnością. Bóg jest dobry, gdyż jest wierny sobie. Nie w nas, lecz w sobie znajduje ostateczny motyw dobroci względem nas. I tak postępuje Jezus: powołuje Mateusza, zanim się nawróci. To powołanie nawraca. ©

Badacie wygląd nieba i ziemi, a nie potraficie rozpoznać tego, kogo macie przed sobą, ani nie wiecie, jak sprawdzić chwilę obecną.

EWANGELIA TOMASZA

Umysł wolny, świadomy wszystkich form tworzących twoje otoczenie, pozostaje spokojny i nieporuszony.

MISTRZ ZEN HUI-HAI

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 VII)

15. niedziela zwykła: Iz 55, 10-11; Ps 65; Rz 8, 18-23; Mt 13, 1-23;
Poniedziałek: Wj 1, 8-14. 22; Ps 124; Mt 10, 34 – 11, 1;
Wtorek: Wj 2, 1-15a; Ps 69; Mt 11, 20-24;
Środa: Wj 3, 1-6. 9-12; Ps 103; Mt 11, 25-27;
Czwartek: Wj 3, 13-20; Ps 105; Mt 11, 28-30;
Piątek: Wj 11, 10 – 12, 14; Ps 116; Mt 12, 1-8;
Sobota: Pnp 8, 6-7 lub 2 Kor 5, 14-17; Ps 63; J 20, 1. 11-18;
16. niedziela zwykła: Mdr 12, 13. 16-19; Ps 86; Rz 8, 26-27; Mt 13, 24-43.

KULTURA WIECZNEJ TERAPII

Nigdy w historii nie martwiliśmy się aż tak mocno o zdrowie psychiczne: własne i naszych dzieci. To dowód, że jesteśmy bardziej świadomi swoich problemów i pragnień. Z wszystkim można jednak przesadzić.

DOMINIKA TWOREK

W czasach skupienia na potrzebach jednostki oraz zmniejszającej się rangi autorytetów, tradycji i rodziny jako spoiw „społecznego ładu", na dobre rozgościło się zjawisko, które izraelska socjolożka Eva Illouz określiła mianem „kultury terapeutycznej". To ona stoi za przekonaniem o konieczności podejmowania nieustannych działań na rzecz swojego dobrostanu, monitorowania jakości relacji z innymi ludźmi, dążenia do samorealizacji i przezwyciężania własnych ograniczeń. Dylematy zarezerwowane kiedyś dla etyki i religii oraz doświadczenia uważane za naturalne i kształtujące osobowość stały się domeną psychologii. Coraz więcej postaw i emocji rozpatruje się jako elementy wymagające leczenia. Nasze niedoskonałości definiowane są jako nieprawidłowości, które trzeba „przepracować", by odzyskać „sprawczość". Terapeuci dotychczas skupiający się na najpoważniejszych przypadkach – teraz kierują swą ofertę ku całemu społeczeństwu. Samych podejść terapeutycznych jest bardzo wiele (ale ustawy o zawodzie – żadnej). I tak jak kiedyś lekceważono wpływ różnych trudnych doświadczeń na nasze życie, tak obecnie bywa on przeceniany.

Praktyka psychoterapii, która dotarła do nas z Zachodu dekady temu, w ciągu ostatnich kilku lat – w wyniku pandemii oraz wojny w Ukrainie – znacznie zwiększyła swoje grono odbiorców. Z badań przeprowadzonych w 2022 r. przez Przemysława Sadurę i Sławomira Sierakowskiego wynika, że 88 proc. Polaków zgadza się ze stwierdzeniem, iż obowiązkiem państwa jest zagwarantować każdemu dostęp do psychoterapii. Dziś nie jest już ona stygmatyzującą czy wstydliwą kwestią, a popyt na psychoterapię znacznie przekracza możliwości państwowej ochrony zdrowia. Stąd też zdecydowana większość takich usług odbywa się na rynku prywatnym, a cena pojedynczej wizyty u psychoterapeuty w dużym mieście oscyluje w granicach 150-250 zł, choć zdarzają się osoby, które za 50-minutowe spotkanie biorą wynagrodzenie rzędu nawet 400 zł. Korzystanie z terapii jest więc dziś raczej luksusem dla przedstawicieli klasy średniej, a zwłaszcza wyższej, mimo że zapotrzebowanie na nią deklaruje całe społeczeństwo.

O ile samo zjawisko popularności psychoterapii, opartej na psychologii jako nauce, jest pozytywnym przejawem dbania o nasz dobrostan psychiczny – to sama „kultura terapeutyczna" z paradygmatem nieustannego samodoskonalenia, wrastająca coraz mocniej w kulturę masową – już nie.

Lepsza wersja siebie

– Pojawienie się kultury terapeutycznej w Polsce możemy postrzegać jako pozytywny przejaw tego, iż rośnie grupa ludzi, którzy mają zaspokojone bazowe, materialne potrzeby, dlatego mogą poświęcać energię na zajmowanie się swoimi wewnętrznymi, psychicznymi procesami. Niewątpliwym plusem jest też to, że stała się ona katalizatorem przemian społecznych, które prowadzą do coraz bezpieczniejszego zaopiekowania się naszym życiem psychicznym i interpersonalnym. Jej rozwój pociąga za sobą profesjonalizację, przyczynia się do tego, że mamy coraz lepiej przygotowanych specjalistów i coraz więcej narzędzi wsparcia – mówi socjolożka i psychoterapeutka Natalia Żuk-Michałowska.

Problematyczną materią pozostaje nieuregulowany rynek usług terapeutycznych. W Polsce brakuje ustawy o zawodzie psychoterapeuty, której domaga się od wielu lat samo środowisko. Dziś nie obowiązują żadne oficjalne reguły co do tego, kto może uprawiać tę profesję, jakie wykształcenie trzeba zdobyć, w jaki sposób dalej się szkolić, jakiej kontroli podlegać. W tej próżni prawnej gabinet terapeutyczny może założyć każdy – nawet wróżka – nie trzeba bowiem okazywać do tego żadnych uprawnień. To sami pacjenci muszą wiedzieć, że w środowisku profesjonalistów uznaje się za obowiązek zdobycie certyfikatu ukończenia 4-letniego kursu w którymś z nurtów psychoterapeutycznych oraz poddanie się nadzorowi superwizora.

Prace nad ustawą trwają w parlamencie od wielu miesięcy, tymczasem popyt na podobne usługi powoduje rozkwit przedsięwzięć, które jedynie tytułują się terapeutycznymi, faktycznie zaś prowadzone są przez amatorów, którzy mogą swoim klientom zaszkodzić. Niektórzy z nich potrzebują zresztą bardziej coacha pomagającego w znalezieniu drogi do osiągnięcia celu życiowego niż psychoterapeuty. Kłopot w tym, że kultura terapeutyczna zaciera te granice, zagarniając kolejne obszary naszego życia i zazębiając się z ideologią ciągłego doskonalenia się i postępu. – Ona mówi nam, że musimy nieustannie stawać się lepszą wersją siebie, co oznacza nieprzerwaną mobilizację. To z kolei idzie ręka w rękę ze współczesnym kapitalizmem, w którym interesy gospodarcze dyktują dbanie o pracowników, ale głównie po to, by ci stawali się coraz efektywniejszymi narzędziami wytwarzania przychodu dla firmy – podkreśla psychoterapeutka.

Według niej kultura terapeutyczna związana jest także z indywidualizacją, skupieniem na własnych potrzebach i wiarą w zdolność do przekraczania ograniczeń: – Ta przenosi całą odpowiedzialność za własne, czasem przecież kiepskie samopoczucie i sytuację życiową na nas samych, bo skoro „chcieć to móc", a narzędzi do tego, żebyśmy radzili sobie z kryzysem psychicznym i dysfunkcjami mamy całą paletę, to „nieudanemu życiu" jesteśmy winni sami. Zapewne prokrastynujemy, lenimy się lub źle zarządzamy sobą i czasem. Z indywidualizacją wiąże się pewien paradoks, ponieważ z jednej strony czyni ona daną osobę odpowiedzialną za swoje czyny, a z drugiej – formuje ją odgórnie poprzez narzędzia rzekomo konieczne do wprowadzenia niezbędnych zmian w życie: poradniki autoterapii i samodoskonalenia, zajęcia z praktyk fizycznych, duchowych czy interpersonalnych.

Żuk-Michałowska podkreśla, że terapia powinna być środkiem do zrozumienia i odkrywania siebie oraz narzędziem wsparcia w procesie zmiany. Nie powinna jednak wzmacniać wewnętrznych nakazów ciągłego „stawania się lepszą wersją siebie", a tym samym stanowić odpowiedź na obsesyjne w tej kulturze dążenie do perfekcji i sukcesu.

Nadmierne skupianie się na sobie i swoich wewnętrznych przemianach napędza w społeczeństwie narcystyczne zachowania, które usuwają z horyzontu dobro wspólne. Tymczasem zatomizowane społeczeństwo poddane kulturze terapeutycznej przestaje myśleć o swoich trudnościach w kategoriach systemowych (choć profesjonalna psychoterapia zawiera wiele nurtów rozpatrujących człowieka jako element systemu, w którym codziennie funkcjonuje i który na niego wpływa), przez ↦

Odsłonięcie muralu solidarności z osobami doświadczającymi kryzysów psychicznych. Warszawa, 16 maja 2021 r.

MARZENA WYSTRACH / REPORTER

↦ co w sytuacji powszechnego zagrożenia związanego z wojną czy pandemią może nie być w stanie radzić sobie ze stresem lub poczuciem izolacji i osamotnienia.

Pierwszy wychowawca

Przejawy kultury terapeutycznej obserwujemy obecnie najczęściej w relacjach między rodzicami a dziećmi. O ile bezsprzecznym walorem współczesnych czasów jest większa troska o jak najlepszy rozwój dzieci, to jednak zaangażowani w budowanie dobrostanu swojego potomstwa rodzice coraz częściej przyjmują rolę menadżerów w „projekcie dziecko", przez co odbierają im podmiotowość. Nieustanne i arbitralne organizowanie różnych zajęć w czasie wolnym i przenoszenie na dzieci swoich potrzeb i marzeń kosztem ich własnych pasji może bowiem pozbawiać je swobodnej grupowej zabawy poza kontrolą dorosłych, gdzie mogłyby wykazywać się samodzielnością, socjalizować się i zyskiwać naturalną odporność na stres. A więc wychodzić spod wpływu kultury terapeutycznej, która poddaje je nieustannym analizom oraz zabija spontaniczność.

Niektórzy rodzice w szczerej trosce o swe dzieci wysyłają je na konsultacje z najrozmaitszymi specjalistami: lekarzami, fizjoterapeutami, pedagogami, psychologami i psychoterapeutami. Sztandarem kultury terapeutycznej jest bowiem uczestnictwo w różnego rodzaju działaniach rozwojowo-naprawczych już od najmłodszych lat, czego zatrważającą konsekwencją staje się powolne zanikanie elementarnej funkcji rodzica jako pierwszego wychowawcy. Jeżeli ma on jakieś problemy z dzieckiem, coraz częściej szuka odpowiedniego specjalisty, który je rozwiąże. Sęk w tym, że owe „problemy" bardzo często okazują się tak naprawdę naturalnymi trudnościami, które można rozwiązać w dobrze funkcjonującej, empatycznej rodzinie. Nie trzeba ich wcale „terapeutyzować".

– Rodzic przychodzi zatroskany z dzieckiem, któremu brakuje motywacji do nauki, a przecież może to wynikać z tego, że w domu nie ma określonych zasad sprzyjających nauczaniu: jasnego podziału obowiązków, zwyczaju szczerej rozmowy o trudnościach. Dla dorosłych problemem jest również brak pasji u dziecka, ale gdy pytam, co sami zrobili, aby taka pasja się rozwinęła, okazuje się, że nie dali ku temu żadnej podbudowy, wzoru postawy – mówi Anna Cybula, pedagog prowadząca własną praktykę terapeutyczną. Dekada doświadczenia w zawodzie skłania ją do refleksji, że kłopoty dziecka wynikają czasem z prostych błędów komunikacyjnych w rodzinie. – Bywa, że dwójka dorosłych nie może się dogadać, bo jedno jest bardziej wymagające, a drugie bardziej „luźne". Wiele matek i ojców ma też ze swoimi dziećmi relacje partnerskie, przez co one nie żyją według czytelnych reguł, niemal o wszystkim decydują samodzielnie i zaczynają manipulować dorosłymi.

Dostrzegający kłopoty dojrzały rodzic zazwyczaj stara się jak najwięcej rozmawiać z dzieckiem i szuka rozwiązań wychowawczych. Inny wybierze jednak drogę na skróty. Od razu uda się do terapeuty, by w pewnym sensie zwalić na niego problem, a samemu móc jednocześnie bez wyrzutów sumienia rzucić się w wir pracy i innych zobowiązań. – Często zdarza się, że gdy zapraszam ich wraz z dzieckiem na pierwsze spotkanie, są zdziwieni, że będą musieli poświęcić mu swój czas. A w momencie, kiedy słyszą, że mają zmienić model wychowawczy w domu, np. wprowadzić czytelne zasady i umieć je wyegzekwować albo zadbać o bliską relację z dzieckiem, wychodzą z gabinetu zszokowani. Nie chcą realizować tych wskazówek, bo to wymagałoby zmiany własnego życia. Stawiają więc opór i szukają kolejnego terapeuty, na którego mogliby zrzucić odpowiedzialność – opowiada Cybula.

Mam traumę

Wszechobecna kultura terapeutyczna zmienia również nasz język. W powszechnym użyciu mamy terminy takie jak: „trauma", „depresja", „lęk", „stres", „wysoka wrażliwość" czy „narcyzm". Słowa te stosowane są często nieadekwatnie do ich znaczenia lub są nadużywane. Mówimy, że mamy depresję, gdy ulegniemy jesiennej chandrze lub krótkiemu kryzysowi, a niewielka nieprzyjemność lub niechciane zdarzenie sprawia, że „przeżywamy traumę". Podczas spotkań towarzyskich coraz częściej rozmawia się o zaburzeniach psychicznych, a internet pełen jest ofert specjalistów (albo osób podających się za nich), którzy gotowi są nam sprzedawać audiobooki lub kursy online, gwarantujące rzekomo rozwiązanie problemów z zaburzeniami nastroju i odżywiania, bezsennością, depresją czy nerwicą natręctw.

To zjawisko ma oczywiście też swoje plusy; dostarcza nam słów pomagających wyrazić trudności oraz prowadzi do mniejszej stygmatyzacji osób z zaburzeniami psychicznymi, przez co szybciej zgłaszają się po pomoc. Jednak z drugiej strony kultura terapeutyczna przyczyniła się również do plagi autodiagnozowania (dotyka ona nie tylko kwestii psychicznych) oraz amatorskiego nadawania etykiet z nazwami chorób, także dzieciom. Zwłaszcza gdy są nieśmiałe i wycofane albo „nadmiernie" pobudzone.

Terapeutyczny dyskurs podchwyciły też same dzieci, które po przeczytaniu w internecie, że jakiś influencer ma depresję, sami chcą ją mieć. Obniżony nastrój staje się czasem – paradoksalnie – wyróżnikiem, a wręcz wartością. – Młodzież spędza mnóstwo czasu w internecie, poszukując odpowiedzi na temat przyczyn swoich problemów emocjonalnych, na siłę przypisując sobie różne zaburzenia. Dzieci mówią mi, że mają ADHD albo autyzm, chwalą się, że chodzą do psychologa – podkreśla Anna Cybula. – Młodzi ludzie szukają atencji, wyróżnienia z tłumu, i nagle stają się dla otoczenia obiektem zainteresowania. Zwłaszcza słowo „depresja" stało się

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Bielsku-Białej Wydział I Cywilny ul. Mickiewicza 22 toczy się sprawa o sygn. akt I Ns 156/23 z wniosku Wspólnoty Mieszkaniowej Fałata 4AB i 6 w Bystrej o stwierdzenie nabycia spadku po Mariannie Marcie Węglorz, c. Jana i Anny, zm. 8 września 2022 r. w Bielsku-Białej, a mającej miejsce ostatniego zwykłego pobytu w Bystrej.

W związku z powyższym Sąd wzywa spadkobierców Marianny Marty Węglorz, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ostatnio dla niektórych szalenie modne. Chorowanie na nią bywa dziś dla dzieci formą prestiżu, znajduje się w worku: „fajne, popularne". Oczywiście, kryzysy psychiczne nieletnich są współcześnie ogromnym problemem i nie chcę ich dewaluować, jednak zwracam uwagę na to, że sama kultura terapeutyczna napędza zjawisko identyfikowania się dzieci jako chorych i zaburzonych.

W efekcie wejścia terminologii psychoterapeutycznej do kultury popularnej choroby psychiczne stają się codziennością, co może mieć jeden ważny negatywny efekt – ludzie rzeczywiście potrzebujący pomocy mogą pozostać niezauważeni lub zlekceważeni przez system ochrony zdrowia i rodziców, którzy nie dostrzegą realnego problemu, tylko uznają, że „to tylko moda, przeminie".

Kultura terapeutyczna idealnie wkomponowała się w świat, w którym – jak podaje badaczka samotności prof. Magdalena Śmieja – mniej więcej połowa ludzkości deklaruje, że czasem czuje się samotna, a dla około jednej piątej jest to stan permanentny. Jeszcze parę dekad temu większość z nas miała po kilka bliskich sobie osób, dziś średnia to jedna lub dwie. Stawiamy dużo wyższe wymagania naszym relacjom, od przyjaciół i partnerów oczekujemy większej uwagi i mamy wobec nich coraz wyższe wymagania, choć niekoniecznie wobec siebie samych. Szybciej stajemy się niezadowoleni i rozczarowani, łatwiej się rozstajemy, a w konsekwencji – czujemy się samotni. Nasze wyśrubowane oczekiwania idealnych relacji i właściwych reakcji na wszystkie nasze potrzeby mogą negatywnie odbić się na naszym życiu oraz szkodzić ludziom żyjącym w dobrych, choć nie perfekcyjnych związkach.

Terapeutyczny Uroboros

Złaknieni głębokiego i bliskiego kontaktu, oddajemy się w ręce kolejnych terapeutów, coachów, trenerów personalnych czy przewodników duchowych, ale tak naprawdę część z nas nie chce pracować nad sobą, lecz marzy o magicznej pigułce szczęścia. To też jest cecha kultury terapeutycznej. Wizyty w najróżniejszych gabinetach zastępują niektórym z nas spotkania z członkami rodziny czy przyjaciółmi. I o ile profesjonalista będzie w stanie szybko to dostrzec i zareagować, o tyle amator wykorzysta do granic panującą modę, by zarobić. Wypaczając zarazem sens terapii, której celem jest przecież także to, aby pacjent nauczył się rozwijać swój system wsparcia poza gabinetem.

> Psychoterapia powinna być środkiem do zrozumienia siebie i narzędziem wsparcia. Nie może być odpowiedzią na obsesyjne w naszej kulturze **dążenie do perfekcji i sukcesu.**

Zachłanność w poszukiwaniu coraz to kolejnych sposobów zadbania o siebie: nowych terapii, poradników i warsztatów często nie idzie w parze z ich asymilacją i nie prowadzi do faktycznego rozwoju. Ciągły, lecz jedynie powierzchowny samorozwój pozwala na etykietowanie się klientów jako ludzi „świadomych", z czego czerpią oni czasem wręcz narcystyczną satysfakcję. W kulturze terapeutycznej procesy leczenia traktowane są bowiem jako element tożsamości. Pojawiają się przekonania: „Ja bez terapii to już nie ja" albo „Nie podejmę decyzji, dopóki nie skonsultuję tego z psychoterapeutą".

Imperatyw ciągłego samodoskonalenia sprawia, że sam proces terapeutyczny może być dla niektórych trudny do zamknięcia. – Pod koniec terapii zwykle następuje chwiejna równowaga między dalszym dążeniem do ulepszenia swojego funkcjonowania a odpuszczeniem, bo przecież nie sposób bez końca się terapeutyzować. Pytam wtedy swoich pacjentów, tak jak pytałabym siebie: „Czy to już nie dość? Czy nie chcesz sobie zostawić pewnych dysfunkcji?". To bardzo ważny, w kontekście kultury terapeutycznej, wątek przeżycia swoistej „żałoby" po złudzeniach, iż jestem w stanie przepracować wszystkie problemy w stu procentach tak, by już zawsze być szczęśliwą – konkluduje Żuk-Michałowska.

Według psychologa dr. Tomasza Witkowskiego, kultura terapeutyczna osiągnęła dzisiaj stadium mitycznego Uroborosa – węża pożerającego własny ogon. – Obecnie, jak nigdy dotąd w historii ludzkości, koncentrujemy się na własnym zdrowiu psychicznym, a liczba specjalistów zajmujących się nami i naszymi dziećmi nie ma precedensu. Niestety, bezprecedensowe są również liczby obrazujące skalę samobójstw i zaburzeń psychicznych, także wśród dzieci. Jednocześnie nie zastanawia nas fakt, że tam, gdzie pojawia się coraz więcej strażaków, wybucha coraz więcej pożarów, a im intensywniej leją na ogień ze swych sikawek, tym intensywniejsze wybuchają płomienie – mówi ekspert.

Do reprezentantów kultury terapeutycznej należą więc nie tylko rodzice, wychowawcy czy pracownicy mediów zalewających portale publikacjami z zakresu samorozwoju i powierzchownej psychologii, ale również niektórzy psychoterapeuci i lekarze, którzy – w sprywatyzowanej rzeczywistości – są sprzedawcami swoich usług, więc zależy im na tym, by docierały jak najdalej. – Sukces przedstawicieli tej kultury polega na tym, że nakłonili do oddania się pod opiekę terapeutów ogromną część populacji cywilizacji Zachodu; ale to wyłącznie marketingowy sukces tych, którzy czerpią korzyści. Tymczasem wiele wskazuje na to, że ponury marketing straszący zaburzeniami psychicznymi i samobójstwami jest przyczyną obecnego, niepokojącego stanu rzeczy – kwituje dr Witkowski.

Psychoterapeutka Cveta Dimitrova jest jednak zdania, że kultura terapii, podobnie jak kultura narcyzmu, nie jest wytworem chciwych terapeutów, ale systemu, w jakim żyjemy i który karmi się chciwością oraz obietnicą osiągnięcia ideału. – Błędny przekaz płynący z tzw. kultury terapeutycznej wynika z mylnego założenia, że umiejętność rozpoznawania i artykułowania własnych potrzeb jest równoznaczna z ich zaspokojeniem. Tymczasem w dobrze poprowadzonej terapii fundamentalne jest właśnie nabywanie umiejętności godzenia się z nieuchronnością utrat oraz wykształcanie odporności pozwalającej radzić sobie z trudnościami, których nie da się w życiu uniknąć. Problemem jest więc logika rynkowa, która monetyzuje również nasz ból i nasze cierpienie, a także roznieca pragnienia, które z istoty są niemożliwe do spełnienia. Gabinet terapeutyczny staje się dzisiaj jednym z niewielu miejsc, gdzie można próbować uwolnić się od poczucia winy związanego z tym, że coraz trudniej jest nam funkcjonować w tak urządzonej rzeczywistości.

© DOMINIKA TWOREK

Skrobanie dna

MAREK KONARZEWSKI,
PREZES POLSKIEJ AKADEMII NAUK:

Obawiam się fali wyjazdów w rozmiarach takich jak exodus kadr naukowych w latach stanu wojennego. To jest bardzo realne zagrożenie. Brakuje nam środków nawet na wypłacenie pensji minimalnej.

DAMIAN NOWICKI: W kwietniu użył Pan słowa „zapaść" w kontekście sytuacji w Polskiej Akademii Nauk. Czy może ona ogłosić bankructwo albo upadłość, jak zwykła firma?

PROF. MAREK KONARZEWSKI: Z jednej strony instytuty PAN mają osobowość prawną, czyli nie mogą upaść tak po prostu, jak firmy komercyjne. Mam więc nadzieję, że nie będziemy musieli testować tak dramatycznych okoliczności, raczej nie zdołamy spiąć budżetów. Jednocześnie nie chcę dystansować się od moich wcześniejszych wypowiedzi, ponieważ sytuacja jest naprawdę zła. W porozumieniu z dyrektorami instytutów kolejny raz złożyłem panu Wojciechowi Murdzkowi, sekretarzowi stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki, pismo, w którym wskazujemy na potrzeby finansowe. Brakuje środków nawet na wypłacenie pensji minimalnej.

Przecież w połowie czerwca MEiN opublikowało komunikat dotyczący wysokości subwencji na „utrzymanie i rozwój potencjału dydaktycznego oraz potencjału badawczego" na rok 2023. Zgodnie z tym oświadczeniem PAN ma otrzymać ponad 82 mln złotych.

To prawda i te środki już docierają, ale to jest wzrost o nie więcej niż 5 proc. w skali roku. W stosunku do kilkunastoprocentowej inflacji to wciąż za mało nawet na podstawowe potrzeby. Nie możemy mówić o żadnym rozwoju. Ta subwencja dotyczy wyłącznie przetrwania, ono jednak dalej stoi pod znakiem zapytania.

Co konkretnie znaczy to, że instytuty PAN nie będą w stanie spiąć budżetów, skoro już teraz nie ma środków choćby na pensje minimalne?

Instytuty nie są w stanie wywiązać się z należności względem pracowników bądź zewnętrznych firm i będąc brutalnie szczerym, są stawiane niejako w stan likwidacji. To oczywiście nie jest tożsame z natychmiastowym zamknięciem części instytutów, ale ścieżka, na której się znajdujemy, rzeczywiście do tego prowadzi.

Z jednej strony nie wyobraża Pan sobie upadku takiej instytucji jak PAN, a z drugiej ministerstwo nie daje dodatkowych środków na podstawowe funkcjonowanie. Kiedy będzie moment graniczny?

Wie pan, do tej pory nie było jeszcze sytuacji, o której dyrektorzy instytutów coraz częściej zaczynają mówić głośno, czyli protestu środowiska Polskiej Akademii Nauk przed gmachem ministerstwa.

Teraz mnie z kolei ciężko wyobrazić sobie dyrektorów, profesorów i naukowców przy ul. Hożej w Warszawie, którzy krzyczą przez megafon.

Bardzo bym tego nie chciał, ale proszę mi wierzyć, że nastroje są bardzo blisko tego punktu. Samo w sobie to, rzecz jasna, sytuacji nie uzdrowi, ale naprawdę nie wykluczam takiego scenariusza, ponieważ desperacja personelu PAN jest przeogromna. Najbardziej realistyczna jest jednak cicha śmierć instytutów, która odbędzie się w dwóch aktach. Pierwszy będzie polegał na tym, że znacząca część kadry, czyli ludzie o doskonałych kwalifikacjach, po prostu odejdzie. Wyjadą za granicę, gdzie przyjmą ich z otwartymi ramionami. Nie chcę przesadzać, ale obawiam się fali wyjazdów w rozmiarach takich jak exodus kadr naukowych w latach stanu wojennego. To jest dramatyczne, a jednocześnie realne zagrożenie.

Drugim aktem będzie wysysanie kadr i odchodzenie szczególnie najmłodszych, obiecujących pracowników. Np. programistów, którzy w instytutach PAN wykonują prace doktorskie poświęcone sztucznej inteligencji. Te 2400 złotych, które otrzymują w ramach stypendium naukowego, laboratoria i firmy komercyjne

JACEK HEROK / NEWSWEEK POLSKA / REPORTER

Pomnik Mikołaja Kopernika przed siedzibą PAN w Warszawie.

chętnie zwielokrotnią, aby ich przejąć. Oczywiście bardzo się cieszę, że są miejsca, gdzie część specjalistów może się odnaleźć, ale jednocześnie podcinamy gałąź, na której siedzimy. Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób możemy za kilka lat myśleć o jakiejkolwiek konkurencyjności Polski, jeżeli w dalszym ciągu będziemy brnęli w rozwój taniej siły roboczej, tyle że w „intelektualnej" branży.

Pieniądze są jedynym palącym problemem czy jest ich więcej? Jak Pan oceni pierwsze pół roku swojej prezesury w PAN?

Sytuacja finansowa jest aktualnie najbardziej dramatyczna, ponieważ dotyka podstawową warstwę funkcjonowania Akademii oraz instytutów. Żeby było jasne: gdyby mnie pan zapytał o to, czy ogólna sytuacja nauki w Polsce jest dramatyczna, tobym powiedział, że nie. Jakkolwiek by na to patrzeć, ostatnie lata były okresem, w którym zanotowaliśmy znaczny wzrost nakładów na naukę, tyle że ze względu na wzrost całkowitego budżetu państwa. W kwestii od dawna oczekiwanego osiągnięcia co najmniej 2 proc. PKB na rozwój badań naukowych, co jest unijną średnią według Eurostatu, stoimy w miejscu.

Bieżący rok jest dramatyczny ze względu na nałożenie się m.in. wysokiego poziomu inflacji oraz, słusznego zresztą, wzrostu płacy zasadniczej. Oba czynniki nie były uwzględnione w tegorocznych budżetach instytutów. Dodatkowo w wyliczeniach ministerstwa nie zostały ujęte osoby zatrudnione na etatach technicznych i administracyjnych. Ci pracownicy są bardzo ważną częścią kadr instytutów, ponieważ obsługują badania naukowe. I tutaj pojawia się dylemat: jak wytłumaczyć pracownikom obsługi, że nie dostaną podwyżek, a reszta kadry – tak, ponieważ na ten konkretny cel ministerstwo przekazało pieniądze. To rodzi dodatkowe, bardzo niedobre napięcia wewnętrzne.

Wspomniał Pan o inflacji. Jak ona wpływa na funkcjonowanie PAN i w ogóle na naukę w Polsce?

Doświadczamy jej zarówno jako konsumenci, jak i osoby zarządzające instytucjami. W tej chwili mam co najmniej parę kilkumilionowych oczekiwań. Dramatyczna sytuacja jest choćby w Instytucie Genetyki i Biotechnologii Zwierząt w Jastrzębcu, gdzie brakuje pieniędzy na utrzymanie placówki. To jest, przypomnę, instytut hodowli, więc zwierzętom się nie wytłumaczy, że od jutra trzeba ograniczyć racje żywnościowe. Żywienie musi być zapewnione, tak jak finansowanie innych podstawowych aktywności instytutu. Niestety, nie byłem w stanie pani dyrektor Agnieszce Wierzbickiej z Jastrzębca odpowiedzieć pozytywnie na prośbę o pomoc, bo oczekiwane przez nią sumy przekraczają nasze możliwości. To nie jest tak, że biję na alarm tylko po to, żeby wywrzeć jakiś skutek medialny. Sytuacja wielu instytutów PAN bardzo nabrzmiewa i nawet dosłowne już skrobanie dna nam nie wystarczy.

Czy PAN ma jeszcze jakieś środki w ramach rezerwy, czy Pańska instytucja już ledwie wiąże koniec z końcem, działając „od pierwszego do pierwszego"?

Osobno finansowana jest kancelaria PAN, a osobno poszczególne instytuty. Jedyna formalna możliwość pomocy czy też interwencji, jaka dziś istnieje, to bezzwrotna pożyczka, którą kancelaria PAN mogłaby użyczyć, ale ta nie posiada w budżecie z góry założonej rezerwy, z której moglibyśmy te pieniądze wziąć. Jedyne, co mogę zrobić, to kosztem innych wydatków wygospodarować kwotę, którą doraźnie poratuję jakiś instytut.

No dobrze, ale co z wyrównaniem lub zwrotem przynajmniej części kosztów spowodowanych inflacją, chociażby w przypadku mediów? W zeszłym roku rząd przecież interweniował w sprawie kosztów zakupu paliwa. Czy ministerstwo nie może pokryć tych najważniejszych braków, jak pensje podstawowe czy pasza dla zwierząt?

Teoretycznie mamy obiecany wzrost subwencji, czyli właśnie tej części, która ma pokryć podstawowe potrzeby, ale jak już wspomniałem, on nie przekroczy 5 proc. Ponieważ jednak obecnie mamy inflację na poziomie 11,5 proc., wzrost ten nie skompensuje nawet jej skutków. Nie ma więc szans, by z tego samego budżetu pokryć potrzeby, które po prostu były nieplanowane. Więcej, ze względu na wzrost płacy minimalnej instytucje określiły swoje potrzeby wynikające tylko z tego faktu na ponad 63 mln zł. Myśmy dostali od ministerstwa niecałe 38 mln, co pokrywa trochę ponad połowę tej sumy.

Osobną kwestią jest pytanie, dlaczego instytuty są w tak fatalnej sytuacji, a uczelnie już nie. One mają troszkę łatwiej ze względu na fakt, że finansowanie szkół wyższych składa się z dwóch komponentów: finansowania edukacji i badań. Dzięki temu te budżety są znacznie wyższe, co pozwala na trochę większą swobodę. My tej możliwości nie mamy, ponieważ nie uzyskujemy subwencji dydaktycznej, jakiekolwiek zatem zewnętrzne zagrożenia, np. wzrost kosztów mediów, uderzają w nas w dwójnasób.

Jak Pan ocenia relację PAN z MEiN? Skoro niejednokrotnie informował Pan o złej sytuacji, a tych pieniędzy dalej nie ma, to czy mogę przyjąć, że rząd każe Wam radzić sobie samemu?

Zupełnie nie. Proszę mi wierzyć, te rozmowy są bardzo życzliwe, i proszę też pamiętać, że MEiN jest jednym z wielu resortów, gdzie dochodzi do konkurencji o dostępne środki. Poza ciągłym ↦

nagabywaniem ministerstwa i ministrów dochodzę do wniosku, że sprawa poszła tak daleko, iż czas skrzyknąć całe środowisko i ponownie udać się do premiera Mateusza Morawieckiego. Ponownie, ponieważ podobne spotkanie odbyło się w styczniu. Skoro dochodzi do pewnej rewizji budżetu państwa, to mielibyśmy nadzieję, że znajdzie się miejsce również dla nas, szeroko pojętej nauki.

Nowelizacja budżetu została już uchwalona. Czy PAN coś z tej puli otrzymał?

Nie, nie zostaliśmy w nowelizacji budżetu uwzględnieni.

Czy spodziewa się Pan takiego zjawiska, że naukowcy staną się bardzo ostrożni w krytykowaniu władzy lub wręcz udadzą się na wewnętrzną emigrację, bo będą się bali, że krytyka rządu, nie tylko polityczna, ale też merytoryczna, skończy się obcięciem funduszy na badania? Może już teraz zna Pan takie przypadki?

Nie. Naprawdę się tego nie boję. Domyślam się, że chodzi panu o bardzo niefortunną reakcję ministra w związku z wypowiedzią profesor Barbary Engelking. Przypomnę, że PAN i całe polskie środowisko naukowe w bardzo wyrazisty sposób przedstawiło swoje stanowisko: stoimy na straży konstytucyjnej wolności nauk. Nie sądzę, by z tego powodu naukowcy mieli się powstrzymywać przed przedstawianiem swoich poglądów. Wręcz przeciwnie, bardzo wszystkich zachęcam, by w roku wyborczym głośno mówić o potrzebach nauki, a najlepiej uczynić je jednym z tematów podczas kampanii. Proszę zwrócić uwagę, że w zasadzie nie rozmawiamy o nauce, więc nie dziwmy się, że w kolejnych budżetach państwa jesteśmy gdzieś na szarym końcu albo w ogóle bywamy pomijani.

To jest wręcz nasza powinność, aby dotrzeć do konkretnych osób z konkretnych ugrupowań i w taki sposób artykułować nasze potrzeby oraz racje, aby stały się one częścią ich programu wyborczego, za czym pójdzie realny wzrost finansowania nauki. Wątpię, abyśmy znaleźli posłów czy senatorów, którzy powiedzą „nauka nie jest ważna". Tej aktywności brakuje naszemu środowisku, choć

MATERIAŁY PRASOWE PAN

PROF. MAREK KONARZEWSKI jest prezesem PAN na lata 2023-2026 i profesorem w Katedrze Ekologii Ewolucyjnej i Fizjologicznej Wydziału Biologii Uniwersytetu w Białymstoku.

tylko dzięki niej będziemy skuteczni, a nauka i jej potrzeby na tyle zakotwiczą się w świadomości polityków, że przynajmniej nie będziemy dopraszać się o pieniądze na paszę. Na Boga, gdzie my jesteśmy?!

Odwołując się do Pańskiego doświadczenia, czy przed rokiem 2015 PAN i cała polska nauka były w lepszej kondycji finansowej? Czy też niezależnie od ekipy rządzącej jest to cały czas walka o przetrwanie, a pandemia, wojna lub inflacja jedynie dociskają mocniej?

Bardzo bym przestrzegał wszystkich, którzy upatrują w ewentualnej zmianie politycznej nadziei na mannę z nieba. Po pierwsze, bardzo dbam o to, żeby Akademia była instytucją apolityczną. Oznacza to również, że nie ingeruję w wypowiedzi poszczególnych członków bądź też przedstawicieli instytutów. Podkreślę również, że nasi korporanci czy pracownicy występują w bardzo różnych mediach, od księdza Rydzyka po TVN24. Mnie to nie przeszkadza i uważam, że w tym pluralizmie powinniśmy się nawzajem szanować.

No ale skoro jest tak źle, to pewnie liczycie, że ewentualny nowy obóz rządzący zacznie naprawiać błędy i zaniechania ostatnich lat?

Co do zasady nie chciałbym, aby PAN stała się obiektem jakiejkolwiek rozgrywki politycznej. Mam ten przywilej, a jednocześnie doświadczenie współpracy z bardzo różnymi rządami, więc wiem, że nauce w Polsce nigdy nie było i nie będzie łatwo. Historyczne porównania poziomu finansowania nauki nie są do końca uprawnione, ponieważ jesteśmy w kompletnie innej sytuacji, choćby ze względu na realia inflacyjne. Podkreślę jednak, że okoliczności, w których naprawdę może dojść do niewypłacalności części instytutów PAN, to ja nie pamiętam.

Puśćmy wodze fantazji i przyjmijmy, że po spotkaniu z premierem Morawieckim ten uprawniłby Pana do dowolnej zmiany, ale tylko jednej rzeczy. Co by to było? Procentowy udział polskiego PKB na naukę i rozwój badań, ogromny zastrzyk finansowy, aby wyzerować zadłużenia wszystkich instytutów, nie tylko PAN, a może jakieś inne zmiany systemowe?

Gdybym miał taką możliwość, przypomniałbym panu premierowi, że napisał doskonały wstęp do polskiego wydania książki Mariany Mazzucato „Przedsiębiorcze państwo". Autorka jest ekonomistką, która zajmuje się wpływem postępu naukowo-technologicznego na ekonomię i w tej książce zawiera ciekawą diagnozę uzależnienia wzrostu PKB krajów zachodnich od nakładów na rozwój i naukę. Mówiąc krótko, premier Morawiecki napisał, jak bardzo jest to ważne i jak bardzo chciałby zastosowania podobnych rozwiązań w Polsce. Byłem ujęty tym wstępem, ponieważ dostrzegłem w jego autorze człowieka, który doskonale rozumie uwarunkowania wzrostu państwa opartego na wiedzy. I w związku z tym bardzo bym prosił premiera Morawieckiego, aby do tych myśli skutecznie powrócił. Wtedy takich rozmów, jak my teraz, nie musielibyśmy prowadzić.

Co ciekawe, na początku jego premierostwa powstał bardzo istotny dokument, który nazywał się „Strategia na rzecz odpowiedzialnego rozwoju" i, moim zdaniem, był mocno inspirowany właśnie książką Mazzucato. Gdyby to ode mnie zależało, chciałbym, abyśmy do tego ducha wrócili, ponieważ w ostatnich latach gdzieś on się nam zagubił, a przecież opisana strategia jest wciąż bardzo aktualna.

© Rozmawiał DAMIAN NOWICKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Indiana Jones i wielka obietnica*

Oczywiście, wiele tu ma do rzeczy jakaś zupełnie nadzwyczajna wyobraźnia reżysera (to, ostatecznie, aż cztery razy na pięć – Steven Spielberg). A nade wszystko zdolność do spożytkowania jej na ekranie, co owocuje widowiskiem dopracowanym w każdym centymetrze, wizerunkami postaci i przedmiotów, które raz zobaczone, nieodwołalnie zostają w pamięci (ten kapelusz, ten bat, ta kurtka...). Do tego scenariusze zbudowane wedle najlepszych reguł rzemiosła, a zarazem doprawione szczyptą sekretnej substancji, która – nie do końca wiadomo, w jaki sposób – zamienia najlepsze rzemiosło w coś znacznie odeń większego. No i aktorzy, naturalnie. Oni także przecież, zwłaszcza charyzmatyczny Harrison Ford, przyczynili się do wielkiego sukcesu. Niemniej zasadnicze powody, dla których filmy o Indianie Jonesie zawładnęły masową wyobraźnią i od czterdziestu z okładem lat („Poszukiwacze zaginionej Arki" trafili do kin w 1981 r.) wcale nie zamierzają z tej władzy rezygnować – czego najlepszym dowodem wielki frekwencyjny sukces najnowszej odsłony, „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia" – leżą, moim zdaniem, gdzieś indziej.

Najpierw jednak osobiste wspomnienie. Dobrze pamiętam te zamazane kopie odtwarzane w latach 80. na domowych magnetowidach. Nawiasem mówiąc – zwracam się teraz do tych Czytelniczek i Czytelników, którzy w tamtych zamierzchłych czasach żyli – czy także i wy musieliście się długo adaptować do jakości HD, a nawet do dzisiaj jeszcze całkiem się do niej nie zaadaptowaliście i gdzieś w głębi duszy tęsknicie za niepowtarzalną fakturą obrazu (dźwięku zresztą też) przegrywanych po wielokroć kaset VHS? Ja się niniejszym do takiej nostalgii przyznaję, nic nie poradzę, ostry kontur na ekranie nie pozwala mi się do końca cieszyć seansem – choć oczywiście dotyczy to wyłącznie filmów z lat 80. i 90., w tych późniejszych wyraźność już mnie tak nie odstręcza. Pamiętam więc bardzo dobrze filmy o Indianie Jonesie odtwarzane na domowych magnetowidach i starych telewizorach, które stawały się nagle portalami do innych wymiarów, nowych rewirów. Bramami, przez które w szarą, cokolwiek monotonną rzeczywistość wkraczały jakości na pierwszy rzut oka w niej nieobecne – tajemnicze starożytne artefakty, okultystyczne rytuały, egzotyczne plenery, zapomniana a potężna wiedza o takich rejonach bytu, o których nauka nic nie wie, wiedza dająca możliwości, o jakich nie śniło się największym bogaczom i najbardziej wpływowym politykom. Piszę „na pierwszy rzut oka w niej nieobecne", bo przecież nie wywierałoby to takiego piorunującego efektu, gdyby nie towarzyszyło nam jakieś niewypowiedziane, a zarazem uchwytne – w snach, nagłych intuicjach, marzeniach, pragnieniach i fantazjach – poczucie, że za grubą zasłoną codzienności faktycznie rozpościera się jakieś odmienne uniwersum. I że stanowi ono widomą rękojmię, iż nasze życie nie jest wyłącznie dziełem przypadku, grą w kości w nieskończonym kosmosie, przechodzeniem z nicości w nicość, z bezsensu w bezsens. I że jeśli umiejętnie do tego podejść, z wystarczającą uważnością na z pozoru nieznaczące detale, a także, co bodaj najważniejsze, z czystym sercem, to wówczas w przedziwny sposób trafi się na właściwą ścieżkę.

Dobro nie tylko się zatem opłaca – brzmi wielka obietnica Indiany Jonesa – ale pozwala dotrzeć tam, gdzie zło nigdy nie dotrze. Choćby nawet to ostatnie dysponowało, przynajmniej do czasu, wielką mocą i bogactwem – i tak nie wygra. Nie na tym bowiem wcale polega wygrana, że się ma moc i bogactwo, tylko na tym, że człowiek najpierw odkrywa, a potem włącza się w pewien przekraczający go, dany z zewnątrz, metafizyczny porządek. Co wcale nie musi oznaczać – i nie oznacza – że szczęście przynoszą wtedy atrybuty zamożności i siły. Przeciwnie – rodzi się ono nierzadko ze stanu zgoła odmiennego, a mianowicie akceptacji własnych ograniczeń.

Czy nie takie właśnie przesłanie tkwi w baśniach i mitach? W tym sensie Indiana Jones (podobnie zresztą jak Luke Skywalker – z innej wielkiej sagi) to archetypowy baśniowy bohater, który w nowoczesnych dekoracjach podąża dokładnie tą samą drogą, co wszyscy baśniowi bohaterowie wszystkich czasów. A my z nim – oczywiście. Zwłaszcza dzisiaj – wydaje się – jest to podróż wyjątkowo atrakcyjna. O ile bowiem w latach 80. i 90. Indiana Jones symbolizował także (co częste w amerykańskim kinie tamtej dekady) „kolektywny Zachód" zwyciężający sowieckie imperium zła, o tyle współcześnie staje się znakiem czy też, no właśnie, obietnicą, że towarzyszący nam chaos i niecne knowania tych, którzy próbują zbić na nim kapitał, również dadzą się w końcu efektywnie ukrócić.

Co więcej, doktor Jones zaspokaja także potrzebę – czy też raczej należałoby powiedzieć: obiecuje jej zaspokojenie – o której Carl Gustav Jung, było nie było przenikliwy znawca ludzkiej psychiki, powiedział kiedyś, że jest w naszej epoce jedną z najbardziej palących. A mianowicie – potrzebę wtajemniczenia. A zatem doświadczenia wglądu w ukryte rejestry rzeczywistości, z perspektywy których akcydentalne, wydawałoby się, układy zdarzeń i rzeczy okazują się przemyślnie uporządkowane.

Doprawdy trudno się dziwić, że w naszym niestabilnym i skomplikowanym świecie wciąż w tę obietnicę składaną przez Indianę Jonesa chcemy wierzyć. A czy ma pokrycie? Z jednej strony nie wiemy tego, z drugiej natomiast: czy to aż tak ważne? W każdym razie – co do tego nie ma wątpliwości – ufamy w nią zapamiętale przez mniej więcej dwie godziny wybornej filmowej rozrywki. ©

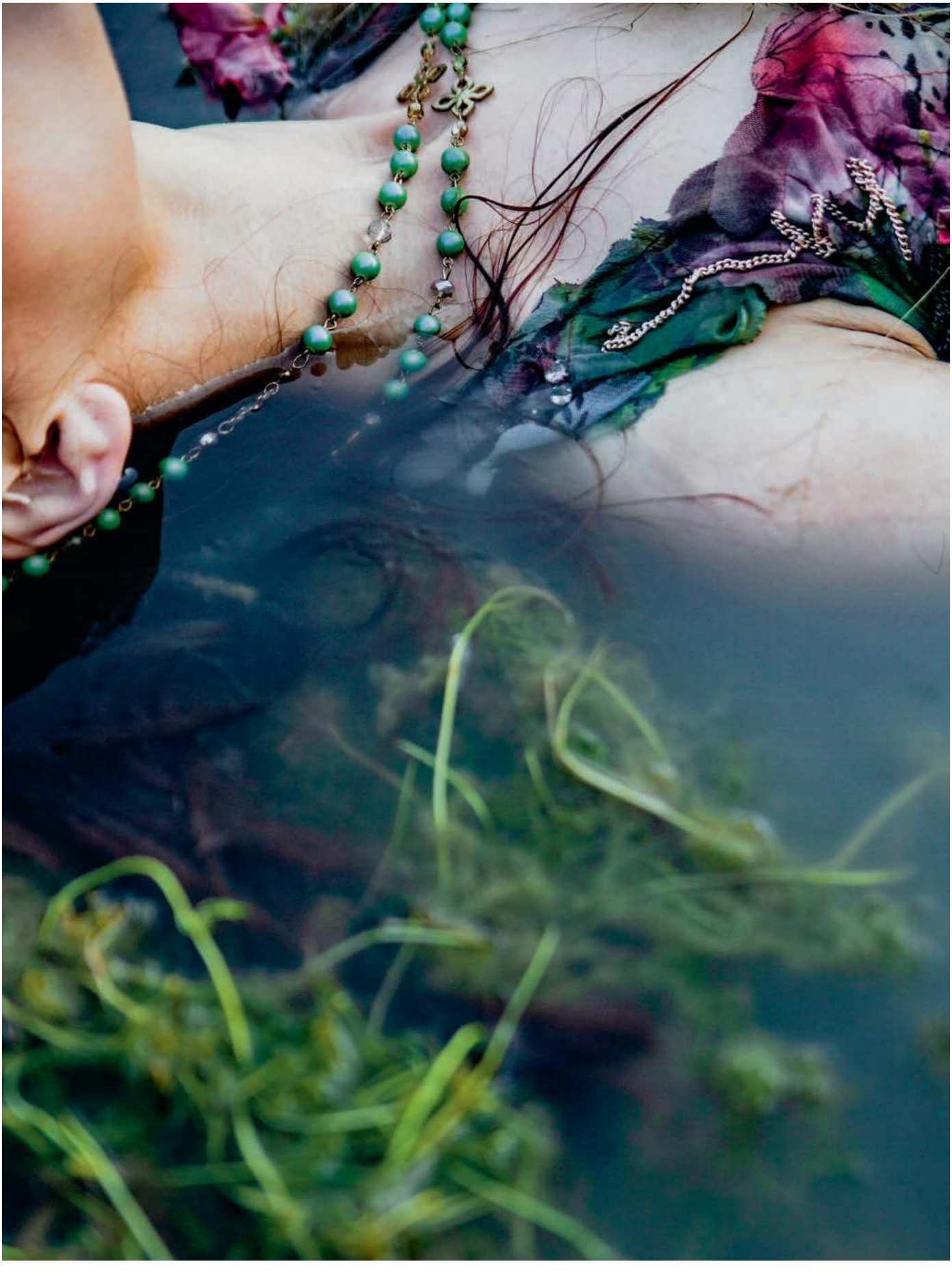

IULIIA ISAIEVA / GETTY IMAGES

ROZMOWA

ZOBACZCIE, USŁYSZCIE, POCZUJCIE

JUSTYNA DĄBROWSKA, PSYCHOTERAPEUTKA:

W rozmowie o porodach brakuje mi perspektywy kobiet. Zastanawiam się, co jest takiego w systemie szpitalnym, że produkuje traumy. I nie zgadzam się na mówienie: „Tak musi być, bo zawsze tak było".

SABINA JAKUBOWSKA: Lubisz Tolkiena? Czytając Twoją nową książkę przypomniałam sobie jedną z Valarów, Niennę, która dobrze zna smutek, opłakuje każdą ranę, przynosi siłę ducha i przemienia żal w mądrość.

JUSTYNA DĄBROWSKA: Podoba mi się to odczytanie. Rzeczywiście, chciałabym przemieniać żal w ukojenie i w ulgę – taką, która przychodzi po płaczu, kiedy orientujesz się, że nagle znajdujesz słowa do opisania tego, co cię spotkało, i ładunek bólu przestaje już tak ciążyć. Smutek nie znika, ale pojawia się ulga płynąca z faktu, że wiesz, co ci się przydarzyło, i możesz tę historię położyć obok innych na półce, która nazywa się „przeszłość".

Tytuł „Przeprowadzę Cię na drugi brzeg. Rozmowy o porodzie, traumie i ukojeniu" jest obietnicą.

Mam nadzieję, że nie bez pokrycia. Listy, które teraz dostaję, upewniają mnie w tym.

Tytuł ma zresztą wiele znaczeń. Widzę poród jako przeprawę na drugą stronę wartkiej rzeki. To przejście przez żywioł: wysiłek, trud, satysfakcja. Na drugim brzegu jest dziecko, z którym się witamy po wielkim wysiłku. Przewodniczką w tej przeprawie jest położna, ona mówi: pokażę ci, czym poród może być, pomogę. Ale jest też inne znaczenie, które wypływa z mojej pracy psychoterapeutki: „przeprowadzę cię na drugi brzeg przez twoje trudne doświadczenie, przez twoją traumę". Pomogę ci znaleźć ukojenie.

Stąd dedykacja „dla kobiet, które nie znajdują słów do opisania ran, które zostały im zadane, gdy rodziły"?

Wiem, że mówienie o traumie jest trudne. Ale niemówienie też kosztuje. Często dziś słyszę: „wiesz, kupiłam twoją książkę i położyłam na stoliku obok łóżka, ale bałam się ją otworzyć. A potem wzięłam, czytałam i nie mogłam przestać, i czytałam, i płakałam. Zrozumiałam, co mi się wydarzyło. Zrozumiałam, że to nie była moja wina. I jest mi lepiej".

Ten lęk jest przed dotknięciem bolesnego miejsca?

Tak. I to jest zupełnie zrozumiałe. Nie chcemy dotykać naszych ran. Ale jak nosisz w sobie coś, czego boisz się dotknąć, to jakąś część ciebie to unieruchamia, drenuje z energii. Żeby trauma przestała wpływać na nasze życie, żeby przestała być cieleśnie odczuwanym kłębowiskiem wewnętrznego bólu, musi zamienić się w opowieść.

Najpierw oddajesz głos kobietom, które doznały traumy, rodząc dziecko. W ich słowach wiele czytelniczek zobaczy siebie. Następnie wyjaśniasz ich sytuacje jako terapeutka, a potem pokazujesz jasną stronę mocy, dając głos położnym. Twoje rozmówczynie są dowodem, że dobre rzeczy też się dzieją.

Byłam przy kilku porodach i nie mam wątpliwości, że to może być wspaniałe doświadczenie. Bardzo mi zależało, żeby porozmawiać z położnymi jako przewodniczkami.

Napisałaś: „Wiele kobiet długo pamięta ten dzień". Poznałam panią, która 70 lat po porodzie silnie odczuwała emocje związane z tym, czego wtedy doświadczyła. Położna czy lekarz, którzy przy tym byli, są pamiętani nawet po ich śmierci.

To, z czym kobieta wychodzi z porodu, może ją uskrzydlać. Ale to doświadczenie może też położyć się cieniem – także na relacji kobiety z jej dzieckiem, z partnerem. Nie wiem, czy lekarze i położne zdają sobie z tego sprawę.

Zastanawiam się też, co by się zmieniło, gdyby możliwa była – jak w Holandii – ciągłość opieki: ta sama położna prowadzi ciążę, przyjmuje poród, a potem opiekuje się kobietą po porodzie. Jak to by zmieniło sytuację?

Na pewno znacząco, bo narodziłaby się między nimi więź, wynikająca z tego, że widzą siebie w rozwoju,

↦

↦ **w różnych dniach, lepszych i gorszych. Poznanie kobiety i jej historii, ale też poznanie położnej jako człowieka – na coś się przekłada.**

Nie wiem, czy położne zauważają, jak ważnymi osobami stają się w świecie wewnętrznym kobiet przez sam fakt bycia z nimi w tym kluczowym momencie. Otwiera się wtedy furtka do wielkiej intymności. Kobieta pamięta, co położna robiła, jakie słowa wypowiadała, jaki miała wyraz twarzy. Skąd to wiem? Bo jako psychoterapeutka pracuję z kobietami, które po tych doświadczeniach przychodzą do mnie.

Piszesz: „Postanowiłam wydobyć na światło dzienne porodowe traumy, o których tak mało się mówi". Czy rzeczywiście tak mało? Łatwiej usłyszeć trudną historię porodową niż pozytywną. Czasem ma się wrażenie, że przykre historie bombardują nas ze wszystkich stron, to są opowieści naszych matek, koleżanek, świadectwa z internetu. Powstała nawet idea Kręgu Opowieści Porodowych, żeby dla równowagi szerzyć pozytywną wizję tego doświadczenia.

Zgadzam się, że w przestrzeni publicznej jest dużo straszenia porodem. Te obrazy w filmach, serialach! Ale to są opowieści o tym, co na zewnątrz – o fizjologii, krwi, pośpiechu, natomiast brakuje opowiedzenia historii od wewnątrz, o trudnych uczuciach, jakich kobiety doświadczają. Tylko żeby to mogło być opowiedziane, musi być też ktoś, kto słucha. Bo czym innym są głośne tytuły w tabloidach, a czym innym prawdziwa, głęboka rozmowa, w której można powiedzieć, co było dla mnie trudne, a ktoś na to odpowie: „tak, rzeczywiście, to się nie powinno było zdarzyć".

Więc z jednej strony mamy „krwawe historie" oglądane z zewnątrz, a z drugiej komunikat „nie ma co do tego wracać, zapomnisz, najważniejsze, że dziecko jest zdrowe" – czyli nie wnikajmy do wnętrza, do tego, co naprawdę zabolało. Dlatego pytam każdą z moich bohaterek: „z czym zostałaś?". I słyszę: „Nie dałam rady". „Przeze mnie mojemu dziecku mogła stać się krzywda". „Czułam, że moje ciało nie potrafi zrobić niczego dobrego". „Boję się zbliżać do męża". „Coś jest ze mną bardzo nie tak".

Podczas pandemii w wielu szpitalach wprowadzono izolację dzieci.

Jak można – przy naszej wiedzy o tworzeniu się więzi – oddzielać noworodki od matek?!

Brakuje mi więc rozmowy o perspektywie kobiet. I jeszcze, dlaczego tak się dzieje? Co jest takiego w systemie szpitalnym, że produkuje podobne sytuacje? Ta książka powstała więc także z mojej niezgody na twierdzenie: „Tak musi być, zawsze tak było i będzie".

Twoja rozmówczyni Katarzyna mówi: „Sama nie wiem, co jest trudniejsze: pierwszy poród, gdy się nic nie wie, czy kolejny, gdy wie się już wszystko".

Rozumiem kobiety obawiające się po takich doświadczeniach mieć następne dziecko. Przychodzą o tym porozmawiać, chciałyby, ale trauma pierwszego porodu hamuje decyzję. Chcę też wyraźnie powiedzieć, że w książce jest mowa o trudnych zdarzeniach, za którymi zawsze stała decyzja konkretnej osoby. Nie mówimy o złym losie, tylko o złym traktowaniu. Ktoś zdecydował, że tak a nie inaczej potraktuje drugiego człowieka: odmówi odpowiedzi, zlekceważy, zignoruje, wyśmieje, zbagatelizuje. Zada ból bez uprzedzenia, nie wyjaśni procedur, przytrzyma, zatka usta...

Konsekwencje dotykają więcej niż jednej osoby.

I w tym sensie poród różni się od innych trudnych sytuacji w ochronie zdrowia. Kiedy idziesz urodzić swoje dziecko, to zazwyczaj się na to cieszysz. Oczywiście, są obawy – w końcu to wyprawa w nieznane – ale jest też ekscytacja, oczekiwanie, że w końcu się spotkacie. Nie spodziewasz się, że ta radość zniknie. Tymczasem kobieta po traumatycznym porodzie jest tak wypełniona trudnymi uczuciami, że czasami nie ma już przestrzeni na to, żeby budować więź z nowo poznanym człowiekiem. Jest w zamrożeniu, w dezorientacji albo w rozpaczy. A kiedy próbuje o tym mówić swoim bliskim, słyszy: „nie mów już o tym, myśl pozytywnie, szybko zapomnisz".

Są różne rodzaje traum. Mówiąc w wielkim skrócie: jeden rodzaj to trauma związana z jakąś katastrofą, nagłym i niespodziewanym, trudnym do zniesienia wydarzeniem. Drugi rodzaj to traumy relacyjne, ich źródłem jest człowiek, zwłaszcza ten, który jest dla nas ważny. Tutaj te traumy się spotykają: nagle spada na mnie coś trudnego, np. ból, z którym nic nie mogę zrobić (bo np. nie mogę się ruszać), a jednocześnie obok jest człowiek, który zamiast mnie przez to przeprowadzić, dodatkowo mnie wystrasza.

Pozwalasz zrozumieć te mechanizmy.

W leczeniu traumy to wydaje mi się kluczowe. Najpierw żeby był świadek; żeby ktoś powiedział: „to ci się nie wydaje", „nie wymyśliłaś tego". Drugi krok polega na wysłuchaniu i przyjęciu uczuć. Trzeba wtedy mieć obok siebie kogoś, kto będzie taką „emocjonalną gąbką". Móc popłakać nad tym, co boli. A trzecim krokiem jest znajdywanie słów do opowiedzenia tego, co się wydarzyło. Jak nas spotyka coś tak wszechogarniającego, to na początku brak nam słów, prawda?

Przypuszczam, że wkrótce zawoła Cię kolejne środowisko – kobiet, których nikt nie chciał wysłuchać – żebyś przyjęła historie ich strat. To też temat słabo zaopiekowany.

Zapraszam do pisania, w książce podaję adres (przeprowadzecie@gmail.com), i już przychodzą poruszające listy, nie tylko o porodzie. W książce jednak chciałam się na nim skupić, zrobić taką „stopklatkę" i przyjrzeć się chwili, którą kobiety często pamiętają do końca życia. Chciałabym, żeby to przestał być jedynie temat obecny na kameralnych kobiecych spotkaniach. Żeby wszedł do debaty, żebyśmy się wspólnie zastanowili, co trzeba zmienić, żeby ludzie przychodzili na świat otoczeni szacunkiem.

O porodach myślę, od kiedy siebie pamiętam. W miesięczniku „Dziecko" już w latach 90. pisały dla nas położne i doule [profesjonalne towarzyszki okołoporodowe, dające kobietom ciężarnym wsparcie przed, w czasie porodu i po nim – red.] – o tym, że kontakt skóra do skóry jest czymś absolutnie podstawowym, że rutynowe nacięcie krocza nie jest dobrym rozwiązaniem, że pozycje wertykalne mają

sens. Pamiętam zdziwione reakcje, że to fanaberie, że po co się tym zajmować, że to jest trochę „obrzydliwe", kto się przy tym zareklamuje...

Chciałabym, żebyśmy o tym mówili głośno. Prawa kobiety w porodzie to przecież prawa człowieka.

Jedna z Twoich rozmówczyń, Dagmara, mówi: „Do porodu trzeba się szykować jak na wojnę".

To zdanie też mnie zatrzymuje. Często je słyszę i jestem rozdarta. Z jednej strony nie chcę, żeby trzeba było się szykować jak na wojnę, bo to oznacza mobilizację. Poza tym jak jest wojna, to są wrogowie, a trudno zakładać z góry złą wolę personelu. W porodzie potrzebne jest poczucie bezpieczeństwa, żeby kobieta mogła skupić się na sobie, na byciu w kontakcie ze swoim ciałem, zamiast czujnie monitorować otoczenie.

Ale z drugiej strony myślę, że warto dobrze się przygotować. Może jak na wyprawę wysokogórską? Przemyśleć poród wcześniej, zastanowić się, z kim i jak będę rodzić. Jestem wielką orędowniczką porodów, w których kobietom towarzyszą doule, widzę to jako rozwiązanie sytuacji, w jakiej jesteśmy, a w której jest zbyt mało położnych. Z doulą można mieć relację jeszcze na etapie ciąży, poznać się, porozmawiać o tym, czego bym chciała, czego się boję, przygotować „plan porodu". Doula może pomóc się przeprawić na drugi brzeg.

Podnosisz temat planu porodu: że nie tyle jest on listą życzeń, co sposobem na to, by zbadać swoje preferencje i możliwości.

„Plan porodu" rzeczywiście brzmi myląco. Może się kobiecie wydawać, że coś szczegółowo zaplanuje, jak remont czy wycieczkę. A w porodzie nigdy nie wiemy, jak on dokładnie przebiegnie. Natomiast kobieta może – i o tym w książce pięknie opowiada Magda Stankiewicz, położna z Rotterdamu – odbyć rozmowę sama ze sobą. Np. na tyle, na ile siebie znam, wiem, że potrzebuję kogoś, kto będzie mi mówił, co mam robić; albo potrzebuję takiej osoby, która będzie szła równolegle ze mną. Albo: wiem, że się strasznie boję bólu, więc muszę szukać szpitala, który ma kilku anestezjologów na dyżurze i zagwarantuje mi znieczulenie. Albo: marzy mi się poród rodzinny, poszukam ↦

JUSTYNA DĄBROWSKA jest psychoterapeutką specjalizującą się w towarzyszeniu kobietom po porodzie, założycielką miesięcznika „Dziecko" i portalu eDziecko.pl. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym". Wydała wiele tomów rozmów i książek, m.in. „Matka młodej matki" i „Zrozumieć dziecko". „Przeprowadzę cię na drugi brzeg. Rozmowy o porodzie, traumie i ukojeniu" ukazały się właśnie nakładem wydawnictwa Agora.

JERZY DUDEK / EAST NEWS

SABINA JAKUBOWSKA jest pisarką i doulą, towarzyszącą kobietom w ciąży i macierzyństwie. Badaczka historii lokalnej, archeolożka i nauczycielka, prawnuczka jadownickiej położnej Anny Czerneckiej, jest autorką wydanych w 2022 r. bestsellerowych „Akuszerek" (nominacje do nagrody Nike, Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza) – powieści o kobietach przyjmujących porody w XIX- i XX-wiecznej Małopolsce.

GRAŻYNA MAKARA

↦ szpitala, w którym może być kilka osób towarzyszących.

To może być też spotkanie z własnym światopoglądem: czy się dopuszcza dialog, czy kobieta daje sobie prawo do zmiany zdania?

Jesteśmy bardzo różne. Myślę, że jeśli ktoś się kurczowo trzyma podjętych z góry decyzji, to znaczy, że ma w sobie dużo lęku i być może brakuje obok osoby, która by wytłumaczyła, czemu warto rozważyć zmianę. W książce mówi o tym położna z Wiednia, Agnieszka Herzig. Standardem jest tam tłumaczenie, co się dzieje, dialog – nawet w drodze na salę operacyjną. I, jak widać, rzadko się zdarzają kobiety, które nie współpracują. Szacunek jest podstawą.

W głosach kobiet często pojawia się pytanie: czy moje doświadczenie porodowe jest normalne? Ale normę tworzy większość. Jaka ta norma jest?

To pytanie do badaczki. Raporty Fundacji Rodzić po Ludzku pokazują, że około 60 proc. kobiet jest zadowolonych ze swojego porodu. Mam jednak wrażenie, że zdobycze dotyczące praw kobiet w porodzie są delikatne i kruche.

Wystarczył covid, żeby wszystko poszło dwa kroki w tył.

No właśnie. Sprawdzono, jak wyglądają prawa kobiet na porodówkach w Europie po pierwszym półroczu pandemii. Okazało się, że w wielu szpitalach nie tylko wycofano możliwość uczestniczenia osoby towarzyszącej w porodzie, czyli rodzące zostały znowu same, ale także na dużą skalę wprowadzono izolację dzieci. Jak można – przy naszej dzisiejszej wiedzy na temat tworzenia się więzi – oddzielać noworodki od matek?!

Więc nie wiem, jaka dziś jest norma. Albo inaczej: idąc do porodu, trafiasz do maszyny losującej. Dużo zależy od tego, kogo wylosujesz. Jeśli trafisz na miłą i wypoczętą zmianę w szpitalu, to będziesz potraktowana z szacunkiem, a jeśli wylosujesz gorzej, trafisz na kogoś, kto ma zły dzień i rzuci: „niech nie histeryzuje". Być może są szpitale w Polsce, gdzie wszyscy spełniają wysokie standardy, ale obawiam się, że częściej niestety nie wiesz, jak będzie.

W Polsce idąc do porodu wpadasz do maszyny losującej.
Jeśli źle wylosujesz, trafisz na kogoś, kto ma zły dzień i rzuci: „niech nie histeryzuje".

Piszesz: „Przecież dobrze wiemy, co pomaga kobiecie rodzić (poczucie bezpieczeństwa), a co akcję hamuje (poczucie zagrożenia)". Możliwych krzywd wymieniasz sporo: uprzedmiotowienie, infantylizacja, wymaganie poświęcenia, obwinianie, upokarzanie, nieuzasadnione interwencje, a czasami właśnie ich brak, przemoc fizyczna i psychiczna oraz gaslighting – czyli?

Unieważnianie, bagatelizowanie: „ty nie czujesz tego, co czujesz", „to ci się tylko zdaje", „nie, wcale cię tak nie boli".

A co jest najtrudniejsze?

O to trzeba za każdym razem pytać kobietę, która tych krzywd doświadczyła. Jedna z czymś poradzi sobie lepiej, a drugą to samo zrani bardzo boleśnie. Mogę powiedzieć, co słyszałam najczęściej, i co mnie samą jednak zaskoczyło. Chodzi o traktowanie kobiety jak takiego głupiutkiego, emocjonalnego dziecka, które nie potrafi samo podejmować decyzji, nie myśli racjonalnie, nie może wziąć odpowiedzialności, trzeba nim dyrygować, dyscyplinować. W wyniku tego rodząca nie jest pytana: „jak by pani wolała?". Nie jest przygotowywana: „przepraszam, to będzie nieprzyjemne, ale zrobię to szybko, obiecuję, że nie będzie trwało dłużej niż...". Emocjonalność jest traktowana jak przeszkoda, wada. A przecież wszyscy jesteśmy emocjonalni, samą emocję można traktować jako informację. Jeśli widać, że ktoś jest zaniepokojony, to możemy się zastanowić, skąd ten niepokój płynie i czy można go zmniejszyć. Rzeczywiście, to prawda, że w porodzie jest moment, kiedy kobieta, jak mówił Michel Odent, „oddala się na inną planetę", przestaje posługiwać się logiką, zanurza się w to, co dyktuje jej ciało. Ale w tym jest siła, a nie słabość kobiecego organizmu.

Wystarczyłoby nie zadawać trudnych pytań, gdy kobieta ma swoje fale odczuć. One się kończą po kilkudziesięciu sekundach, tyle można zaczekać. Po prostu trzeba dostosować rytm rozmowy do fizjologii kobiety.

Dokładnie tak. Gdy ktoś zna mechanizm tego procesu, może z nim współgrać.

Myślałam wiele razy, że procedury szpitalne to nawyki z czasów komunistycznej porodówki, kiedy wszystkie interwencje były uzasadniane tym, że jest wyż demograficzny i kobiety mają rodzić szybko. Tyle że dziś te nawyki przekładają się na niż demograficzny, bo traktowane w taki sposób kobiety boją się rodzić. Czego potrzebują, żeby mieć odwagę być matkami?

Żeby je traktować podmiotowo i z szacunkiem. Czy to jest takie trudne, żeby posłuchać, co mówią, i wyjść naprzeciw ich potrzebom? Np. żebyśmy wszyscy uznali, że wartością jest, by poród bolał jak najmniej? I nie mówię tutaj, żeby wszystkim od razu fundować znieczulenie zewnątrzoponowe, ono też bywa problematyczne, poza tym nie wyczarujemy nagle kilku tysięcy anestezjologów. Ale marzy mi się taka rzeczywistość, w której kobieta przychodzi do porodu i dla wszystkich jest oczywiste, że fajnie by jej było przynieść ulgę w bolesnych skurczach: by mogła się ruszać, przyjmować różne pozycje, wejść pod prysznic albo do wanny, a nawet tam urodzić.

Żeby się mogła przytulić do partnera.

Żeby była swobodna i żebyśmy wszyscy byli po jej stronie. Przecież od dawna wiemy, że ruch, krzyk pomaga redukować ból i otwierać się drogom rodnym. Dlaczego musimy wciąż to od nowa przypominać?

Mam często wrażenie, że łatwiej w szpitalach dać kobietom znieczulenie niż swobodę, aby mówiły, czego chcą. Tak jest wygodniej, a wygodniej jest dlatego, że personel nie nadąża, jest go za mało, jest zbyt obciążony biurokracją. Ale wszystkiego nie da się wytłumaczyć systemem szpitalnym. Znam wspaniałe położne, ale w Twojej książce pada wiele trudnych pytań także pod ich

adresem. Gdzie są ich marzenia? Czy dla takiej rzeczywistości decydowały się na ten zawód?

Ja te pytania zostawiam otwarte. Czekam na głos położnych i ich perspektywę. Jestem w kapitule nagrody „Anioły" Fundacji Rodzić po Ludzku, czytałam setki poruszających komentarzy, w których kobiety dziękują swoim położnym. Tym bardziej jestem ciekawa, jak to się dzieje, że ktoś tej empatii w sobie nie ma, że z emocjami kobiety rodzącej sobie nie radzi. Jak to się dzieje, że w sytuacji porodu uruchamia się jakiś rodzaj przemocy?

Mam różne hipotezy, ale nie znam odpowiedzi. Chciałabym, aby w hierarchii szpitalnej pozycja położnej była równie podmiotowa, jak pozycja lekarza. Dlaczego ma być inaczej? Położna jest specjalistką od fizjologii, na tym się zna najlepiej, lekarz jest specjalistą od patologii. W pewnych momentach mogą współpracować, uczyć się od siebie nawzajem – jak to opisuje Magda Stankiewicz – natomiast nie ma żadnego powodu, żeby położna podlegała lekarzowi, a mam wrażenie, że wciąż tak się dzieje.

To marzenie o dialogu z położną jest chyba najważniejsze dla rodzących. Niektóre pragną mieć położną – mamę, przyjaciółkę, która je uchroni, wyratuje. Może nawet być szorstka, byle była uważna na kobietę.

Najważniejsze, żeby położna była w kontakcie i żeby tę kobietę przyjmowała ze wszystkim, z czym ta kobieta jest. Bo człowiek jest istotą, która potrzebuje odpowiedzi. Kiedy położna mówi: „widzę, z czym ci trudno, słyszę, co mówisz do mnie" – poczucie bezpieczeństwa rośnie.

Ale system wywiera presję. Jak się w nim nie pozbyć tej postawy: „Widzę, słyszę, czuję"?

Położne robią coś niesłychanie ważnego. Przyjmują nowych ludzi na świat. Jeśliby się razem policzyły, stowarzyszyły, żeby nie musieć działać w pojedynkę, uprawiając jakiś rodzaj partyzantki, to być może byłoby im łatwiej zachęcać kolegów i koleżanki – lekarzy – aby dali im więcej przestrzeni. Z badań wynika, że im większą położna ma podmiotowość i samodzielność w swoim zawodzie, tym większa satysfakcja kobiet z porodu. Tak jest np. w Danii, Szwecji i Holandii.

Jakie pytania warto zadać sobie przed porodem?

1. Czy jestem pewna, że chcę urodzić i karmić naturalnie? Czego mi potrzeba, żeby podjąć decyzję?
2. Czy potrafię wyobrazić sobie swój idealny poród?
3. Czy chcę, by ktoś mi towarzyszył? Czy wybrana osoba czuje się gotowa do podjęcia tej roli?
4. Czy wiem, gdzie mogłabym urodzić tak, jak sobie wymarzyłam i czy jestem gotowa poświęcić energię na znalezienie takiego miejsca?
5. Czy jestem gotowa zaakceptować konieczność zmiany planów?
6. Czy jest coś, co budzi mój szczególny niepokój, kiedy myślę o porodzie?
7. Czy umiem odczytywać sygnały płynące z ciała, np. nadmierne napięcie mięśni? I czy potrafię reagować na nie?
8. Czy znam naturalne techniki radzenia sobie z bólem?
9. Czy wiem, co daje mi poczucie bezpieczeństwa, pozwala się odprężyć?
10. Czy ufam lekarzowi/położnej opiekującym się mną w ciąży i czy umiem ich prosić o pomoc?
11. Czy wiem, jakie są aktualne prawa kobiety w porodzie?

„Jeśli kobieta jest przekonana, że nie ma potrzeby specjalnie myśleć o rodzeniu, bo »jakoś to będzie«, to zawsze warto rozważyć, czy nie jest to (...) nie do końca świadoma próba uniknięcia zmierzenia się z wyobrażeniem porodu (...). A jeśli tak właśnie jest, to dobrze znaleźć kogoś, z kim można otwarcie porozmawiać na ten temat. (...) Na pewno nie warto stosować strategii ucieczki, bo dolegliwe lęki w czasie porodu uniemożliwiają płynny przebieg akcji porodowej. Na szczęście możemy także liczyć na to wszystko, czego zwykle sobie nie uświadamiamy, a co wie o rodzeniu nasze ciało. Trzeba mu tylko pozwolić wykonać tę pracę".

Fragment książki Katarzyny Oleś „Poród naturalny". Pochodzące z niej pytania w wyborze i opracowaniu Justyny Dąbrowskiej.

Twoja rozmówczyni, położna Katarzyna Oleś, mówi: „Zmiana sposobu myślenia wymaga odwagi". Irena Chołuj wspomina, że przez wiele lat pracowała w systemie i wtedy odbierała porody. A potem postanowiła coś zmienić i przez ostatnie lata je po prostu przyjmuje. W każdym wieku można stanąć w odpowiedzialności za jakość swojej pracy i dokonać zmiany.

Myślę, że tak. Nigdy nie jest za późno na zmiany.

Wróćmy do skrzywdzonych kobiet. Jak nie czuć się całe życie ofiarą, kiedy przeżyło się trudną historię w tak bardzo delikatnej sferze? Piszesz: „z opowieści moich bohaterek wynika, że zwykłe »przepraszam« ma niezwykłą moc".

Dobrym przykładem jest to, co opisuje wspomniana Agnieszka Herzig z Wiednia. Kobieta, która się czuje źle potraktowana, przychodzi do szpitala i składa białe róże pod salą, gdzie rodziła, i gdzie zaszło coś, o czym ona nie może zapomnieć. Potem spotykają się z nią rzeczniczki szpitala, rozmawiają i przepraszają. Czasami to się okazuje wystarczające. Bo powiedzenie „przepraszam" oznacza, że biorę odpowiedzialność.

Większość dramatycznych historii, z którymi się stykam, ma wspólny mianownik: tak naprawdę nie maszyny zawiodły, tylko czynnik ludzki. Medykalizacja ma na celu uratowanie tego, co w drodze ewolucji nie byłoby do uratowania. Maszyny są coraz doskonalsze, ale czynnik ludzki opornie reaguje na możliwość zmian. Dlaczego?

To pewnie koresponduje z niskim zaufaniem. W polskim społeczeństwie jedynie 11 proc. osób ufa komuś więcej niż tylko najbliższej rodzinie, a nie da się przejść przez poród bez wzajemnego zaufania. Jedna z bohaterek mówi: „wszyscy patrzyli na KTG, a nikt nie patrzył na mnie". Przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by korzystać z narzędzi i nadal być w kontakcie. Aby kobieta mogła zaufać położnej, a położna kobiecie.

© Rozmawiała SABINA JAKUBOWSKA

WIARA

PREFEKT NA NOWE CZASY

Franciszek mianował szefem Dykasterii Nauki Wiary swojego doradcę, Argentyńczyka Víctora Manuela Fernándeza. Ma on tylu sprzymierzeńców, co przeciwników.

DOMA MATEJKO

Dykasteria Nauki Wiary do niedawna była filarem Watykanu, podtrzymującym doktrynę Kościoła. Przez wieki instytucja ta zmieniała nazwę kilka razy, ale nawet to nie sprawiło, by wielu ludziom przestała się kojarzyć ze Świętą Inkwizycją.

Decyzją o zmianie przełożonego najważniejszej kongregacji doktrynalnej papież pokazuje, że zmienić można wiele, również uświęconą tradycję. Odejście dotychczasowego prefekta, hiszpańskiego jezuity Luisa Ladarii Ferrera, wcześniej jednego z najbliższych współpracowników Benedykta XVI, było co prawda do przewidzenia ze względu na jego wiek. Mało kto jednak przypuszczał, że jego miejsce zajmie 61-leni – stosunkowo młody jak na to stanowisko – Argentyńczyk, którego w skrócie można nazwać prawą ręką Franciszka. Mimo bogatego dorobku intelektualnego Fernándeza, autora ponad 300 publikacji naukowych, krytykują go konserwatyści. Franciszek stawia jednak na dialog, otwartość i progres, których jego rodak jest uosobieniem.

Prefekt z peryferii

Víctor Manuel Fernández był dotychczas arcybiskupem La Platy – archidiecezji położonej we wschodniej części Argentyny. Pełnił również funkcję przewodniczącego Argentyńskiego Towarzystwa Teologicznego oraz Komisji Wiary i Kultury Episkopatu Argentyny. Przez osiem lat był rektorem Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego w Argentynie, mimo że Kongregacja ds. Edukacji Katolickiej początkowo nie uznawała tej kandydatury, krytykując jego zbyt liberalne podejście m.in. w zakresie teologii moralnej. Przez cały czas swojej posługi kapłańskiej, rozpoczętej już w wieku 24 lat, Fernández miał silne poparcie Bergoglia – ten zawsze go bronił, wierząc, że młody biskup jest zmianą, której Kościół potrzebuje.

Fernándeza i Franciszka łączy trwająca już ponad trzydzieści lat przyjaźń. Uważa się go wręcz za współtwórcę najważniejszych encyklik papieskich: „Evangelii gaudium" i „Laudato si", oraz adhortacji „Amoris laetitia". W opublikowanym

ARCHIWUM PRYWATNE ABP. VÍCTORA MANUELA FERNÁNDEZA

Abp Víctor Manuel Fernández, lipiec 2020 r.

1 lipca liście nominacyjnym na stanowisko prefekta papież zaznaczył, że Dykasteria Nauki Wiary powinna skończyć z rolą żandarma, który krytykuje, potępia i szuka herezji. Głównym zadaniem Fernándeza ma być wejście w dialog „z aktualną sytuacją, która pod wieloma względami jest bezprecedensowa w dziejach ludzkości".

Faktem jest, że mało który biskup może pochwalić się taką znajomością rzeczywistości. Wychowywał się w małej miejscowości Alcira na argentyńskiej Pampie. Jego ojciec był sprzedawcą, a matka krawcową. Mimo że pochodzi z ubogiego regionu, jego rodzina mogła pozwolić sobie na to, aby wysłać go do dobrych szkół, a finalnie do seminarium duchownego w Cordobie.

– Był wybitnym studentem. Poznaliśmy się na wydziale teologicznym w Río Cuarto w Cordobie – komentuje dla „Tygodnika" teolog Carlos Humberto Gasparini. – Nasi profesorowie wykładali św. Tomasza, teologię bardzo klasyczną, a on fascynował się św. Bonawenturą, bardziej mistykiem niż systematykiem. Już wtedy przyjął postawę bardzo humanistyczną, kontrastującą z teoretyczną i tradycyjną linią, jaka dominowała na wydziale – wspomina Gasparini.

Fernández od początku swojej posługi kapłańskiej, którą rozpoczął w 1986 r. w diecezji Río Cuarto, miał kontakt z parafiami z najskromniejszych dzielnic. Już wtedy zwrócił uwagę na rolę i znaczenie Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Społecznego, której głównym celem jest walka z wykluczeniem i marginalizacją. Będąc potem rektorem Papieskiego Uniwersytetu Katolickiego w Buenos Aires, stworzył Obserwatorium Długu ↦

↦ Społecznego, ułatwiając tym samym dialog na temat problemów argentyńskiego społeczeństwa. Fernández, podobnie jak Franciszek, uważa, że wiara wyraża się głównie w czynie, czym przysparza sobie przeciwników z konserwatywnego obozu Kościoła i argentyńskiej sceny politycznej.

W obronie wykluczonych

„Czasami spotykam się z ludźmi, którzy żyją z polityki lub ze spadku po rodzicach i nic nie robią, a do *cartoneros* [osób zajmujących się zbiórką kartonów z ulicy – red.] krzyczą, że mają wziąć się do roboty" – mówił w jednej ze swoich słynnych homilii Fernández. Urząd miasta Buenos Aires chciał zakazać nielegalnego zbierania odpadów, argumentując, że *cartoneros* wpływają negatywnie „na higienę miasta".

Te słowa poparcia biskupa Fernández dla *cartoneros* odbiły się głośnym echem w całej Argentynie. Konserwatywni politycy mocno wtedy je skrytykowali. Jeden z nich, Miguel Ángel Pichetto, zapewne czując się wywołany do odpowiedzi słowami o nic nierobiących politykach, stwierdził wprost, że „z takimi księżmi jesteśmy straceni!".

To nie jedyna sytuacja, kiedy wypowiedź Fernández spotkała fala krytyki. Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, niemiecki kardynał Gerhard Ludwig Müller, określił jako „heretyckie" stwierdzenie Fernández, że „papież niekoniecznie musi cały czas mieszkać w Rzymie", po tym, gdy w 2017 r. pojawiły się pogłoski o tym, że papież nie będzie mieszkać w Watykanie. Fernández wskazał wtedy gminę Guidonię jako potencjalne miejsce zamieszkania papieża. Tłumaczył, że Franciszek jest głową całego Kościoła, również tego na peryferiach geograficznych i egzystencjalnych, które Bergoglio tak bardzo miłuje.

Mimo że papież pozostał w Rzymie, Fernández utrwalił swój wizerunek buntownika w oczach tradycjonalistów. Obecnie oliwy do ognia dodają wypowiedzi nowego prefekta na temat społeczności LGBT+, nawołujące nie tylko do akceptacji, ale też do miłości wobec osób homoseksualnych, podkreślając, że nie ma większej wartości niż drugi człowiek, bez względu na jego tożsamość. W jednej z homilii mówił: „Jeśli nie nauczę się patrzeć na piękno bliźniego, pomijając jego wygląd, orientację seksualną, nie będę w stanie go prawdziwie kochać, takim, jakim jest, czy mi się to podoba, czy nie".

Inny Kościół

Fernández uważa się za współtwórcę najszerzej komentowanej adhortacji papieża Franciszka „Amoris laetitia", poświęconej rodzinie. Dla niektórych katolików treści w niej zawarte były podważeniem podstawowych zasad moralnych życia chrześcijańskiego. Víctor Manuel Fernández, wtedy jeszcze jako rektor Uniwersytetu Katolickiego, należał do tych duchownych, którzy interpretowali „Amoris laetitia" jako otwarcie Kościoła na możliwość pełnego uczestnictwa w Eucharystii dla osób rozwiedzionych żyjących jak mąż i żona w nowych związkach. „Przez wieki Kościół wykształcił filozofię i postawy moralne, które miały służyć klasyfikacji ludzi i przypisywaniu im etykietek. Ten jest taki, a ten taki. Ten może przyjmować Komunię Świętą, a ten nie. Fatalnie, że do czegoś takiego doszło w Kościele" – mówił w czasie jednego z kazań.

I choć dla niektórych słowa te są trudne do przyjęcia, postawa Fernández jest spójna z kierunkiem wyznaczanym przez Franciszka, który podkreśla, że Euchary-

Koniec ery Ratzingera

„DYKASTERIA, którą będziesz kierować, stosowała kiedyś niemoralne metody. Były to czasy, w których zamiast promować wiedzę teologiczną, zajmowano się ściganiem ewentualnych błędów doktrynalnych. Oczekuję od Ciebie bez wątpienia czegoś zupełnie innego" – pisze Franciszek w liście do abp. Víctora Manuela Fernández, nowego prefekta Dykasterii Nauki Wiary. Podkreśla, że jego zadaniem jako prefekta ma być, owszem, „strzeżenie wiary", ale nie oznacza to narzucania wszystkim jednego sposobu jej wyrażania. „Do wzrostu Kościoła mogą przyczynić się różne kierunki myśli filozoficznej, teologicznej i duszpasterskiej" – pisze papież. Życzeniem Franciszka jest, by dykasteria przestała być urzędem kontroli publikacji, a stała się teologicznym zapleczem ewangelizacji i w imieniu Kościoła prowadziła rozmowę ze współczesnym światem, szukając odpowiedzi na pytania, jakie stawia nauka i postęp. Ma też weryfikować, czy dokumenty wychodzące z Watykanu są zgodne nie tylko „z duchem odwiecznego nauczania", ale też „z najnowszym Magisterium" – czyli nauczaniem Franciszka.

NOMINACJA nowego prefekta jest też dla papieża okazją, by pokazać, jakiej postawy oczekuje od teologów. Franciszek nie ceni akademików, uprawiających „teologię zza biurka" – woli tych, którzy refleksję teologiczną wprzęgają w praktykę duszpasterską. Teologia ma służyć głoszeniu Ewangelii i nawróceniu, a nie „twardym, zimnym, logicznym wywodom", których jedynym celem jest „dominacja i przekonanie do własnej racji". „Potrzebujemy przekonująco mówić o Bogu, który kocha, przebacza, zbawia i wyzwala. Który stawia na człowieka i powołuje go do braterskiej służby" – pisze papież, dodając, że w wielości sposobów wyrażania wiary nie ma miejsca jedynie na te koncepcje, które odrzucają wszechmoc i miłosierdzie Boga.

ROLĄ nowego prefekta, który bez zastrzeżeń podziela Franciszkowy sposób myślenia o Kościele, będzie tworzenie teologicznych interpretacji, uzasadniających wprowadzane zmiany. Papież, jak dotąd, nie miał ani czasu, ani ochoty się z nich tłumaczyć i odpowiadać na napływające z różnych stron wątpliwości i krytyki. Pierwszą okazją będzie być może synod powszechny, rozpoczynający się w październiku (abp Fernández przejmuje kierownictwo dykasterii od września).

ZMIANA prefekta jest też prawdziwym końcem ponad 40-letniej epoki Ratzingera: odchodzący z urzędu kard. Luis Ladaria Ferrer był ostatnim (trzecim z kolei) szefem kongregacji z grona najbliższych współpracowników Benedykta XVI, podzielających jego, nieco odmienną, wizję „strzeżenia depozytu wiary".

©℗ EDWARD AUGUSTYN

stia nie jest nagrodą dla doskonałych, ale lekarstwem dla słabych. Podejście to pokazuje, że każdy jest częścią Kościoła. Ta inkluzywna perspektywa z pewnością wynika z faktu, że papież i abp Fernández pochodzą z kraju, w którym różnice społeczne są dużo bardziej widoczne niż w Europie i gdzie Kościół robi wiele, żeby te różnice jeżeli nie wyrównać, to przynajmniej zmniejszyć. W całej Argentynie parafie katolickie organizują misje i akcje pomocy najuboższym.

– Víctor Manuel Fernández ma niezwykłe podejście do ludzi ubogich. Rozwinął ideę Kościoła w drodze i zachęcał do podejmowania misji – tłumaczy ks. Juan López z parafii Matki Bożej Różańcowej z Buenos Aires. Misje realizowane przez wiernych Kościoła katolickiego w Argentynie polegają na wyjazdowych rekolekcjach połączonych z pracą na rzecz ubogich i potrzebujących.

– W pierwszy dzień misji, którą realizowałam z młodą zakonnicą, podbiegła do nas zapłakana kobieta, błagając o ubrania dla dzieci – wspomina 24-letnia María Victoria Prieto, która należy do grupy młodych z parafii w San Miguel w prowincji Buenos Aires. – Okazało się, że młoda matka popełniła samobójstwo, podpalając siebie i dom. Dzieci zostały bez niczego – kontynuuje.

Takie historie niestety są częścią rzeczywistości, którą Fernández chce zmieniać. – Posiada on szczególną zdolność do łączenia ewangelicznego przesłania i doktryny z ludzką egzystencją i życiem codziennym – komentuje bp Damián Nannini z San Miguel.

Po stronie oskarżonego

Największe kontrowersje w wyborze nowego prefekta budzi fakt, że stawał w obronie podejrzanego o molestowanie seksualne nieletnich ks. Eduarda Lorenza. Sprawa tego przestępstwa była jedną z najgłośniejszych afer argentyńskiego Kościoła katolickiego. W lutym 2019 r. Fernández publicznie stwierdził, że oskarżenia kierowane w stronę Lorenza były „prymitywną bitwą mającą go ośmieszyć". Co więcej, duchowny, będący wtedy arcybiskupem La Platy, opublikował na stronie archidiecezji list Lorenza, w którym odpierał oskarżenia, mówiąc, że to „oszczerstwa, zniewagi i zniesławienia". Fernández zarzuca się, że ani przez moment nie wziął pod uwagę perspektywy ofiar, mimo że z miesiąca na miesiąc przybywało osób, które deklarowały, iż zostały przez ks. Lorenza skrzywdzone.

Fernández połączyła z Bergogliem trwająca już ponad 30 lat przyjaźń.

Uważa się go wręcz za współtwórcę najważniejszych encyklik papieskich „Evangelii gaudium" i „Laudato si" oraz adhortacji „Amoris laetitia".

Kiedy podejrzany znalazł się pod nadzorem karnym, w marcu 2019 r., arcybiskup pojechał do jego parafii, aby tam odprawić Eucharystię, w czasie której Lorenzo odnowił śluby kapłańskie. Opinia publiczna uznała to za akt czystej hipokryzji. Nie zważając na głosy ofiar, Fernández, który nadal ślepo wierzył w niewinność księdza, chronił go w lokalnej siedzibie Caritas, co miało zapobiec aresztowaniu podejrzanego. Nałożył na niego jedynie zakaz podróżowania i spędzania czasu sam na sam z nieletnimi, który miał obowiązywać Lorenza na terenie archidiecezji La Plata. Nie zdecydował się na żadne ostrzejsze zakazy, mimo faktu, że psychologowie sądowi po przeprowadzeniu badań jednoznacznie stwierdzili, że Lorenzo ma zaburzenia osobowości w postaci narcyzmu i skłonności do perwersji.

Dopiero w październiku 2019 r., czyli w momencie, kiedy sprawa karna nabierała tempa i przybywało dowodów na niekorzyść Lorenza, Fernández zdecydował się na usunięcie go z parafii, argumentując swoją decyzję tym, że Lorenzo poprosił go o urlop zdrowotny. Kilka godzin po tym, jak 16 grudnia 2019 r. sędzia Marcela Garmendia wydała nakaz aresztowania Lorenza, 59-letni ksiądz został znaleziony w siedzibie Caritas martwy, z bronią.

Za drugim razem

Po samobójstwie Lorenza abp Fernández oświadczył, że doszło do niego po „miesiącach ogromnej presji i cierpienia", cierpienia, którego według arcybiskupa miał doznawać Lorenzo. Hierarcha nie skierował ani słowa do ofiar, dla których samobójstwo księdza stało się argumentem świadczącym o słuszności ich oskarżeń. Metropolita La Platy powiedział jedynie, że będzie się modlił za tych, „którzy mogli zostać urażeni lub dotknięci" działaniami Lorenza.

Po wyborze Fernández na stanowisko prefekta Dykasterii Nauki Wiary wielu nie ukrywa oburzenia, tym bardziej że jednym z zadań tej Dykasterii jest prowadzenie spraw związanych z nadużyciami seksualnymi wobec nieletnich. Archidiecezja La Platy, w związku z pojawiającymi się w mediach doniesieniami o braku właściwej reakcji arcybiskupa na oskarżenia wobec Lorenza, wydała oświadczenie, w którym zapewnia, że Fernández nigdy nie mówił, że nie wierzy ofiarom. Mimo że reakcja metropolity na tę sprawę sugeruje coś innego.

Faktem jest, że papież dwukrotnie proponował Fernández stanowisko prefekta. Za pierwszym razem Fernández tłumaczył, że po aferze z La Platy nie może objąć najważniejszej funkcji w dykasterii. Dopiero za drugim razem przyjął propozycję – po tym, jak Franciszek zapewnił go, że nie będzie musiał zajmować się sprawami dotyczącymi nadużyć seksualnych. Swoją obietnicę papież potwierdził w oficjalnym liście, w którym podkreślił: „biorąc pod uwagę, że w sprawach dyscyplinarnych – zwłaszcza związanych z nadużyciami wobec małoletnich – została niedawno utworzona specjalna sekcja z bardzo kompetentnymi profesjonalistami, proszę Cię jako prefekta, abyś poświęcił swoje osobiste zaangażowanie bardziej bezpośrednio głównemu celowi Dykasterii, jakim jest »strzeżenie wiary«".

To nieco sztuczne rozwiązanie, bo jako prefekt formalnie pozostanie odpowiedzialny za całość działalności dykasterii. Sprawa wspierania ks. Lorenza – niestety – będzie się ciągnęła za Fernández jeszcze długo. I ostatecznie nie wiadomo, czy pozwoli mu wypełnić misję, do której został przede wszystkim przez papieża powołany. Po latach rządów hierarchów pochodzących z Europy i Stanów Zjednoczonych rolę najważniejszego teologa w Watykanie przejmuje bowiem Argentyńczyk, którego wizja Kościoła jest odmienna od tej, do jakiej przywykli zachodni tradycjonaliści.

© DOMA MATEJKO

Bóg, bąki i dziecko

WACŁAW OSZAJCA SJ

Jest nieuchwytny. Któż Go może zatem uchwycić? Poeci.

Bóg jest zawsze i wszędzie, czyli nigdy i nigdzie, jak się to ironicznie i bezbożnie mówi, a z tym nie ma żartów. Jerzy Liebert po opublikowaniu wiersza pt. „Pan Bóg i bąki" został oskarżony o, dzisiaj byśmy powiedzieli, obrazę uczuć religijnych. Na szczęście miał dobrego adwokata i został uniewinniony.

Pan Bóg jest dzieckiem płochem, które dla zabawy
Słodki kwiat koniczyny ukrywa wśród trawy,
Z obłoków na nią bąki furkocące strąca,
By w kwiatach brzuszki skryły od wielkiego słońca.
Gdy później bąki ciężko poruszają głową,
Plączą nogi od miodu i fruwać nie mogą,
I spoglądają w niebo z wyrzutem i gniewem –
Bóg chytrze się uśmiecha, że o niczem nie wie.

Mamy więc przed sobą Boga uśmiechniętego, rozbawionego, lubiącego robić, szczerze mówiąc, niezbyt przyjemne dowcipy. Bóg też, przy całym swoim dziecięcym usposobieniu, potrafi być chytry, przebiegły, ale nie bezmyślnie złośliwy. Zastawił na łakomczuchów pułapkę, ale nie po to, żeby je dręczyć, nie jest sadystą. Te boskie stworzenia, objadając się ponad wszelką miarę słodkim nektarem, popełniły grzech obżarstwa, jeden z siedmiu grzechów głównych obwarowanych karą wiecznego potępienia. W swoim czasie w obronie Lieberta i jego bąków stanęli koledzy literaci i adwokat, ale, zapewne nie wiedząc o tym, także teolog Karl Rahner, który mówi, że jeśli jakieś przykazanie, czy inne rozporządzenie władz kościelnych, nie ma „statusu przykazań Bożych", to w pewnych okolicznościach „miłość (...) może nas zwolnić" z obowiązku zachowania tegoż przykazania. Co więcej, Rahner twierdzi, że takiego zwolnienia nikt nie musi nam wystawiać.

Te wściekłe na Boga ofiary łakomstwa za chwilę obeschną i swobodnie odlecą, pamiętając, że nadmiar słodkości szkodzi ciału i duszy. A tak na marginesie, w cytowanym wierszu chodzi raczej o trzmiele, choć w niektórych częściach naszego pięknego kraju nazywa się je bąkami.

Niedoskonały

Anioł Ślązak, z łacińska Angelus Silesius, a właściwie Johannes Scheffler, wieki temu pisał:

Boga się nie schwyci
Bóg jest nicością czystą,
nie zna tu ni teraz:
Im chwycisz Go usilniej,
tym bardziej ci ucieka.

Ale nas uczono, że Bóg jest bytem najdoskonalszym z najdoskonalszych, którego nijak nie można opisać. Dlatego mówimy, kim nie jest i jaki nie jest. A jeśli chcemy mówić pozytywnie, wtedy podnosimy nasze określenia do niewyobrażalnej potęgi, przy czym musimy pamiętać, że mówimy o czymś, „czego oko nie widziało ani ucho nie słyszało" (1 Kor 2, 9). Wobec Boga samego w sobie wszystkie nasze możliwości poznawcze zawodzą. Stąd wszystkie starania w tym względzie przypominają oklepane gonienie króliczka. Ta wszechogarniająca niemoc ani trochę nie martwi Schefflera. Patrząc na jego poetycko-teologiczny dorobek, można powiedzieć, że nic tak dobrze nie robi człowiekowi jak niedosyt, głód, a właściwie post. Anioł Ślązak pości, to nie znaczy, że coraz więcej sobie odmawia słodkich przyjemności, czym grzeszyły bąki Lieberta; przeciwnie, żyje zachłannie, ale sądząc z liczby jego utworów, można powiedzieć, że każdy jego wiersz to jakby łyk wody lub powietrza, zatrzymanie w drodze po to, by ruszyć dalej w nieznane z nadzieją, że nie dojdzie się do horyzontu, nigdy nie utknie się w klatce tego, co możliwe, ale zamieszka

się w niemożliwym. Popatrzmy na Pawła z Tarsu.

W Liście do Filipian czytamy, że Syn Boży, „istniejąc w naturze Bożej, nie skorzystał ze sposobności, aby być na równi z Bogiem, lecz sam siebie poniżył, przyjąwszy naturę sługi. Stał się podobny do ludzi i w zewnętrznej postaci uznany za człowieka" (Flp 2, 6-7). Natomiast zdaniem Anioła Ślązaka jest wprost przeciwnie:

Niegotowy Bóg się staje w doczesności,
Czym się nigdy nie stał
w całej swej wieczności.

To znaczy, że Syn Boży, stając się człowiekiem, ze swojej boskości niczego nie stracił, przeciwnie, zyskał nowy sposób istnienia i działania. Przestał być tylko Słowem, przestał żyć w obrzędach, słowach, w opowiadaniach, w muzyce, pieśni, w tańcu. Stając się człowiekiem, rozjaśnił trochę, nie całkowicie, prawdę o losie każdego człowieka. „Patrzcie, jak wielką miłością obdarzył nas Ojciec, (...) już teraz jesteśmy dziećmi Bożymi, a jeszcze się nie okazało, czym będziemy. Wiemy, że gdy się

CHRISTINE DE GRANCY / ANZENBERGER / FORUM

Chrześcijanie aramejscy (kapłan i chłopiec) przed swoją świątynią w Midyat, Turcja, maj 2019 r.

On ukaże, staniemy się do Niego podobni, ponieważ ujrzymy Go takim, jakim jest. A każdy, kto ma w Nim tę nadzieję, oczyszcza się, jak i On jest czysty" (1 J 3, 1-3).

Też jestem synem Boga,
koło niego siedzę:
Ducha, krew swą, ciało On
rozpozna we mnie

– mówi mistyk-poeta, a w innym epigramacie dodaje:

Ja jestem jak Bóg, a Bóg jest jak ja
Jak Bóg ja jestem wielki,
On mały jest jak ja:
Nie może On nade mną,
ja być pod Nim wszak.

Słowem, przed Bogiem nie trzeba już padać na twarz i ładnie składać rączek; jeśli coś trzeba, to wstać i ręce otworzyć. A jeśli już chcemy na klęczkach kogoś adorować, to człowieka, skoro, jak chce poeta, w małości człowieka ukazuje Bóg swoją wielkość. Nie przez to, że wszystko może, symbolem mocy Boga nie jest przecież miecz, berło i tron. Tajemnicę Boga poeta otwiera nie przy pomocy klucza z takimi nacięciami, jak wina i kara, gniew i przebaczenie, zasługa i nagroda, ofiara i cierpienie.

Że Bóg jest krzyżowany!
Że go można zranić!
Że On szyderstwo znosi,
którym się go darzy!
Że taki lęk wytrzyma!
I że umrzeć zdolny!
Nie dziw się, człowiecze:
to jest znak miłości.

Jeśli już chciałoby się stworzyć jakąś opisową definicję Boga, wystarczy w Hymnie o miłości (1 Kor 13, 1-13) zamienić słowo „miłość" na słowo „Bóg".

Zmaterializowany

Zmaterializowany – to znaczy stanowiący część mierzalnej rzeczywistości. Tak było dopóty, dopóki, z grubsza biorąc, materia składała się z niepodzielnych atomów. Dzisiaj tak już nie jest. Ogrom wiedzy zgromadzonej przez naukowców sprawia, że świat nam się coraz bardziej komplikuje i staje się coraz głębszą, bezbrzeżną tajemnicą. Poeta David Herbert Lawrence pisał:

Rybo, o rybo,
Nic nie jest ważne!

Czy się wody podniosą i pokryją ziemię,
Czy też opadną pozostając w dołach,
To dla ciebie jedno.

Wodna, podwodna,
Zanurzona
I drżąca od fal.

Jako wody płyną,
I ty także płyń.
(...)

Być rybą!
Tak bez zastrzeżeń i bez reszty
Rybą być
W wodzie.
(...)

Ja podziwiam tylko
I nie wiem,
Nie znam ryb.

Na początku
Jezusa zwano Rybą
I na końcu też.

↦

↦ Czytając fragmenty wiersza „Ryba", można się poczuć jak na lekcji o życiu i rozmnażaniu się tychże tytułowych stworzeń. Dopiero pointa wywraca wszystko podszewką do góry i okazuje się, że otaczający nas świat i my sami żyjemy nie w jakiejś bezsensownej fatamorganie, a przeciwnie, „przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie". Żyjemy w Nim jak ryba w wodzie. W tak ścisłym związku, że, jak by powiedział Anioł Ślązak, jeśli Bóg przestałby istnieć, przestałby istnieć człowiek, ale i odwrotnie.

Bezradny

8 maja 1943 r. w Warszawie, w ruinach getta, został rozstrzelany Władysław Szlengel, polski poeta pochodzenia żydowskiego, autor tekstów kabaretowych i piosenek. Mówiąc o Bogu, nie wymienia Go po imieniu. Bóg:

Długo nas dniem obrachunku straszył!
Mamy już dosyć modlitw i pokut.
Dzisiaj Ty staniesz przed sądem naszym
I będziesz czekał pokornie wyroku.
Rzucim Ci w serce
potężnym kamieniem
Bluźniercze, straszne,
krwawe oskarżenie.
(...)
Ty każde słowo nasze usłyszysz,
Jak Cię oskarża naród wybraniec,
– Nie ma zapłaty, nie ma zapłaty!!!

Następnie poeta mówi o paśmie tragedii, przez które „naród wybraniec" przechodził i przechodzi. Co prawda Bóg wywiódł swój lud z Egiptu, ale też „wydał w ręce siepaczy". Byli mordowani w cyrkach cezarów, krzyżowali ich Rzymianie, inkwizycja w Hiszpanii paliła na stosach, znęcali się nad nimi Kozacy, a teraz znowu Treblinka, inne miejsca kaźni, szubienice, egzekucje.

– Teraz nie ujdziesz już swego końca!
(...)
kat Cię popędzi
(...)
Zamknie za Tobą hermetyczne wieka,
Gorąca para zacznie dusić, dusić,
I będziesz krzyczał,
będziesz chciał uciekać
Kiedy się skończą już konania męki,
Zawloką, wrzucą, tam potwornym dołem
Wyrwą Ci gwiazdy – złote
zęby z szczęki –
A potem spalą.
I będziesz popiołem.

Kiedy pierwszy raz czytałem ten wiersz, nieodparcie narzucało mi się skojarzenie z Mickiewiczowską „Wielką improwizacją". Zrozpaczony Konrad woła do Boga: „odezwij się – bo strzelę przeciw Twej naturze (...). Krzyknę, żeś Ty nie ojcem świata, ale...", po czym pada, a Szatan dopowiada: „Carem!". Natomiast Władysław Szlengel w „Legendzie wigilijnej" opisuje wydarzenie, które miało miejsce w zakładach zbrojeniowych Kruppa. W samą Wigilię w tej „kolebce śmierci" pracujący tam ludzie, więźniowie, znaleźli niemowlę.

Dziecko leżało na hali
(...)
a ktoś wyszeptał – jak Jezus...
(...)
i się przerwała na chwilę
produkcja w zakładach Kruppa.

Niestety, nie na długo. Produkcja musi iść, „zdążają królowie (...) po towar (...) Wszystkie zmiany do pracy (...) i zapomniany został / Jezus w zakładach Kruppa".

Bóg z wierszy Szlengla i Mickiewicza wydaje się bezradny wobec nawałnicy zła, co w obydwu poetach budzi gniew. Obydwaj stawiają Mu zarzuty. Mickiewicz jednak nie kończy oskarżycielskiej mowy, wyręcza się Szatanem. Szlengel wyrok ogłasza. Słyszymy echo słów Jezusa z Nazaretu: „Boże mój – Boże mój, dlaczego pozostawiłeś mnie". Skoro jednak między Bogiem i ludźmi zaistniała tak mocna więź – nieważne: miłości, gniewu, a może nienawiści – to można mieć nadzieję, że nie wszystko stracone. Następnie, nawet jeśli Bóg wydał swój lud nas śmierć, to razem z tym ludem ginie, ponosi konsekwencje swojego działania, co nie oznacza, że historia ludzi z Bogiem na tym się kończy. Bóg, jak wiadomo, jest wszechmogący, a fakt pozostaje faktem, bezbronne dziecko, syn Boga – z Jego rodu jesteśmy – „jak Jezus" dokonuje cudu, czegoś, co wydawało się absolutnie niemożliwe: wstrzymało na chwilę machinę śmierci.

Przychodzący

Władysław Broniewski, po tragicznej śmierci córki Anki, napisał:

Otworzyłem okno,
a firanka
pofrunęła ku mnie,
jak Anka w trumnie.
Biała firanka, błękitne zasłony,
zaszeleściło...
O! pokaż mi się od tamtej
strony! Jesteś? Jak miło!...
Jak miło... jak miło... jak
strasznie, moja miła...
Ja już chyba nie zasnę...
Firanka?... Czy tyś tu była?

Ale gdzie tu szukać Boga? Trop podpowiada sam zapis wiersza. Tekst rozsypuje się, zdania rwą, rym występuje tylko w dwu wersach, wykrzykniki, pytajniki, wielokropki. Widać, że mamy do czynienia z rzeczywistością całkowicie zreorganizowaną, nad którą usiłuje zapanować „materialista dziejowy", jak Broniewski sam siebie nazywa. Szuka ratunku, ale po drugiej stronie rzeczywistości. Na tym poprzestańmy, uszanujmy miłość i rozpacz, bezsilność i odwagę przekraczania samego siebie; nie będzie błędem, jeśli powiemy, że dogmatów kościelnych również. Czyż wiersz Broniewskiego nie dowodzi, że mistyka nie jest obca materialistom? Karel Dachovský w wierszu „Mistyka" mówi:

Do świątyni Boga
nie wchodzi się bezkarnie.
Można tam wejść tylko
z odartymi stopami.

Nawet obłoki kadzidlanego dymu
nie są najpewniejszą drogą.
Już raczej roje much
stanowią odpowiednie środowisko.
A także odór trędowatych.

Mamy więc drogowskaz, adres zamieszkania Boga podpowiadają poeci. Nic dziwnego, jakże często Bóg i bogowie mówią wierszem, lubią śpiewać, tańczyć i ucztować. Wystarczy pamiętać o Kanie Galilejskiej.

© WACŁAW OSZAJCA SJ

Wiersze Johannesa Schefflera czyli Anioła Ślązaka, w przekładzie Andrzeja Lama. Wiersz Davida H. Lawrence'a przełożył Leszek Elektorowicz. Tłumaczem wiersza Karela Dachovskiego jest Andrzej Babuchowski.

Sudoku i liturgia

MARCIN CHODUŃ

W starokatolickim Kościele Austrii wyniesiono do godności biskupiej Marię Kubin. To pierwsza biskupka wśród starokatolików.

ALTKATHOLISCHE KIRCHE ÖSTERREICHS / YOU TUBE

Biskupka Maria Kubin

Wybór nie był oczywisty. Kontrkandydat duchownej ze Styrii – ks. Richard Gödl – wycofał się z powodów osobistych na dwa dni przed głosowaniem. Kilku członków Synodu chciało nawet przesunąć termin wyborów, by znaleźć nowego kontrkandydata. Maria Kubin nieznaczną większość uzyskała w trzeciej turze.

U starokatolików wyboru biskupa dokonuje właśnie Synod, w skład którego na równych prawach wchodzą duchowni i osoby świeckie. To jedna z kilku różnic w porównaniu do Kościoła rzymskokatolickiego, z którym starokatolicy pozostają w doktrynalnym sporze od 1870 r. – czyli od chwili ogłoszenia podczas I soboru watykańskiego dogmatu o nieomylności papieża, odrzuconego przez założycieli wspólnoty.

Kolejna różnica: Kościoły starokatolickie, zrzeszone od 1889 r. w tak zwanej Unii Utrechckiej, dopuszczają kapłaństwo kobiet. Choć nie wszystkie – jest ono możliwe głównie w zachodnioeuropejskich Kościołach krajowych. W Austrii kobiety stanowią już około jednej piątej księży. Do tej pory nie było jednak starokatolickiej biskupki – nie tylko nad Dunajem, ale w całej Unii Utrechckiej. Wszystko zmieniło się 24 czerwca, gdy w kościele Gustawa Adolfa w Wiedniu na głowę Marii Kubin nałożono biskupią mitrę.

Wewnętrzny głos

Wiara zawsze miała znaczenie w jej życiu. W Kościele rzymskokatolickim, wyznaje, robiła właściwie wszystko, co może robić świecka wierna. Przez wiele lat działała w diecezjalnym ośrodku edukacyjnym Rzymskokatolickiego Ruchu Kobiet w Sankt Johann bei Herberstein: organizowała rekolekcje, tańczyła i studiowała teologię feministyczną. Jednak, opowiada, zawsze miała wrażenie, że to jeszcze nie to. – Zostałam wychowana w tradycyjnej rodzinie rzymskokatolickiej i w życiu nie pomyślałabym, że któregoś dnia mogę zostać księdzem – mówi.

Urodziła się w 1965 r. w Wiedniu. Jest mężatką (mąż Robert jest księgowym starokatolickiego Kościoła Austrii), ma pięcioro dzieci i czworo wnucząt. Lubi grać na wiolonczeli, co traktuje jako rodzaj duchowej praktyki, i jeździć samochodem. Chętnie układa też sudoku oraz ogląda filmy szpiegowskie i katastroficzne. Od ponad dwudziestu lat mieszka w Styrii. Z zawodu jest pielęgniarką i psychoterapeutką – praktykę psychoterapeutyczną prowadzi w Grazu.

W tym mieście spotkała się też z Kościołem starokatolickim. Właściwie przypadkowo – jeden ze znajomych zaprosił ją na nabożeństwo starokatolickie. Poszła z ciekawości. Była wtedy w trakcie duchowych poszukiwań – od pewnego czasu nie do końca odpowiadały jej możliwości, które jako kobieta miała w Kościele rzymskokatolickim, czy też których, jak mówi, raczej nie miała.

W 2008 r. Maria zdecydowała się ostatecznie opuścić swoją macierzystą wspólnotę. Nie była to łatwa decyzja. Przez jakiś czas rozważała wstąpienie do Kościoła ewangelickiego. Uznała jednak, że może dokonać konwersji jedynie do innego Kościoła katolickiego. – W nowej rzeczywistości czuję się po prostu jak w domu – tłumaczy. – Sposób, w jaki chcę celebrować sakramenty, oraz rodzaj służby, której pragnę – to wszystko jest dla mnie ważne. Kiedyś byłam rzymską katoliczką, teraz jestem starokatoliczką. W nazwach obydwu Kościołów jest słowo „katolicki" i jest to dla mnie istotne.

Owszem, fakt, że w austriackim Kościele starokatolickim kobiety już od 25 lat są wyświęcane na księży, nie był bez znaczenia. – Gdy o tym usłyszałam, bardzo mnie to poruszyło – opowiada. – To było prawie jak przebudzenie lub doświadczenie powołania. Pomyślałam wtedy, że to jest możliwe i naprawdę mogę tak żyć.

Jednak – jak podkreśla – nie to było powodem jej konwersji. – Gdy poznałam Kościół starokatolicki, doznałam czegoś przypominającego objawienie. Dlaczego? Bo to wspólnota bardzo otwarta, z nowoczesnym podejściem do życia, która gwarantuje takie wartości jak równość, podkreśla znaczenie osobistej decyzji sumienia, promuje duchowość bliską życiu. Przeszłam do Kościoła starokatolickiego, bo uznałam go po prostu za dobry sam w sobie.

W 2015 r. rozpoczęła studia rzymskokatolickiej teologii na Uniwersytecie w Grazu, które kontynuowała w Seminarium Teologii Starokatolickiej ↦

↦ i Ekumenicznej na Uniwersytecie w Bonn. W 2017 r. została wyświęcona na diakonkę, a w roku 2019 na księdza. Jej motto podczas święceń brzmiało: „Służyć życiu". Zachęcona przez byłego arcybiskupa Utrechtu słowami: „by nie żyła wbrew swojemu osobistemu powołaniu", Maria Kubin zdecydowała się zgłosić swoją kandydaturę na urząd biskupa starokatolickiego Kościoła Austrii.

Wierni z zewnątrz

Wspólnota ta obejmuje dwanaście parafii, z których cztery mieszczą się w Wiedniu. Synod, najwyższy organ władzy zwierzchniej i prawodawczej w tym Kościele, składa się z 70 osób. Dwie trzecie z nich to członkowie świeccy, jedna trzecia – duchowni.

Wszystkich starokatolików w Austrii jest ok. 8,6 tys. Liczba ta stale rośnie – głównie z powodu napływu wiernych z zewnątrz. – Pozyskujemy więcej nowych członków poprzez konwersje niż poprzez chrzty – mówi Maria Kubin. – Można więc powiedzieć, że jesteśmy Kościołem, do którego się wstępuje.

Jednak to nie liczba członków jest według niej najważniejsza. – Nie sądzę, żeby w naszym Kościele musiało być więcej osób – tłumaczy. – Chodzi raczej o to, że powinien on być istotny w życiu ludzi. Nie chodzi o wiarę, dogmaty czy formalne struktury, a jedynie o to, by ludzie czuli się osobiście zaangażowani w sprawy świata. Nie jest ważne, czy stoję, siedzę albo czy mówię „amen" podczas uwielbienia. Ważne jest tylko to, czy naprawdę jesteśmy wartością dla świata, bo on tego desperacko potrzebuje w imię pokoju, solidarności i dobra środowiska.

Starokatolicki Kościół Austrii należy do wspomnianej już Unii Utrechckiej, związku samodzielnych, starokatolickich wspólnot krajowych. Uznają one takie same teologiczne podstawy wiary oraz mają identyczny porządek liturgiczny. Obecnie do Unii Utrechckiej należy siedem Kościołów z Europy Zachodniej i Środkowej, zrzeszających około 65 tys. członków.

Pod względem doktrynalnym starokatolicyzm głosi „wiarę starego Kościoła", czyli prawdy uznawane w Kościele w pierwszym tysiącleciu po Chrystusie. Odrzuca zwłaszcza *filioque*, czyli regułę mówiącą o pochodzeniu Ducha Świętego od Ojca i Syna (starokatolicy uważają podobnie jak prawosławni, że Duch Święty pochodzi wyłącznie od Boga Ojca). Kościół starokatolicki nie uznaje ponadto orzeczeń soboru trydenckiego dotyczących dyscypliny kościelnej, odrzuca dogmaty o niepokalanym poczęciu Maryi i jej wniebowzięciu, a także doktrynę transsubstancjacji. Starokatolicy kwestionują również dogmat o jurysdykcyjnej zwierzchności papieża nad Kościołem powszechnym i jego nieomylności – choć ze względów historycznych przyznają mu honorowy prymat jako biskupowi Rzymu.

Celibat księży w tym Kościele nie jest obowiązkowy. Małżeństwa par jednopłciowych dozwolone są jednak wyłącznie w zachodnioeuropejskich Kościołach krajowych. Pozostałe starokatolickie wspólnoty – w tym Kościół polskokatolicki – nie uznają tego stanu rzeczy. Podobnie wygląda kwestia kapłaństwa kobiet – choć w tej sprawie wszystkie Kościoły Unii Utrechckiej w celu uniknięcia podziałów już wiele lat temu zdecydowały, że święcenia kapłańskie wyłącznie mężczyzn mają raczej aspekt kulturowy i nie są kwestią wiary.

Krajowe Kościoły starokatolickie prowadzą od 1966 r. dialog ekumeniczny z Kościołem rzymskokatolickim, a w ramach Unii Utrechckiej jako całości – z Kościołami protestanckimi. Są w pełnej komunii z kościołami Wspólnoty Anglikańskiej, Kościołem Episkopalnym, Niezależnym Kościołem Filipińskim i Kościołem Szwecji, a także mają „wspólnotę stołu" z kościołami Reformacji. W przeszłości podejmowano wysiłki na rzecz interkomunii z Kościołem prawosławnym, ale na razie zostały one wstrzymane.

Wszystkie Kościoły starokatolickie mają taki sam synodalno-episkopalny porządek ustrojowy. To ważne dla bp Marii Kubin. – O wszystkim decydujemy wspólnie, duchowni razem z osobami świeckimi. Razem poszukujemy tego, co uważamy za znaki czasu i wolę Bożą w bardzo konkretnym kontekście społecznym i kościelnym – wyjaśnia.

Blisko ludzi

Po konsekracji w kościele Gustawa Adolfa biskupka Maria Kubin powiedziała do wiernych: „Jesteście moim kościołem, filarem i podporą". Podkreśliła też znaczenie inteligencji zbiorowej – ona, biskupka Maria Kubin, na pewno nie wszystko potrafi, ale dzięki Bogu w grupie zawsze znajdzie się rozwiązanie nawet dla najtrudniejszych problemów.

Plany na najbliższą przyszłość? Chętnie odwiedzi – jeśli oczywiście zostanie zaproszona – gminy Kościoła starokatolickiego w Austrii. Nie chciałaby jednak pojawić się jedynie na niedzielnym nabożeństwie i zaraz potem odjechać. Zamierza zostać w każdej gminie przez kilka dni – chce z wiernymi dyskutować, gotować, jeść, świętować, modlić się i pić piwo. Razem z nimi doświadczać, co to znaczy być Kościołem.

© MARCIN CHODUŃ

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Lubaczowie I Wydział Cywilny w sprawie I Ns 91/23 z wniosku Mariusza Mariana Bucior o stwierdzenie nabycia spadku po Stefanii Bucior, c. Jana i Anny, wdowie, zm. 14 marca 2022 r. w Podemszczyźnie, i tam ostatnio mającej miejsce pobytu, po której pozostał majątek w postaci mieszkania w Chyżowicach, gm. Uchanie – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygnaturze akt I Ns 650/21 z wniosku Haliny Hanasz toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Bogdanie Romanie, zm. 2 maja 2017 r. w Chełmie, ostatnio zamieszkałym w Chełmie, i Henryku Romanie, zm. 6 listopada 2017 r. w Chełmie, ostatnio zamieszkałym w Chełmie.

Wzywa się wszystkie zainteresowane osoby, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosiły i udowodniły swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięte w toczącym się postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

ZUZANNA

Radzik:
Beatyfikacja narodu polskiego

Jak chyba wszyscy teraz, czytam „Chłopki" – książkę Joanny Kuciel-Frydryszak. W każdym razie zdaję się nie mieć znajomego ani znajomej, która by tej książki nie chłonęła albo która by się nie starała wdrukować w swoją wiedzę o niedawnej historii Polski tego, czego nie wiedziała o życiu swoich prababek. Czytam o biedzie odmienianej przez wszystkie przypadki, o aranżowanych i nieszczęśliwych małżeństwach, o powszechnej śmierci położnic i dzieci, o niedożywieniu i pracy ponad siły, pragnieniu i niemożliwości nauki. Za dużo, by spamiętać, choć chciałoby się nic nie uronić.

Czytam w „Chłopkach" o Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" i kursach rolniczych organizowanych przez Uniwersytet Ludowy w Gaci Przeworskiej. To jeden z niewielu jasnych momentów tej książki, opowiada o społecznikach i młodym pokoleniu chłopów i chłopek dumnych z tego, kim są, ale głodnych zmian. Jest też mowa o niechętnym ruchowi ludowemu Kościele, o parafii w Gaci, gdzie księża wyczuli konkurencję. Zresztą nie tylko tam, bo sam prymas Hlond w 1936 r. grzmiał na „Wici", że zwiastują mobilizację radykalizmu i rewolucję, i że to głosy fałszywych proroków. „Uniwersytety ludowe wychowujące fanatyków wsi bezbożnej stanowią wielką ujmę dla ducha i honoru wiejskiego" – twierdził. A tu na ludowym uniwersytecie, który od 1931 r. działał po izbach Markowej i Gaci Przeworskiej, a potem na Gackiej Górce, we wzniesionym chłopskimi rękami domu, wyrósł nam beatyfikowany wiciowiec – Józef Ulma.

Gać leży koło Markowej, więc w „Chłopkach" wspomniany jest i Józef Ulma, szef miejscowego koła Związku Młodzieży Wiejskiej, i jego późniejsza żona Wiktoria z domu Niemczakówna. Nieco inaczej niż w świętych biografiach czytamy, jak Wiktoria zwierzyła się na spowiedzi, że chce iść na kurs rolniczy w Gaci, lubi grać w sztukach wystawianych na uniwersytecie, ale ksiądz zniechęcił ją, strasząc piekłem i tym, że jako proboszcz nie będzie chciał jej widzieć w kościele. Dziewczynie groziło załamanie nerwowe, tak była rozdarta. Dwanaście lat starszy Józef, który po skończeniu czterech klas wiejskiej placówki dokształcał się sam i ukończył półroczną szkołę rolniczą w Pilznie, jest przykładem właśnie tego nowego pokolenia. To stąd jego niezwykłość: prenumerował rolnicze pisma, szczepił owocowe drzewa, zajmował się niepopularnym wciąż na wsi ogrodnictwem, hodując na grządkach sałatę i szpinak. Fascynowało go pszczelarstwo i fotografia. Aparat zbudował samodzielnie i to nim fotografował sąsiadów i rodzinę. Stąd piękne zdjęcia żony i dzieci w przydomowych plenerach, które zaraz będą nam wyskakiwały nawet z lodówki. Bo w końcu nadchodzi ich beatyfikacja, a nasz dumny nie swoimi zasługami kraj rozedmie się jak balon i uniesie sam nad sobą.

Już słychać słowa takie, jak wypowiedziane przez Jana Żaryna, że rodzina Ulmów ilustruje bardzo szerokie zjawisko, jakim było ratowanie Żydów przez Polaków w czasie II wojny światowej (ratowanie „to była kategoria narodu polskiego" – przekonywał ostatnio). Już Polskie Linie Lotnicze LOT zachęcają w swojej pokładowej gazetce do zwiedzania Podkarpacia śladami Ulmów i zapowiadają beatyfikację. „Ulmowie stali się symbolem humanitarnej postawy Polaków w nieludzkich czasach" – ogłasza gazetka, podpinając wszystkich pod heroizm tego małżeństwa. Które jeszcze spółki skarbu państwa włączą się w tę okoliczność? Poczta Polska jest nawykła do zadań specjalnych i dystrybucji materiałów o świętych, więc na pewno się odnajdzie. Orlen mógłby rzucić jakieś zestawy propagandowe na swoje stacje albo zniżkę na benzynę, by zaznaczyć dzień, w którym wraz z Ulmami beatyfikowani zostaną wszyscy Polacy. A przynajmniej tak się poczują.

Drwię, ale nie z Ulmów przecież. Boję się nadużycia, które nadchodzi. Tego, że się ich odmalowuje na świętych obrazkach, żeby ich użyć do celów kościelno-narodowych, a nie żeby wyciągnąć wnioski. Otwiera się groby, żeby podzielić się szczegółami rozstrzelania, jakby były nam potrzebne. Ale też by pobrać relikwie, jakby były nam potrzebne... Jakby za intymny kontakt z tym, co ważne, nie wystarczył nam ten zakreślony żółtą kredką Nowy Testament w muzealnej gablocie. Więc odliczam, kiedy zacznie się radosny festiwal zagrabiania ich bohaterstwa, by cisnąć je światu w twarz jako swoje: to my, Polacy, symbol nas i naszej szlachetności!

Data beatyfikacji wypada 10 września, zupełnie bez związku z biografią Ulmów. Za to idealnie na miesiąc przed wyborami. Mam uwierzyć, że w nuncjaturze nikt nie ogarnia kalendarza wyborczego naszego kraju? Nikt nie wiedział, jak łakomy kąsek Watykan podaje rządowi na srebrnej tacy? Niech zgadnę: na beatyfikacji narodu polskiego –pardon, rodziny Ulmów – będzie premier, ministrowie kultury (organ prowadzący muzeum) oraz oświaty (front obrony przed historią) i w ogóle ministrowie wszelacy oraz posłowie i kandydaci z Podkarpacia? Będzie wyborczy wiec, choć niby beatyfikacyjna msza? Mylę się? ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

SZKOŁA ALBO ŚMIERĆ

Jedną z głębszych przyczyn rewolty na francuskich ulicach jest zapaść systemu edukacji: przestał on spełniać funkcje, do jakich został powołany dwieście lat temu. Ale czy tylko we Francji?

MARCIN KĘDZIERSKI

Wielodniowe zamieszki we francuskich miastach, jak każdy taki dynamiczny protest społeczny, mają wiele przyczyn. W komentarzach na pierwszy plan wysuwają się etniczne czy wręcz rasowe (choć to słowo w samej Francji zakazane) źródła trwających niepokojów. Powód jest oczywisty: uczestnicy tej ulicznej rewolty to głównie niebiali obywatele, potomkowie imigrantów przybyłych nad Sekwanę kilkadziesiąt lat temu.

Kiedy jednak zadamy sobie pytanie, dlaczego to właśnie oni wyszli demolować i rabować sklepy, podpalać budynki użyteczności publicznej, w tym muzea czy szkoły, a także samochody, dostrzeżemy także problem narastających nierówności klasowych i społecznego wykluczenia. Z kolei prezydent Emmanuel Macron doszukuje się winy w mediach społecznościowych, które z jednej strony uzmysławiają młodym przepaść między oczekiwaniami a realnymi możliwościami ich zaspokojenia, z drugiej zaś strony ułatwiają koordynację działań protestujących. Inni mówią jeszcze o nieadekwatnej reakcji policji i nieuzasadnionej przemocy.

Nie można jednak wykluczyć, że swoją rolę odegrały także inne, bardziej błahe czynniki. Ot, choćby lato i koniec szkoły, który może generować zarówno stres związany z wystawianiem ocen, jak i (przed)wakacyjną nudę.

Francuska szkoła zawiodła

Choć ten ostatni ze wspomnianych powodów może wydawać się banalny – także w kontekście brutalności protestów i skali zniszczeń – nie ignorowałbym roli szkoły i całego systemu edukacyjnego w rewolcie na francuskich ulicach.

Szkoła jest bowiem nie tylko miejscem zdobywania kwalifikacji przez uczniów, ale odzwierciedla także w jakimś sensie stan całego społeczeństwa. Jednocześnie jest też bodaj ostatnią po-

PHILIPPE LOPEZ / AFP / EAST NEWS

Spalone samochody przed szkołą publiczną w Lormont na przedmieściach Bordeaux, 29 czerwca 2023 r.

wszechną instytucją, która ma teoretyczny potencjał budowy tegoż społeczeństwa.

Przecież to właśnie francuska szkoła miała – w zamyśle – wyrównywać szanse dzieci wywodzących się z różnych klas społecznych i grup etnicznych. To szkoła miała stanowić jedno z głównych narzędzi integracji imigrantów. To wreszcie szkoła miała uczyć współpracy, komunikacji i rozwiązywania problemów bez użycia przemocy. Ogólnokrajowe zamieszki z przełomu czerwca i lipca 2023 r. pokazują więc, że francuska szkoła zawiodła, nie wywiązała się z postawionych jej zadań.

Nie powinno to być zaskoczeniem. Już kilkadziesiąt lat temu socjolog Pierre Bourdieu wskazywał, że francuska szkoła raczej utrwala klasowe nierówności i utrudnia awans po drabinie społecznej.

Możliwe nawet, że francuski system edukacji – przez krytyków zwany czasem „systemem ENArchicznym" (ENA to Krajowa Szkoła Administracji, założona w 1945 r., która wraz z innymi tzw. *grandes écoles* od lat stanowi kuźnię elit i przepustkę do establishmentu) – okazał się wyjątkowo skuteczny w tym procesie utrwalania struktur społecznych.

Degradacja instytucji

Problem dotyczy jednak nie tylko Francji. Również w wymiarze globalnym instytucja szkoły publicznej – tej, która w XIX stuleciu odgrywała istotną rolę w procesie demokratyzacji zachodnich społeczeństw – już jakiś czas temu przestała spełniać podstawową funkcję, do jakiej została powołana bez mała dwieście lat temu.

Zjawisko to dostrzegane jest zresztą od wielu lat. Równolegle do badań wspomnianego już socjologa Pierre'a Bourdieu pracował zespół pod kierunkiem Edgara Faure'a, byłego ministra edukacji i byłego premiera Francji. ↦

↦ Na zlecenie UNESCO opracował on raport o wyzwaniach stojących globalnie przed systemem edukacji.

W dokumencie, który opublikowano w 1972 r. pod wiele mówiącym tytułem „Learning to be" (w wolnym przekładzie: „Jak uczyć się, aby być"), autorzy zwracali uwagę na wiele zjawisk dotykających tę sferę życia społecznego. Spośród nich warto wspomnieć dwa: deinstytucjonalizację edukacji oraz deskolaryzację społeczeństwa. Zespół Faure'a przewidywał, że za sprawą choćby zmian technologicznych czeka nas konieczność rewizji myślenia o kształceniu, które coraz częściej będzie odbywać się w sposób nieformalny, poza murami szkoły.

W efekcie szkoła przestaje odgrywać swoją rolę jako główna przestrzeń edukacyjna. A w ślad za spadkiem znaczenia szkoły w procesie kształcenia degradacji ulega też pozycja całej instytucji, której zadania wykraczają przecież daleko poza uczenie dzieci i młodzieży.

Przechowalnia wysokiego ryzyka

Choć od lat 70. XX w. szkoła fizycznie w wielu miejscach się nie zmieniła – nadal mamy wykładającego nauczyciela i uczniów w ławkach – to jednak funkcjonuje w nowej rzeczywistości, nie mając już takiego statusu jak wcześniej. Jednym zaś z najbardziej widocznych dowodów potwierdzających zapaść szkoły jest pauperyzacja nauczycieli, która z kilkoma wyjątkami (np. Finlandii i Luksemburga) stanowi zjawisko o charakterze globalnym.

Proces ten nie ominął Francji – coraz gorsze zarobki i niskie możliwości awansu zawodowego zniechęcają do pracy w oświacie, przez co francuski system edukacyjny jest jednym z najbardziej przeładowanych w Europie. Zgodnie z danymi Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (skupia ona 38 krajów wysokorozwiniętych) w roku 2019 na jednego nauczyciela przedszkolnego przypadało we Francji prawie 23 dzieci, a na szkolnego prawie 19 uczniów. Było to wyraźnie powyżej europejskiej średniej. Dla porównania, w Polsce na jednego nauczyciela przypadało wtedy niespełna 10 uczniów.

Skoro nawet w Polsce trudno mówić o zindywidualizowanym podejściu do ucznia, a lista wakatów nauczycielskich z roku na rok rośnie, to francuska szkoła w wielu miejscach musi przypominać bardziej przechowalnię dzieci niż placówkę oświatową z prawdziwego zdarzenia. W takich warunkach trudno mówić o realizowaniu funkcji zarówno edukacyjnych, jak i wychowawczych. O jakimkolwiek wyrównywaniu szans można w ogóle zapomnieć.

W sytuacji, gdy wielu francuskich nauczycieli musi mierzyć się z funkcjonowaniem w środowisku wielokulturowym, które rodzi dodatkowe wyzwania, problem ten przybiera dodatkowo na znaczeniu. We Francji pojawiają się badania mówiące o ogromnych problemach z zachowaniem dyscypliny w klasie. Związane z tym zagrożenie przemocą ze strony uczniów z pewnością nie zachęca do wyboru nauczycielskiej ścieżki kariery – i pogłębia problem niedoborów kadrowych.

Nastawieni na wyniki

W dyskusji o edukacji – i we Francji, i w wymiarze globalnym – często zapominamy o największym słoniu w pokoju, który determinuje nasze myślenie o szkole, a mianowicie o neoliberalnym kapitalizmie.

Nie przez przypadek jednym z głównych wyznaczników polityki edukacyjnej, który króluje w ostatnich dekadach, jest tzw. nurt neoliberalny. Jakie są jego cechy? Nadrzędnym celem edukacji w tym modelu jest przygotowanie uczniów do funkcjonowania na konkurencyjnym rynku pracy. Taka perspektywa determinuje cały proces edukacyjny, który jest zorientowany na wyniki (oceny), a tym samym na konkurencję między uczniami.

Tego zresztą oczekuje od szkoły spora część rodziców – ma ona przygotować ich dzieci do jak najlepszego zdania egzaminów końcowych, aby zwiększyć ich szansę dostania się do lepszej szkoły na kolejnym etapie edukacji. Oczywiście kosztem innych, bo przecież liczba miejsc jest ściśle ograniczona. Ważną rolę w tym procesie odgrywają rankingi uczelni i szkół.

W zaklętym kręgu

Skoro w centrum systemu postawione są wyniki egzaminów, na dalszy plan schodzi sam proces zdobywania wiedzy oraz inne ważne obszary funkcjonowania szkoły – jak formacja indywidualna (wychowanie do określonych wartości), budowanie wspólnoty czy wyrównywanie szans.

Jeśli dodamy do tego fakt, że wyniki egzaminacyjne zależą nie tylko od jakości kształcenia w danej szkole, ale także, a może przede wszystkim, od odziedziczonego przez dziecko kapitału symbolicznego (używając pojęcia wprowadzonego przez Bourdieu), trudno się dziwić, że współczesna szkoła raczej wzmacnia, niż osłabia podziały klasowe.

Tym bardziej że w przeładowanych szkołach dla dzieci z niższych klas społecznych (w edukacji doskonale odbijają się zmiany zachodzące w naszych miastach) także jakość kształcenia jest niższa. Również dlatego, że rodzice reprezentujący klasę ludową przeważnie mają znacznie mniej czasu, świadomości i kompetencji, by wpływać pozytywnie na sposób funkcjonowania szkoły, w której kształcą się ich dzieci.

Po co zresztą się starać, skoro niezależnie od takiego zaangażowania szansa awansu społecznego dziecka jest i tak relatywnie niska.

W wyścigu do grandes écoles

Problem ten jest szczególnie widoczny właśnie we Francji.

Decydującym elementem w procesie rekrutacyjnym do najlepszych francuskich szkół – tych zwanych *grandes écoles*, które dla swoich absolwentów są trampoliną do wielkiej kariery – jest egzamin ustny, gdzie ocena ma w praktyce charakter uznaniowy. Komisja może bowiem sprawdzać sposób wysławiania się kandydata, a ten w dużym stopniu zależy od statusu społeczno-ekonomicznego. Koło znów się zamyka.

Ta swoista „tyrania merytokracji", na gruncie amerykańskim opisana przez filozofa Michaela Sandela – uważa on, że istotą problemu dzisiejszej Ameryki jest brak utożsamienia się dobrze wykształconych i rządzących krajem elit z większością społeczeństwa, która jest gorzej wykształcona i mniej zamożna [o książce Sandela pisaliśmy w „TP" nr 5/2022 – red.] – także nad Sekwaną znajduje swoje odzwierciedlenie. Dzieci z Saint-Denis – najbiedniejszej dzielnicy Paryża, zamieszkanej przez potomków imigrantów – nie mają szans, żeby w ogóle wystartować w tym wyścigu po karierę.

Prywatna i publiczna

Skutkiem zaś tego wyścigu jest również postępująca prywatyzacja sektora edukacyjnego. Proces ten, przed którym w 1996 r. przestrzegał w swoim raporcie dla UNESCO były francuski przewodniczący Komisji Europejskiej Jacques Delors, stopniowo się materializuje.

Widzimy go już wyraźnie nad Wisłą, widać go także we Francji – tam szczególną estymą cieszą się prywatne szkoły katolickie, do których uczęszczają również osoby niekoniecznie przywiązane do Kościoła i chrześcijaństwa.

Szkoła staje się firmą, która ma produkować z uczniów kapitał ludzki. Już sam język, którego używamy do opisu systemu edukacyjnego – kapitał ludzki, kapitał kulturowy, kapitał symboliczny – pokazuje, jak wyglądają reguły rządzące naszym światem. Na pierwszym miejscu jest konkurencja. Prywatne szkoły ściągają nie tylko najlepszych uczniów i najbardziej zaangażowanych rodziców, ale także najlepszych nauczycieli.

W konsekwencji szkoła publiczna, pozbawiana nauczycielskiej elity (i tak już spauperyzowanej), w większości państw Zachodu ulega systematycznej degradacji i zanurza się w bezradności.

Przemoc jako alternatywa

A bezradność rodzi albo rezygnację i depresję, albo przemoc – wszystkich wobec wszystkich. Albo jedno i drugie.

Skoro bowiem nastolatek urodzony nad Sekwaną, posługujący się językiem francuskim jako ojczystym, będący w trzecim pokoleniu potomkiem imigrantów z byłych francuskich kolonii w Afryce, nadal traktowany jest jako obywatel drugiej bądź trzeciej kategorii i nie może w żaden sposób realnie myśleć o zmianie swojego statusu, trudno się dziwić, że przemoc stanowi dla niego alternatywę.

Naprawdę nie trzeba doszukiwać się tu wyjaśnień w kwestiach religijnych. Tym bardziej że ruch tzw. żółtych kamizelek – zapoczątkowany jesienią 2018 r. oddolny protest przeciwko rosnącym kosztom życia i szeroko pojętym elitom – zorganizowany został przez etnicznych Francuzów z klasy ludowej, którzy podobnie jak potomkowie imigrantów nie widzą szans na zmianę swojego statusu społeczno-ekonomicznego. Także demonstracje żółtych kamizelek miały często gwałtowny przebieg.

Szkoła jest nie tylko miejscem kształcenia, ale odzwierciedla stan społeczeństwa. Jest też bodaj ostatnią instytucją, która może budować to społeczeństwo.

Neoliberalny zglobalizowany kapitalizm, generujący rosnące nierówności dochodowe i majątkowe, skutecznie rozprawił się zatem także z dziedzictwem państwa dobrobytu – w tym z egalitarną edukacją, która dawała ludziom z niższych klas choćby nadzieję na zmianę losu.

Gwarancja utrzymania systemu

Czy da się ten proces jakoś zatrzymać, a nawet odwrócić? Wydaje mi się, że w całości nie jest to już możliwe. Także dlatego, że skutkiem narastających nierówności jest osłabienie klasy średniej – w tym grupy, którą na polskim gruncie określa się mianem inteligencji.

Sercem kapitalizmu jest bowiem nowa grupa międzynarodowych, kosmopolitycznych profesjonalistów, którzy należą do klasy średniej wyższej. Jest ich relatywnie niewielu, mają bardzo indywidualistyczne podejście do życia i kariery, a nawet jeśli myślą wspólnotowo, to raczej w obrębie własnej klasy. To oni determinują dziś politykę publiczną swoich państw w taki sposób, aby za pomocą regulacji zabezpieczać interesy globalnego kapitału, który ich opłaca.

Dotyczy to także oświaty. „ENArchiczna" edukacja jest gwarantem utrzymania obecnego systemu merytokratyczno-klasowego, umożliwiającego jeszcze większą akumulację kapitału w rękach nielicznych. Trudno oczekiwać, aby tak rozumiana grupa interesu była zainteresowana odtworzeniem egalitarnej szkoły, która mogłaby na powrót odgrywać rolę budowniczego wspólnoty i narzędzia społecznego awansu, a jednocześnie tworzyć przestrzeń dla nowej i bardziej wspólnotowej siły politycznej. Im bardziej bowiem zatomizowana „społeczna masa", tym mniejsze ryzyko utraty pozycji przez współczesną „arystokrację".

Oczywiście trzeba się liczyć z rosnącymi wybuchami społecznego niezadowolenia, co obserwujemy obecnie na francuskich ulicach, ale nowa arystokracja dysponuje odpowiednimi zasobami, żeby dość skutecznie odseparować się od ulicznego motłochu.

Wyjście awaryjne

Co zatem zrobić, skoro potencjalna kontrelita, w postaci choćby nauczycieli, która mogłaby stworzyć polityczną alternatywę, jest słaba i podzielona?

Jedynym rozsądnym, choć zarazem utopijnym rozwiązaniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest próba zasadniczej zmiany polityki edukacyjnej. Szkoła publiczna powinna porzucić nurt neoliberalny – także dlatego, że w jego obrębie nie jest już w stanie konkurować z prywatną edukacją. Alternatywą jest szkoła jako przestrzeń wspólnotowego uczenia i wielowymiarowej międzypokoleniowej formacji. Szkoła jako miejsce, które nadaje życiu sens nie tylko ekonomiczny, kapitalistyczny.

Nie zmniejszy to frustracji wynikających z nierówności. Ale może pomóc wygenerować siłę polityczną, która będzie w stanie choćby w umiarkowany sposób zagrać z globalnym kapitałem i przywrócić nadzieję ludziom spoza wąskiej merytokratyczno-arystokratycznej elity. Gdyby francuscy nastolatkowie, którzy dziś demolują obiekty użyteczności publicznej, rozumieli, że są komuś potrzebni, że ich życie ma sens, a oni sami mają polityczny potencjał, może byliby mniej skłonni do odwoływania się do argumentu nagiej przemocy.

Nie ma oczywiście pewności, że tak by się stało. Ale nie widzę dziś innej drogi do rozwiązania narastających napięć społecznych, jak tylko nadać nowe znaczenie szkole jako instytucji publicznej. Parafrazując klasyka: szkoła albo śmierć!

© MARCIN KĘDZIERSKI

Autor jest współzałożycielem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego oraz członkiem Polskiej Sieci Ekonomii. Ekonomista, adiunkt w Katedrze Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Specjalizuje się w tematyce polityki edukacyjnej.

HOSPITAL CLÍNIC BARCELONA / YOUTUBE

Tamara Franco z mężem i synkiem Jesúsem przed szpitalem klinicznym w Barcelonie, gdzie odbył się poród. Maj 2023 r.

Hiszpański sposób na transplantacje

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z ALMERÍI (HISZPANIA)

Od ponad 30 lat Hiszpania jest światowym liderem w liczbie pobieranych organów i przeszczepów. Co roku to szansa na życie dla kilku tysięcy ludzi. Takich jak Jesús, Luis czy Marta.

Wiadomość o pierwszym dziecku, które urodziło się w tym kraju po przeszczepieniu macicy, poruszyła Hiszpanów. Na zdjęciach, które kilka tygodni temu obiegły media, widać małego Jesúsa, jak spokojnie śpi w ramionach mamy, kiedy oboje opuszczają szpital Clínic w Barcelonie.

Jesús dołączył do grupy około stu dzieci na świecie, które narodziły się dzięki wcześniejszemu przeszczepowi ich matek. Pierwszy taki przeszczep wykonano w 2013 r. w Szwecji, a jego zwieńczeniem stały się narodziny zdrowego dziecka w kolejnym roku.

Zapoczątkowało to przeszczepy macic zarówno od żywych, jak i zmarłych dawczyń i dało szansę na walkę z syndromem Rokitansky'ego. Ten zespół wad wrodzonych narządów rodnych kobiety (niewykształcenie bądź niedorozwój macicy i pochwy) dotyka jedną na pięć tysięcy kobiet na świecie.

PIĘTNAŚCIE GODZIN | Transplantacja macicy to trudny i czasochłonny proces. W przypadku Hiszpanki Tamary Franco, matki Jesúsa, trwała ona łącznie 15 godzin.

„Macica otrzymuje bardzo mało krwi, tętnice moczowe mają dwa milimetry, a żyły od dwóch do trzech. To sprawia, że przeszczep jest bardzo trudny" – mówił dziennikowi „El País" Antonio Alcaraz, urolog i specjalista w dziedzinie transplantologii.

34-letnia Tamara Franco otrzymała organ od swojej 36-letniej siostry w październiku 2020 r. Małego Jesúsa urodziła przedwcześnie – w siódmym miesiącu ciąży. Chłopiec ważył zaledwie kilogram i potrzebował wsparcia tlenowego. Teraz jego stan zdrowia znacznie się poprawił, dlatego wspólnie z mamą i tatą mógł opuścić szpital.

Narodziny chłopca otwierają drogę setkom kobiet w Hiszpanii, które też czekają na przeszczep macicy i następnie na narodziny swoich dzieci. Chociaż Krajowa Organizacja Transplantologii (ONT) ocenia takie przeszczepy jako inwazyjne i ryzykowne – także dla samego dziecka, które w przyszłości dzięki nim może przyjść na świat.

OCZEKIWANIE | Telefon może zadzwonić w każdej chwili. I każdy może oznaczać ten długo wyczekiwany moment.

Ci, którzy tego doświadczyli, wspominają, że gdy dzwoni po raz pierwszy, oznacza zwykle wybuch radości; zabiera

się wtedy całą rodzinę i z pośpiechem rusza do szpitala. Potem, z każdym kolejnym telefonem, nabiera się dystansu, stygnie ekscytacja.

Tak było również w przypadku Luisa. – Przez trzy i pół roku ciągłych dializ osiem razy odbierałem telefon z informacją, że znalazł się dla mnie dawca nerki. Rzucałem wszystko i jechałem 200 kilometrów do szpitala w Máladze – mówi Luis Alberto Carrique Pérez w rozmowie z „Tygodnikiem".

– Tyle że szpital dzwonił zawsze do kilku pacjentów oczekujących na przeszczep – dodaje. – Spotykałem ich na korytarzu przed gabinetem lekarza. Po szczegółowych analizach nerkę przeszczepiano tej osobie, u której miała największą szansę się przyjąć. Czasem może cię zdyskwalifikować nawet zwykłe przeziębienie.

SZANSA NA ŻYCIE | Luis jest wysokim, szczupłym mężczyzną w średnim wieku. Kiedy spotykamy się w mieście Almería, w siedzibie stowarzyszenia Alcer (skupia ono pacjentów z chorobami nerek), ma niebieską koszulę i brązowe spodnie, bo przyjechał prosto z pracy. Jest specjalistą od sprzedaży w międzynarodowej firmie architektonicznej.

O swojej chorobie nerek dowiedział się na początku lat 90., gdy rozpoczynał studia chemiczne na Universidad Autónoma w Madrycie. Początkowo lekarze zalecali mu specjalną dietę i długą listę lekarstw. Z rozpoczęciem dializ czekano do dnia, w którym Luis zda ostatni egzamin na studiach. Inaczej trudno byłoby połączyć studia z pracą dorywczą i dializami nerek, bo one zabierają mnóstwo czasu – czasem nawet cztery godziny dziennie, po trzy razy w tygodniu.

Tuż przed trzydziestką Luis dostał szansę na nowe życie, bez dializ i długich godzin spędzanych w szpitalach. Po trzy i pół roku oczekiwania znalazł się dla niego dawca nerki.

– Pacjenci z chorobami nerek mają to szczęście, że życie podtrzymują im dializy, i w ten sposób mogą funkcjonować przez wiele lat – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Marta Moreno Barón, przewodnicząca stowarzyszenia Alcer Almería. – W przypadku innych organów jest trudniej. Ale i tak średni czas oczekiwania na przeszczep nerki w Hiszpanii to dwa lata. Znam wiele przypadków, gdy pacjenci czekali zaledwie dwa tygodnie.

ŚWIATOWY LIDER | Czas oczekiwania na przeszczep bywa krótki, gdyż od ponad 30 lat Hiszpania jest europejskim i światowym liderem pod względem liczby dawców organów na milion mieszkańców, a co za tym idzie, także pod względem liczby wykonywanych przeszczepów.

W 2022 r. w tym 47-milionowym kraju wykonano dokładnie 5383 przeszczepy (w Polsce było w tym roku 1399 przeszczepów). To daje Hiszpanii ponad 46 dawców na milion mieszkańców, przez co wyprzedza w rankingu nawet Stany Zjednoczone. Według danych z 2021 r. średnia europejska to ok. 20 dawców na milion mieszkańców. W 38-milionowej Polsce – jak podaje Centrum Organizacyjno-Koordynacyjne ds. Transplantacji „Poltransplant" – było to nieco ponad 10,3 dawców na milion mieszkańców Polski.

Z informacji publikowanych przez Krajową Organizację Transplantologii (ONT) wynika, że już pierwsze 74 dni tego roku okazały się rekordowe pod względem liczby nowych dawców. Tylko do połowy marca pobrano w Hiszpanii organy od 505 zmarłych osób, o 23 proc. więcej niż w tym samym czasie w ubiegłym roku. Średnio w kraju pobiera się siedem organów dziennie, choć bywają i takie dni, gdy w ciągu doby pobiera się ich do przeszczepu kilkanaście.

Podczas niedawnego Krajowego Dnia Dawcy Tkanek i Organów – w Hiszpanii obchodzi się go 7 czerwca – minister zdrowia José Manuel Miñones mówił: „Jesteśmy światowym liderem dzięki naszym specjalistom i dzięki hiszpańskim rodzinom, ich solidarności i altruizmowi".

ROZMOWY W SZPITALU | Pierwszego przeszczepu dokonano w Hiszpanii w 1965 r.; przeprowadził go chirurg Josep María Gil-Vernet w szpitalu Clínic w Barcelonie. Z kolei w ostatnich trzech dekadach w kraju pobrano łącznie 122 tys. organów do przeszczepów.

Hiszpański model w transplantologii polega zwłaszcza na dobrej koordynacji, którą prowadzi powołana w 1989 r. Krajowa Organizacja Transplantologii. Gdy powstawała, wykonywano ok. 1800 przeszczepów rocznie – po 34 latach liczba ta wzrosła trzykrotnie.

Strategia ONT polega na zaangażowaniu nawet stu osób w proces oddania i przekazania do przeszczepu jednego organu. Rozpoczyna się od pielęgniarek i pielęgniarzy, którzy – po szkoleniach z psychologii – pracują na każdym oddziale intensywnej terapii. Ich zadaniem jest kontakt z rodziną zmarłej osoby. Udzielają pomocy psychologicznej i pomagają uporać się ze stratą bliskiej osoby. Wyjaśniają też, że choć bliska osoba zmarła, to jej organy wciąż mogą żyć w organizmie innej osoby.

– Te rozmowy w szpitalach przynoszą widoczne rezultaty. Ze statystyk wynika, że z dziesięciu rodzin, które prosi się o oddanie organu, tylko dwie odmawiają – mówi Marta Moreno Barón ze stowarzyszenia Alcer.

KWESTIA KOORDYNACJI | Ze względu na wielkość kraju (Hiszpania jest półtora raza większa od Polski) oraz na liczne wyspy, które wchodzą w jej skład (jak Baleary na Morzu Śródziemnym czy Wyspy Kanaryjskie na Atlantyku), ważnym aspektem pracy Krajowej Organizacji Transplantologii jest sprawne zarządzanie transportem.

W ubiegłym roku ONT zorganizowała prawie 800 lotów, podczas których przetransportowano blisko tysiąc organów – tak aby jak najszybciej dostarczyć je do pacjentów oczekujących na przeszczep.

Model hiszpański zakłada także identyfikację jak największego grona potencjalnych dawców organów. „Szacujemy, że tylko 1-2 proc. osób zmarłych w szpitalach z przyczyn medycznych nie może zostać dawcami organów. Ważne jest więc, aby nie popełniać błędu w procesie identyfikacji pozostałych osób, które mogą zostać dawcami" – mówiła w rozmowie z portalem medycznym ConSalud przewodnicząca ONT dr Beatriz Domínguez-Gil. I dodała: „Kiedy umiera jedna osoba, pozwala to na pobranie trzech narządów do transplantacji i daje szansę na 31 lat życia chorym pacjentom".

TESTAMENT ŻYCIA | Od 1979 r. w hiszpańskim prawie obecna jest zasada o domniemanej zgodzie na pobranie organu po śmierci. Jeśli więc zmarły nie wyraził za życia sprzeciwu, to wedle prawa może zostać dawcą. ↦

Jednym z zadań koordynatorów szpitalnych w dziedzinie transplantacji jest więc ustalenie, czy pacjent za życia przekazał swoją decyzję dotyczącą przekazania organów osobom bliskim albo specjalistom, którzy się nim opiekowali, lub też czy sporządził tzw. testament życia. To dokument, który zawiera dyspozycje dotyczące opieki medycznej i leczenia, które będą mieć zastosowanie na wypadek, gdyby dana osoba znalazła się w stanie uniemożliwiającym ich osobiste zakomunikowanie.

Dyspozycje te mogą dotyczyć również pośmiertnego przeznaczenia ciała lub organów. Zgłaszane są one do rejestrów prowadzonych przez poszczególne wspólnoty autonomiczne (hiszpańskie prowincje; jest ich siedemnaście), a te przekazują je dalej do Narodowego Rejestru Testamentów Życia.

Jednak praktyka ze szpitalnych korytarzy pokazuje, że często o tym, czy organy trafią do przeszczepu, i tak decyduje rodzina – stąd ważna rola koordynatorów szpitalnych.

Na hiszpańskim systemie transplantologii wzorują się (w różnym stopniu) niektóre kraje europejskie (np. Francja i Polska). Rekomendację do takiego wzorowania się wydała Komisja Ekspertów Rady Europy, a także w 1993 r. rada delegatów państw członkowskich Unii Europejskiej na temat donacji i transplantacji organów i tkanek. Dyrektywa Parlamentu Europejskiego z 2010 r. w dużym stopniu wzorowana jest na modelu hiszpańskim.

DRZEWO DLA DAWCY | Statystyki pokazują, że Hiszpanie nie boją się pobierać narządów od osób starszych. Ponad połowa organów pobranych do przeszczepu pochodzi od osób powyżej 60. roku życia (w tym 4 proc. od dawców powyżej 80. roku życia; dane z 2021 r.).

– W szpitalach dystans pomiędzy życiem a śmiercią się skraca. Ale trzeba sobie wyobrazić, że naprawdę nie jest łatwo myśleć o uratowaniu życia innej osoby, kiedy właśnie straciło się kogoś bliskiego – mówi Francisco Guerrero, koordynator ds. transplantacji z ponad 20-letnim stażem.

W Hiszpanii kilka razy w roku obchodzone są krajowe dni mające promować transplantologię. Wśród nich: Dzień Przeszczepu (w ostatnią środę marca) czy Dzień Dawcy Organu i Tkanki (7 czerwca). To sprzyja podejmowaniu tematu w debacie publicznej – przy tej okazji pojawiają się materiały dziennikarskie, spoty promujące transplantologię, ONT publikuje statystyki, a szpitale ustawiają tablice upamiętniające dawców albo sadzą dla nich drzewa.

Takie drzewo oliwne rośnie u wejścia do Szpitala Uniwersyteckiego Torrecárdenas w Almerí – posadzono je, aby przypominać dawców i ich bliskich.

AGNIESZKA ZIELIŃSKA x2

MARTA MORENO BARÓN:
Z dziesięciu rodzin, które prosi się o oddanie organu bliskiej zmarłej osoby, tylko dwie odmawiają.

LUIS ALBERTO CARRIQUE PÉREZ:
Przez trzy i pół roku dializ osiem razy odbierałem telefon, że znalazł się dla mnie dawca nerki.

ZNÓW NA LIŚCIE | 51-letnia Marta Moreno Barón – z zawodu urzędniczka, a dziś przewodnicząca stowarzyszenia Alcer Almería – przeszła transplantację dziewięć lat temu. Z raportu medycznego dowiedziała się potem, że przeszczepiono jej nerkę od 19-letniego motocyklisty, który zginął w jej mieście w wypadku drogowym.

Początkowo chciała poznać rodzinę dawcy, ale ostatecznie zrezygnowała. – Almería nie jest duża, a był to tragiczny wypadek opisywany w prasie, więc pewnie mogłabym ustalić tożsamość mojego dawcy. Jednak odpuściłam. Chciałam uszanować ból rodziny po stracie syna, zwłaszcza w tak młodym wieku – wspomina Marta Moreno Barón, drobna kobieta z krótkimi włosami.

Widać, że jest osłabiona po tym, jak niedawno musiała rozpocząć na nowo cykl dializ. Po dziewięciu latach jej przeszczepiona nerka przestała bowiem funkcjonować i teraz Marta znów jest na liście oczekujących na przeszczep.

W jej przypadku największym problemem nie jest znalezienie dawcy, lecz niekorzystne wyniki zdrowotne, anemia i rzadka grupa krwi. Mimo to Marta nie traci nadziei, że drugi raz przejdzie przeszczep nerki i zyska szansę na nowe życie: – Tamten pierwszy przeszczep dał mi wolność i czas, który wcześniej spędzałam na wielogodzinnych dializach. Marzyłam o podróży do Francji i to marzenie się spełniło.

CZAS OGRANICZONY | Historia Marty pokazuje, że przeszczepione organy mają swój ograniczony czas funkcjonowania – dlatego tak ważne jest, aby liczba dawców organów stale rosła.

Z hiszpańskich statystyk wynika, że przeszczepione nerki funkcjonują zwykle przez 10 lat, serce przez 13 lat, a wątroba przez 17 lat. Po tym czasie potrzebny jest kolejny dawca organu i nowy przeszczep.

Ale bywa i tak, że przeszczepiona nerka może pracować bez żadnych problemów nawet przez 22 lata. Tego przykładem jest Luis Alberto Carrique Pérez. – Znamy sytuacje, gdy nerka od dawcy funkcjonowała przez 30 lat, natomiast nie znamy już takich, gdy pracowała przez 40 lat. Co trzy miesiące robię więc badania kontrolne i gdzieś z tyłu głowy pojawia się myśl, że wcześniej czy później wrócę do dializ nerek. Staram się jednak myśleć pozytywnie – mówi Luis.

– Mam dużo szczęścia, że żyję w Hiszpanii – dodaje. – Wiadomo, że są rzeczy, które można poprawić, ale nasz system działa dobrze, a każda transplantacja przynosi nadzieję i daje szansę na nowe życie.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

ALEXANDRE MENEGHINI / REUTERS / FORUM

Chiny są coraz aktywniejsze na Kubie. Na zdjęciu: obchody chińskiego Nowego Roku w Hawanie, styczeń 2023 r.

Głód czerwonego smoka

MARTA ZDZIEBORSKA

Pekin rozszerza strefę wpływów, żerując na słabych państwach zabiegających o inwestycje zagraniczne. Najnowszy cel to Kuba.

Andrea Rodríguez, matka dwójki dzieci, nie zaprząta sobie głowy wielką polityką. Bardziej od zacieśniającego się sojuszu między Hawaną a Pekinem martwi ją sytuacja ekonomiczna na Kubie.

Przygnieciona amerykańskimi sankcjami gospodarczymi i poturbowana przez pandemię, Kuba znalazła się w najgorszym od kilku dekad kryzysie. Według nieoficjalnych szacunków w 2022 r. poziom inflacji dobił do 200 proc. Deficyt żywności trwa, rekordowe kolejki stoją także po paliwo. Przerwy w jego dostawach porównywane są już do kryzysu, który nastał na wyspie tuż po upadku Związku Sowieckiego, który reżimowi – wówczas pod wodzą Fidela Castro – sprzedawał tanio ropę.

Nic dziwnego, że Andrea, rozmówczyni hiszpańskojęzycznego programu telewizyjnego „Noticias Telemundo", nie zważa na doniesienia, według których Chiny negocjują właśnie z Kubą utworzenie na wyspie wspólnego wojskowego ośrodka szkoleniowego. Jeśli oba kraje dojdą do porozumienia, będzie to furtka dla Pekinu, aby u północnych wybrzeży Kuby na stałe stacjonowało nawet kilkuset żołnierzy chińskiej armii.

Według źródeł amerykańskiego wywiadu, na które powołuje się dziennik „Wall Street Journal", plany Chińczyków mogą być odpowiedzią na działalność wojskową Amerykanów na Tajwanie – wyspie położonej w podobnej odległości od Chin kontynentalnych, co Kuba od Florydy.

Floryda na podsłuchu

Ale to nie koniec. Niecałe dwa tygodnie wcześniej ten sam dziennik doniósł, że Hawana – w zamian za kilka miliardów dolarów wsparcia od Pekinu – zgodziła się na budowę chińskiej stacji wyspecjalizowanej w wywiadzie elektronicznym. W jej zasięgu znalazłoby się południowo-wschodnie wybrzeże USA, gdzie mieści się wiele baz wojskowych. Mając taki przyczółek zaledwie 160 km od wybrzeży Florydy, Pekin mógłby przechwytywać komunikację elektroniczną (maile, rozmowy telefoniczne, transmisje satelitarne) i śledzić ruch statków w regionie.

Administracja Bidena, która początkowo zaprzeczyła doniesieniom „Wall Street Journal", oświadczyła, że Chińczycy prowadzą operacje wywiadowcze na Kubie już od co najmniej 2019 r. „To jest coś, co będziemy bardzo, bardzo uważnie monitorować. I będziemy bronić naszej ojczyzny, będziemy bronić naszych interesów" – mówił 20 czerwca sekretarz stanu Antony Blinken. Dzień wcześniej zakończył wizytę w Chinach, ↦

↦ gdzie spotkał się z prezydentem Xi Jinpingiem. Według doniesień Blinken miał dać Xi do zrozumienia, że Stany są „poważnie zaniepokojone" działalnością szpiegowską i wojskową Chin na Kubie. „Wall Street Journal" pisze, że administracja Bidena wywiera naciski na kubańskich oficjeli, by nie podpisywali umowy.

Kredyty, darowizny, inwestycje

Zacieśnianie współpracy między Pekinem a Hawaną to przykład tego, jak Chiny rozbudowują swoją pozycję na zachodniej półkuli.

Pekin jest dziś drugim największym partnerem handlowym Ameryki Południowej, a także kluczowym kredytodawcą dla latynoskich rządów, które pozyskują w ten sposób środki na projekty infrastrukturalne. Szacuje się, że między rokiem 2005 a 2021 chińskie banki udzieliły im kredytów o wartości 139 mld dolarów. W tym okresie kraje latynoskie były ich drugim największym pożyczkobiorcą, zaraz po państwach Azji.

Strumień pieniędzy płynie też na Karaiby. Od 2015 r. Kuba pożyczyła 369 mln dolarów od banków powiązanych z chińskim reżimem – środki wykorzystano m.in. na budowę doku pływającego. Pekin miał też w 2022 r. przekazać Kubańczykom darowiznę w wysokości 100 mln dolarów na walkę z kryzysem gospodarczym.

Jednocześnie władze Chin mocno inwestują w infrastrukturę, sektor energetyczny, wydobywczy i kosmiczny w Ameryce Południowej. W ostatnich latach dużo mówi się o chińskiej firmie żeglugowej Cosco, która wpompuje około 3 mld dolarów w budowę portu Chancay w Peru. Inwestor ma już 60 proc. udziałów w tym nowo powstającym obiekcie. Budzi to obawy, że Pekin może kiedyś wykorzystać peruwiański port do celów wojskowych.

Stacja w Patagonii

Niejasne są intencje Chińczyków, którzy na kontynencie południowoamerykańskim prowadzą kilka naziemnych stacji nasłuchowych. Waszyngtoński think tank Center for Strategic and International Studies alarmuje, że szczególnie duże obawy budzi stacja Espacio Lejano w Neuquén, w argentyńskiej Patagonii, nad którą tamtejszy rząd ma ograniczoną kontrolę. Umowa z Chinami na budowę obiektu zastrzega, że Argentyna ma nie mieszać się ani nie przeszkadzać w bieżących działaniach na stacji. Analitycy z CSIS obawiają się, że może być ona wykorzystywana w celach szpiegowskich. Na ten problem zwrócił uwagę amerykański admirał Craig Faller. Zeznając w 2019 r. przed kongresmenami, powiedział, że baza ta może służyć do monitorowania działań kosmicznych USA i ich sojuszników.

Chiny utrzymują, że stacja nie jest wykorzystywana do celów wojskowych. Jest jednak mały szczegół: obiekt prowadzony jest przez organizację China Satellite Launch and Tracking Control General, która podlega bezpośrednio chińskiej armii.

„Stacja naziemna w Patagonii, na którą dekadę temu zgodę wyraził skorumpowany i pogrążony w problemach finansowych argentyński rząd, jest kolejnym przykładem niejasnych i grabieżczych interesów Chin, które podważają suwerenność goszczących je krajów" – mówił w 2019 r. ówczesny rzecznik amerykańskiej Rady Bezpieczeństwa Narodowego Garrett Marquis.

Od Afryki po Wyspy Salomona

Teraz, gdy głośno zrobiło się o planie wysłania chińskich żołnierzy na Kubę, mówi się, że strategia Pekinu jest częścią tzw. Projektu 141. To inicjatywa chińskiej armii, mająca na celu budowę zagranicznych baz wojskowych i punktów wsparcia logistycznego.

Pekin dysponuje na razie jedną bazą wojskową (w afrykańskim Dżibuti) i robi wiele, by uzyskać kolejne. W kwietniu pojawił się przeciek z wywiadu USA, z którego wynikało, że Chiny wznowiły budowę bazy w pobliżu Abu Dhabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich – kraju będącym tradycyjnie sojusznikiem USA.

Chiny od lat zabiegają o zgodę Gwinei Równikowej na budowę bazy w tym kraju, co wzmocniłoby ich obecność u afrykańskich wybrzeży Atlantyku. To postawiło Waszyngton w stan najwyższej gotowości: najpierw do tego maleńkiego kraju Afryki jeździli amerykańscy oficjele, a w grudniu 2022 r. w Stanach gościł prezydent Teodoro Obiang Nguema Mbasogo. Biały Dom zaprosił go na szczyt USA-Afryka, choć to dyktator znany z korupcji, łamania praw człowieka i wyjątkowo długich rządów – u władzy trwa od 44 lat.

Waszyngton stara się też torpedować działania Chin w Oceanii. Po tym, jak Pekin podpisał z Wyspami Salomona pakt o bezpieczeństwie, który umożliwia wysyłanie do tego kraju chińskich żołnierzy i krótkookresowe stacjonowanie chińskich okrętów w portach, Amerykanie zacieśnili sojusz z pobliską Papuą-Nową Gwineą. W maju podpisano pakt o bezpieczeństwie, który daje żołnierzom USA dostęp do portów i lotnisk w tym kraju. Gra toczy się o dużą stawkę, gdyż południowy Pacyfik mógłby mieć istotne znaczenie dla obrony Tajwanu w przypadku konfliktu z Chinami.

Kambodża skazana na Pekin

W ostatnich latach sen z powiek Amerykanom spędza też dyplomatyczny romans Chin z Kambodżą. Ten ubogi azjatycki kraj czerpie garściami z funduszy Pekinu na rozbudowę swojej bazy marynarki wojennej Ream w Zatoce Tajlandzkiej. Według „Washington Post" część tej bazy ma być przeznaczona do wyłącznego użytku chińskiej armii. Jeśli tak się stanie, Chiny zyskają ważny punkt dla wzmocnienia swej pozycji w Azji Południowo-Wschodniej i rejonie Morza Południowochińskiego, gdzie toczą spory terytorialne m.in. z Filipinami i Wietnamem.

Kambodża i Chiny długo zabiegały, by ich współpraca nie wyszła na jaw. „Washington Post" cytuje źródła, zdaniem których chińscy wojskowi mieli rozkaz, by w czasie wizyt zachodnich delegacji w bazie Ream nie nosili mundurów albo by zakładali przypominające wyglądem kambodżańskie. Amerykański dziennik donosił, że podczas wizyty w Kambodży w 2021 r. ówczesna zastępczyni sekretarza stanu Wendy Sherman miała dostęp jedynie do części tej bazy.

Za to w mieście Preăh Sihanŭk, oddalonym o niecałe 30 km od bazy, nie ma wątpliwości, że Chińczycy są tu mocno obecni. Odkąd do tej nadmorskiej miejscowości zaczął napływać chiński kapitał, na ulicach roi się od szyldów po mandaryńsku, co ma ułatwiać życie osiedlającym się tu imigrantom i biznesmenom. Czerwony smok panoszy się zresztą w całej Kambodży: chińskie firmy budują drogi i mosty, na obrzeżach stołecznego Phnom Penh postawiły stadion, a kilka

MARIOS LOLOS / XINHUA NEWS AGENCY / FORUM

Chińska państwowa firma Cosco jest dziś właścicielem większości udziałów w największym greckim porcie morskim w Pireusie. Na zdjęciu: tamtejszy terminal kontenerowy, luty 2023 r.

miesięcy temu ukończyły autostradę łączącą stolicę z Preăh Sihanŭk.

Kluczową rolę w procesie uzależniania Kambodży od chińskich inwestycji odegrała Inicjatywa Pasa i Szlaku – program finansowania przez Chińczyków infrastrukturalnych inwestycji na całym świecie, głównie w formie kredytów. Zgodnie z raportem kambodżańskiego Ministerstwa Gospodarki i Finansów kraj ten w pierwszym kwartale 2023 r. miał ponad 10 mld dolarów długu zagranicznego, z czego prawie 40 proc. to pożyczki chińskie. Władze w Phnom Penh zdają się nie przejmować krytyką. „Jeśli nie będę polegał na Chinach, to na kim będę?" – mówił w 2022 r. premier Hun Sen na tokijskiej konferencji „The Future of Asia".

Za niespłacone odsetki

Do Inicjatywy Pasa i Szlaku przystąpiło sto kilkadziesiąt krajów. Chińskie firmy rozbudowują infrastrukturę na całym świecie: od dróg w Kenii, przez lotnisko w Birmie i port Gwadar w Pakistanie, po szybką kolej Belgrad–Budapeszt. Idąc w ślad za niektórymi krajami azjatyckimi, Stany Zjednoczone nazywają ten chiński program „koniem trojańskim", który ma służyć ekspansji zarówno gospodarczej, jak też wojskowej Państwa Środka.

Szczególnie niebezpieczne jest uzależnianie się od chińskich pożyczek krajów słabiej rozwiniętych, które – mając potem trudności ze spłatą zobowiązań – mogą stracić kontrolę nad swoją infrastrukturą lub będą zmuszone do ustępstw politycznych. Niektóre państwa, jak Zambia i Sri Lanka, niezdolne nawet do spłaty odsetek, musiały ogłosić bankructwo.

Agencja Associated Press wylicza, że kraje najbardziej zadłużone w chińskich bankach – Pakistan, Kenia, Laos i Mongolia – do uregulowania kredytów wykorzystują środki publiczne pierwotnie przeznaczone na szkoły, infrastrukturę energetyczną czy import żywności. Do trudnych wyborów zmuszone są władze Kenii, które zawiesiły wypłacanie pensji tysiącom urzędników – priorytetem jest spłata długu. W Pakistanie zaś, gdzie za niemal 30 proc. zadłużenia zagranicznego odpowiadają chińskie pożyczki, fala zwolnień nastąpiła wśród pracownic szwalń – państwa nie stać na regularne dostawy prądu do tych zakładów.

Port w pakiecie

Sytuację w Pakistanie próbuje wykorzystać Pekin. Jak wynika z analizy think tanku Atlantic Council, chiński reżim już raz próbował wymusić na Islamabadzie zgodę na zatrzymywanie się okrętów chińskiej marynarki w porcie Gwadar. Na razie naciski były nieskuteczne. Jednak wiele może się zmienić w kraju zżeranym przez 38-procentową inflację i zmierzającym w kierunku bankructwa.

Przymusić tonącego udało się za to Chińczykom na Sri Lance. Po latach pożyczania na odbudowę tego kraju po wojnie domowej Pekin odsłonił karty i wynegocjował sobie dzierżawę lankijskiego portu w Hambantocie. W zamian za przelew na ponad miliard dolarów Lankijczycy przekazali kontrolę nad nim firmie China Merchants Port, powiązanej z chińskim rządem. Umowa opiewa na 99 lat, w pakiecie z ogromnym kawałem ziemi przeznaczonym na strefę przemysłową.

Pięć lat później światowa prasa rozpisywała się, gdy w porcie w Hambantocie zacumował okręt chińskiej marynarki wojennej. Oficjalnie badawczo-naukowy, ale eksperci alarmowali, że ten specjalistyczny okręt o nazwie „Yuan Wang 5" służył wcześniej do namierzania i śledzenia satelitów oraz innych zadań wojskowych. Incydent wzbudził niepokój nie tylko w pobliskich Indiach. Krytycy alarmowali, że wybudowane przez chińskie firmy porty, autostrady i mosty w najgorszym scenariuszu mogą posłużyć Pekinowi jako kluczowa infrastruktura także o zastosowaniu militarnym.

Kawałek Grecji w obcych rękach

Rozszerzając wpływy, Chiny mają już udziały w niemal 100 portach na świecie. Najwięcej w Afryce, gdzie są współudziałowcami 61 portów w 30 krajach. Chińskie firmy startowały też w przetargach na prowadzenie lub rozbudowę portów w Arabii Saudyjskiej, Iraku, Omanie, a nawet w Izraelu. W tym ostatnim firma Shanghai International Port Group wygrała kontrakt na prowadzenie przez 25 lat nowego terminala kontenerowego w Hajfie, który oddano do użytku w 2021 r. Wywołało to falę krytyki w Izraelu oraz w Stanach – amerykańskie okręty niekiedy cumują w Hajfie i ćwiczą wspólnie z marynarką izraelską.

Obawy przed wpływami Pekinu i jego działalnością wywiadowczą narastają też w Europie, gdzie wpływy chińskich firm rosną w co najmniej 18 portach, w tym w Rotterdamie, Antwerpii-Brugii i Gdyni, które służą jako porty przeładunkowe dla wojsk NATO. Ostatnio głośno było o sporze w niemieckiej koalicji rządowej, czy zatwierdzić zakup udziałów w terminalu w hamburskim porcie przez wspomnianą już chińską firmę Cosco. Po wielomiesięcznych negocjacjach kanclerz Olaf Scholz postawił jednak na swoim i w maju tego roku zatwierdzono umowę sprzedaży 24,99 proc. udziałów w terminalu.

Bez burzliwych negocjacji nie obyło się przy prywatyzacji portu w Pireusie. Zadłużony rząd Grecji pod presją międzynarodowych wierzycieli wystawił na przetarg większościowe udziały w tym porcie. Wygrała oferta firmy Cosco, która zdobyła 51 proc. udziałów, a kilka lat później kolejne 16 proc. Tym samym Grecja ma dziś ograniczoną kontrolę nad swoim największym portem morskim. Takie transakcje Chińczycy kochają podobno najbardziej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press".

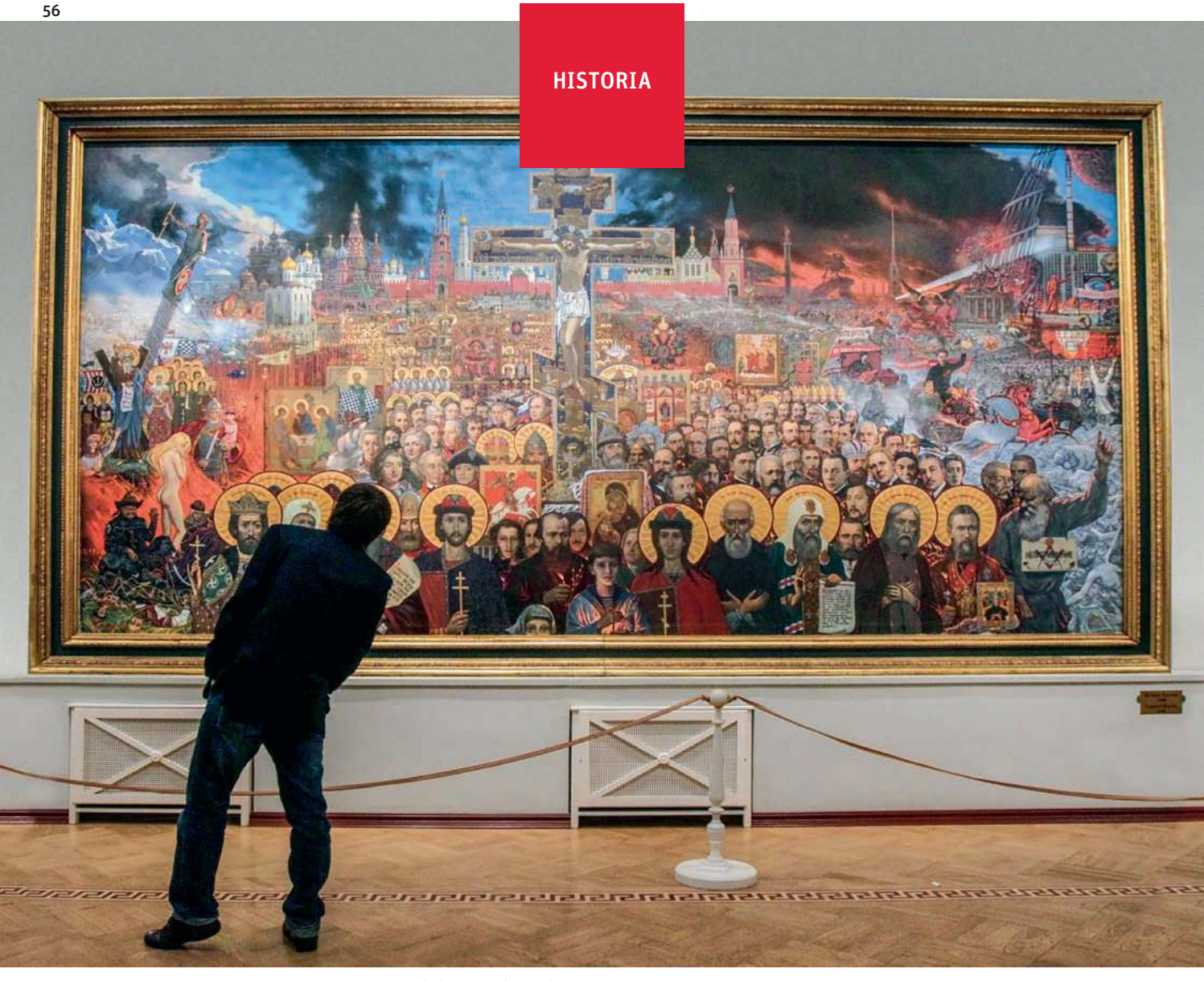

Centralną postacią wśród artystów, którzy nacjonalizm godzili z komunizmem, był malarz Ilja Głazunow (1930-2017). Na zdjęciu: jego obraz „Wieczna Rosja" z 1988 r. w galerii w Moskwie.

GWARDZIŚCI PRZECIW SYJONISTOM

Wielkoruski nacjonalizm, dziś znów oficjalna idea Kremla, nie spadł z nieba. Szukając jego źródeł, sięgnijmy po dzieje zakulisowych grup w strukturach władzy i kultury Związku Sowieckiego.

GRZEGORZ SKRUKWA

ASTAKHOV DMITRI / TASS / FORUM

Ilja Głazunow oprowadza Władimira Putina po swojej galerii obrazów w Moskwie, 2006 r.

MAXIM SHIPENKOV / PAP

Byli wpływowi, choć dla zwykłych obywateli niewidoczni. Za kulisami nazywano ich różnie: „rusiści", „młoda gwardia", „Russka Partia". Nie mieli jednego lidera i nie próbowali wprost przejąć władzy na Kremlu, ale kształtowali klimat kulturalno-społeczny – aparat biurokratyczny i resorty siłowe nasiąkały ich ideami. Potem, w okresie pierestrojki i za rządów Borysa Jelcyna, pierwszego prezydenta próbującej się demokratyzować Rosji, pozornie ustąpili miejsca tzw. liberałom. Jednak pozostali wpływowi.

Mowa o frakcji rosyjskich nacjonalistów wewnątrz Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego.

Jeden z czołowych przeciwników rosyjskiego nacjonalizmu i architekt pierestrojki Aleksander Jakowlew po latach wspominał: „Torowali oni drogę faszyzmowi. Każda dyskusja u tych »inżynierów ludzkich dusz« sprowadzała się do poszukiwania winnych. Winnymi wszystkich nieszczęść okazywali się Żydzi, masoni, kosmopolici, agenci CIA i światowego kapitału, inteligenci".

Fakt, że dziś w Rosji nie budzi zdziwienia jednoczesny kult Stalina i cara Mikołaja II (zamordowanego w końcu przez bolszewików), nosi znamię dawnych idei „Russkiej Partii".

Młodzieżowcy Stalina

Od początku istnienia systemu sowieckiego były w nim obecne elementy ideowe rosyjskiego nacjonalizmu. W latach 30. XX w. Józef Stalin pełnymi garściami czerpał już z tradycji wielkomocarstwowych Rosji. Gdy zaś w roku 1941, po napaści III Rzeszy, chciał mobilizować poddanych do walki, przyzywał duchy średniowiecznego księcia Aleksandra Newskiego, carskich marszałków Suworowa i Kutuzowa, a także Minina i Pożarskiego, wodzów z czasów walk z Polakami na początku XVII w.

Po 1956 r. mimo deklarowanej destalinizacji w centralnych elitach Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego pozostała wpływowa grupa politycznych „dzieci" Stalina. Ich przywódcą był Aleksander Szelepin (1918-94), działacz Komsomołu (wielomilionowej organizacji młodzieżowej, mającej własny rozbudowany aparat i zaplecze materialne), a potem w latach 1958-61 szef aparatu represji (KGB).

Tak zwana grupa młodzieżowa Szelepina składała się z aparatczyków młodej generacji, którzy zrobili kariery w czasach późnego stalinizmu. Byli to etniczni Rosjanie, wyrośli w izolacji od Zachodu i nieznający innego świata niż sowiecki. W latach 1948-53 pod okiem Stalina gorliwie realizowali kampanię propagandową mającą budować mit cywilizacyjnego pierwszeństwa Rosji we wszystkim – zgodnie z nią wynalazcą radia był Popow, twórcą teorii ewolucji Miczurin itd., itp.

W 1964 r. „szelepinowcy" wzięli udział w odsunięciu od władzy Nikity Chruszczowa, ale potem przegrali dalszą rywalizację i trafili na boczny tor. Nomenklatura partyjna wolała Leonida Breżniewa i jego hulaszczą ekipę, przy której wreszcie dało się żyć w (relatywnym) spokoju i (względnym) dobrobycie, niż potencjalnego nowego satrapę, zapowiadającego dyscyplinowanie i mobilizowanie, a może i nowe czystki.

Grupa Pawłowa

Nieco dłużej na szczycie utrzymało się środowisko w Komsomole zwane „grupą Pawłowa" – podwieszone pod „szelepinowców" i mające podobny rodowód. Była to kolejna po „szelepinowcach" generacja aparatczyków, urodzonych około roku 1930. Jej lider Siergiej Pawłow został w 1959 r. pierwszym sekretarzem Komsomołu. Ludzie ci zaczęli robić kariery pod koniec rządów Stalina, a w drugiej połowie lat 50. stanęli na czele „frontu młodzieżowego".

Mieli wtedy do czynienia z młodzieżą „odwilżową" – pragnącą swobody, kontaktu ze światem, dostępu do atrakcyjnej kultury popularnej. Nie chcąc ustąpić przed „moralnym rozchwianiem" płynącym ze „zgniłego Zachodu", zaczęli tworzyć więc własną ideologię.

I tu w sukurs przyszło im pewne środowisko literatów.

Sojusz „rusistów" z artystami

W serialu Stanisława Barei „Alternatywy 4" dozorca nazwiskiem Anioł kilkukrotnie powołuje się na wielkiego sowieckiego pisarza Sofronowa. Dla polskiego widza ów Sofronow był zapewne postacią symboliczną, reprezentującą próbę wmuszenia uwielbienia dla sowieckiej kultury. Jednak taki literat istniał naprawdę.

Anatolij Sofronow, urodzony w 1911 r., w latach 1948-53 był sekretarzem zarządu Związku Pisarzy, a od roku 1953 aż do 1986 redaktorem naczelnym popularnego tygodnika „Ogoniok". Wraz z autorem „Cichego Donu" Michaiłem Szołochowem i współautorem sowieckiego hymnu Siergiejem Michałkowem reprezentował najstarszą generację pisarzy „rusistów". Po II wojnie światowej dołączyli do nich młodzi weterani, a następnie generacja twórców urodzonych na początku lat 30., którzy na studiach zafascynowali się kulturą i ideami przedrewolucyjnej Rosji.

Najwyrazistszą postacią tego środowiska był jednak nie pisarz, lecz malarz: Ilja Głazunow. Uprawiał realistyczne malarstwo z wątkami alegorycznymi, stopniowo coraz bardziej nasycane ↦

↦ nacjonalizmem. Był miłośnikiem caratu i prawosławia, co nie przeszkadzało mu pobierać wysokie honoraria za portrety sowieckich dygnitarzy.

Ludzie z „grupy Pawłowa" nie znali Zachodu, nie podobał im się jazz, Stalina cenili nie tylko za pobicie Hitlera i uprzemysłowienie kraju, ale też za rozprawę z „trockistami" – jak nazywali towarzyszy partyjnych o żydowskim pochodzeniu. Znaleźli wspólny język ze wspomnianą grupą pisarzy i artystów, którzy też nie lubili kolegów artystów o żydowskim pochodzeniu, za to chętnie pisali o wielkości Rosji.

Dzięki temu sojuszowi potężne wydawnictwo Młoda Gwardia i pismo kulturalne o takim samym tytule stały się trybunami rosyjskiego nacjonalizmu. Wprawdzie w 1968 r. Pawłowa przesunięto na szefa Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu – i pozycja „rusistów" we władzach Komsomołu osłabła – ale zachowali wpływy w wydawnictwach.

Walka dwóch nurtów

W latach 60., 70. i 80. XX stulecia historia kultury Związku Sowieckiego – a ściślej: dzieje kultury jego rosyjskiej republiki, tej najważniejszej – to w gruncie rzeczy historia nieformalnej walki dwóch nurtów: „rusistów" i „liberałów" (cudzysłów jest konieczny, nie byli to bowiem liberałowie w powszechnym rozumieniu). Ci pierwsi mieli pod kontrolą „Młodą Gwardię", „Nasz Sowriemiennik" i „Ogoniok", a drudzy „Junost" i „Nowyj Mir".

W 1964 r. ukazała się powieść Iwana Szewcowa „Mszyca" – pierwsze oficjalnie wydane dzieło jawnie antysemickie. Opowiadała o walce dwóch grup artystów: szlachetni i młodzi etniczni Rosjanie, uprawiający sztukę realistyczną, zmagają się z blokadą stwarzaną im przez żydowski salon abstrakcjonistów, któremu przewodzi powieściowy Lew Barselonski (to karykatura Ilji Erenburga, czołowej postaci nurtu „liberalnego" w sowieckiej kulturze).

„Mszycy" później już nie wznawiano, ale wyrażała ona to, co redaktorzy, pisarze i aparatczycy nurtu „rusistowskiego" myśleli i mówili, gdy byli we własnym gronie.

Próby wypracowania „patriotycznej" ideologii dla młodzieży szły niekiedy daleko. W latach 1964/65 pod egidą moskiewskiego komitetu Komsomołu odbyła się pierwsza edycja „Uniwersytetu Młodego Marksisty"; był to otwarty dla uczestników kurs filozofii i socjologii. W 1965 r. na powielaczu tego komitetu i na jego firmowym papierze powielono w kilkudziesięciu egzemplarzach „Ustaw nrawa" (w wolnym przekładzie: „Statut charakteru", „Statut obyczaju"), którego głównym autorem był szef „Uniwersytetu" Walerij Skurłatow. Był to w istocie manifest czysto nazistowski: propagował kult siły, sportu i wojska, zakaz seksu przedmałżeńskiego, zakaz seksu z cudzoziemcami i podział społeczeństwa na kasty.

„Uniwersytet" zamknięto, a Skurłatowa wyrzucono z partii. Jednak sprawa z „Ustawem nrawa" pokazuje, jak bliskie były sobie dwie ideologie totalitarne.

„Z syjonistycznymi wypaczeniami"

Kolejną strukturą opanowaną przez „rusistów" był ruch ochrony zabytków. Powstał on oddolnie w drugiej połowie lat 50. wśród inteligencji zaniepokojonej tym, że wiele zabytków zniszczono za Stalina, a kolejne, głównie cerkwie, niszczono właśnie w ramach antyreligijnej kampanii Chruszczowa. W 1965 r. władze zarejestrowały Wszechrosyjskie Stowarzyszenie Ochrony Zabytków Historii i Kultury (WOOPIiK) – była to największa oddolna organizacja społeczna w historii Związku Sowieckiego. Już po kilku latach liczyła 12 mln członków.

W latach 1967-72 przy moskiewskim oddziale WOOPIiK działała Komisja ds. Kompleksowego Badania Kultury Rosyjskiej, zwana Klubem Rosyjskim. Badań nie prowadziła, organizowała za to cotygodniowe otwarte wykłady pisarzy i publicystów z kręgu „Młodej Gwardii". Lider Klubu Siergiej Siemanow wspominał: „Gorąco popieraliśmy władzę sowiecką, z patriotycznymi poprawkami oczywiście. Lubiłem publicznie żartować, że [kiedyś] Lenin mówił, iż mamy władzę sowiecką z biurokratycznymi wypaczeniami, a teraz mamy władzę sowiecką z syjonistycznymi wypaczeniami".

W 1970 r. Siemanow opublikował w „Młodej Gwardii" artykuł „O wiecznych i względnych wartościach" – manifest ciągłości Rosji carskiej i sowieckiej. Rewolucję październikową autor nazywał Wielką Rewolucją Rosyjską (Russką), przedstawiając ją jako jeden z etapów historycznej drogi do wielkości Rosji. Wychwalał drugą połowę lat 30. jako najlepszy okres w dziejach Związku Sowieckiego i brutalnie atakował czołowego historyka lat 20. Michaiła Pokrowskiego, krytyka rosyjskiego imperializmu. Siemanow powtórzył stalinowskie zarzuty wobec niego, określając jego twórczość jako „nihilizm".

To jednak nie mogło spodobać się na Kremlu – choć za czasów Breżniewa wykładnia historii była bliska rosyjskim ideom mocarstwowym, to Pokrowski, przyjaciel Lenina, nie podlegał krytyce. Breżniew nie mógł pozwolić też na wychwalanie Wielkiej Czystki lat 30. (choć tolerował pełzającą rehabilitację Stalina jako wojennego zwycięzcy). Nastąpiła odgórna interwencja: zmieniono kierownictwo redakcji „Młodej Gwardii". W tym samym roku zakazano też otwartych wykładów w Klubie Rosyjskim.

Partia publiczna, partia podziemna

W 1972 r. na krytykę „rusistów" zdecydował się Aleksander Jakowlew, wówczas pełniący obowiązki szefa Wydziału Propagandy Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego. Opublikował artykuł „Przeciw antyhistoryzmowi" – było to pierwsze po 40 latach oficjalne potępienie wielkorosyjskiego szowinizmu.

Breżniew i jego współpracownik Michaił Susłow, nadzorujący kulturę, uznali wystąpienie Jakowlewa za zbyt samodzielne. Odebrali mu funkcję w Komitecie Centralnym i wysłali jako ambasadora do Kanady. Wrócił do Moskwy w latach 80. i za rządów Michaiła Gorbaczowa został głównym ideologiem pierestrojki, próby zreformowania systemu. Po latach wspominał, że w czasach sowieckich były w istocie dwie partie, publiczna i podziemna, a ta druga torowała drogę faszyzmowi.

W konsekwencji po 1972 r. na długo zapanowała równowaga: zarówno „rusiści", jak i „liberałowie" dostali trochę po uszach. Jednak „Russka Partia" działała dalej w strukturach Związku Pisarzy oraz WOOPIiK.

Niektórzy intelektualiści o poglądach nacjonalistycznych zaangażowali się potem w ruch dysydencki, ale większość „rusistów" wolała pozostać na wygodnych posadach w instytutach, redak-

KEYSTONE PRESS / ALAMY / FORUM

Aleksander Szelepin (w kapeluszu) był liderem politycznych „dzieci Stalina", po 1964 r. trafił na boczny tor. Na zdjęciu: przybywa do Londynu na kongres związków zawodowych, 1975 r.

cjach i wydawnictwach, dostawać wysokie honoraria i literackie nagrody. Nie byli oni bowiem opozycją antysystemową – nie chcieli zmiany ustroju, a jedynie tego, by jego ideologia była bardziej „russka" i żeby elity władzy były „czysto rosyjskie".

Przydatny nurt wiejski

Nurtem w kulturze sowieckiej szczególnie bliskim „rusistom" była tzw. proza wiejska.

„Pisarze wiejscy" (*dieriewienszczicy*) odwoływali się do dziedzictwa kulturowego centralnych nieczarnoziemnych wiejskich regionów Rosji – opisywali apologetycznie dawną wieś, jej przyrodę i rzekome wartości moralne. Krytykowali przerost cywilizacji technicznej, sprzeciwiali się projektom odwracania biegu rzek i innym „wielkim przeobrażeniom przyrody", ubolewali nad wymieraniem wsi. W istocie – choć nie wprost – krytykowali też kolektywizację wsi i całość ideologii sowieckiej z jej kultem przemysłu i techniki.

Oczywiście nie wszyscy „pisarze wiejscy" byli „rusistami" i antysemitami – tak jak nie cały tradycjonalistyczny zwrot w kulturze sowieckiej i w gustach inteligencji drugiej połowy lat 60. oraz w latach 70. miał charakter polityczny. Kolekcjonowanie ikon, czytanie poezji przedrewolucyjnej, weekendowe wędrówki po podmoskiewskich monastyrach czy zbieranie grzybów w brzozowych lasach było naturalną reakcją na gwałtowną modernizację, która w ciągu dwóch pokoleń przeorała Rosję i oderwała miliony ludzi od ich kulturowych korzeni.

Jednak „rusiści" te nastroje eksploatowali – i kanalizowali także w kierunku antysemickim.

„Kremlowskie żony"

Antysemityzm był bowiem esencją „Russkiej Partii". Aby go wyrażać, miała ona swój własny metajęzyk. Pojęcia „trockiści" oraz „syjoniści" były używane publicznie jako kryptosynonimy słowa „Żydzi".

Po wojnie sześciodniowej w 1967 r. – gdy wspierana przez Moskwę koalicja państw arabskich poniosła druzgocącą klęskę w starciu z Izraelem, wspieranym przez Zachód – powstało oficjalne zapotrzebowanie na „zawodowych antysyjonistów" czy „specjalistów od stosunków izraelsko-arabskich". Odtąd w książkach dotyczących konfliktu bliskowschodniego można było umieszczać treści niemal dosłownie przepisywane z „Protokołów Mędrców Syjonu" – paszkwilu upublicznionego przez carską tajną policję na początku XX w. i mającego dowodzić, że Żydzi chcą rządzić światem.

W swoim gronie „rusiści", gdy mówili o prawdziwych lub domniemanych Żydach, używali zaś porozumiewawczych półsłówek: „najmądrzejsi" lub „oni". A także zestawiali spisy „kremlowskich żon", czyli rzekomych żydowskich małżonek najwyższych dygnitarzy.

Spod znaku „Z"

W drugiej połowie lat 80. uładzona powierzchnia życia politycznego w Związku Sowieckim zaczęła pękać. Na tej fali pojawił się nie tylko Memoriał, przypominający o zbrodniach komunizmu i walczący o historyczną prawdę. W 1986 r. zaczęła jawnie działać organizacja Pamjat', wywodząca się z moskiewskiego oddziału WOOPIiK i kręgu malarza Głazunowa. Wraz z jej powstaniem rosyjski nacjonalizm wyszedł z salek konferencyjnych i gabinetów redaktorskich na ulice.

Nikołaj Mitrochin, badacz dziejów „Russkiej Partii" – dziś przebywający na emigracji – zwrócił niedawno uwagę, że analizując podłoże obecnej sytuacji ideowej w Rosji, tej spod litery „Z", symbolu agresji na Ukrainę, często szuka się złożonych korzeni doktrynalnych, analizując idee Aleksandra Dugina czy innych jemu podobnych. Tymczasem – uważa Mitrochin – u podstaw tego, co dziś dzieje się w Rosji, tego odrodzenia idei wielkoruskiej, leży także ideologia „Russkiej Partii" rodem z lat 70. XX stulecia.

Ideologia, wedle której każdy cudzoziemiec to potencjalny szpieg, opozycjoniści to z definicji zagraniczni agenci, wroga można poznać już po wyrazie twarzy, zepsuty Zachód z definicji zagraża Rosji, porządny człowiek mówi po rosyjsku, a żeby zaprowadzić porządek lub bronić się przed (domniemanym) wrogiem, trzeba użyć pięści. Albo armii.

Brzmi znajomo?

© GRZEGORZ SKRUKWA

Autor jest profesorem UAM, specjalizuje się w historii Europy Wschodniej. Wydał książki „Formacje wojskowe ukraińskiej »rewolucji narodowej« 1914-1921" i „O Czarnomorską Ukrainę: procesy narodowotwórcze w regionie nadczarnomorskim do 1921 roku w ukraińskiej perspektywie historycznej".

GDY CHORUJĄ PSZCZOŁY

Życie w zorganizowanej społeczności ma swoje zalety – łatwiej o pożywienie i bezpieczeństwo. Trudniej jednak o zachowanie higieny. Przynajmniej u owadów.

JUSTYNA KIERAT

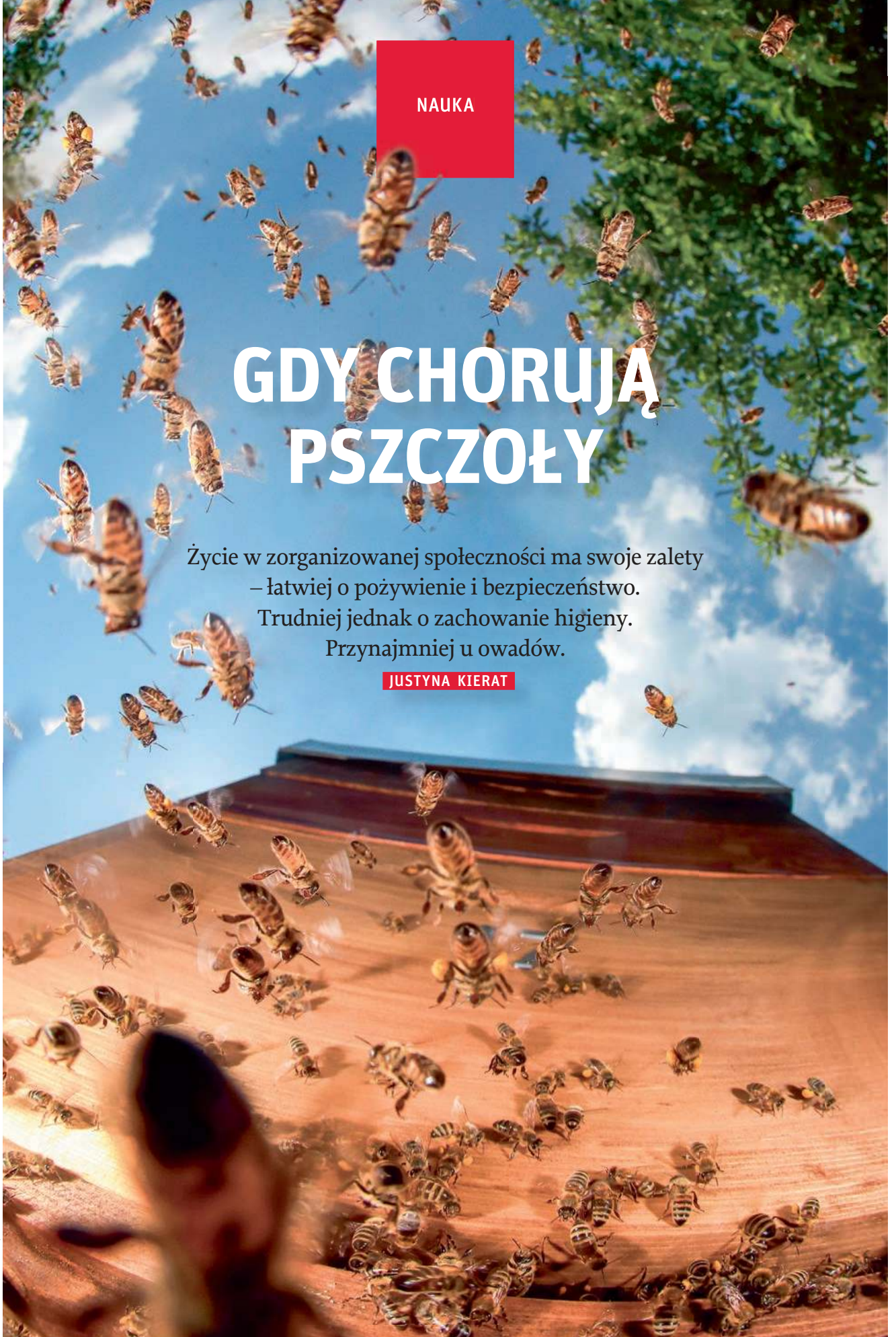

SORGE / BE&W

W szczycie sezonu rodzina pszczoły miodnej składa się z kilkudziesięciu tysięcy robotnic, przebywających w niewielkiej przestrzeni gniazda i wchodzących w bliskie interakcje. Takie warunki muszą sprzyjać rozprzestrzenianiu się patogenów. Z powodu zagrożenia nimi u pszczół wyewoluowały różnorodne zachowania higieniczne i zdolność do produkowania propolisu, uszczelniającego gniazdo i działającego bakterio- i wirusobójczo. Bariery te nie są jednak całkowicie skuteczne – wiele patogenów przebija się przez pszczele linie obrony.

Zabójca królowych

Jak dotąd u pszczoły miodnej zidentyfikowano ponad siedemdziesiąt różnych wirusów. Chora pszczoła oczywiście nie kicha i nie kaszle, a zauważenie u niej objawów zakażenia i rozpoznanie choroby nie zawsze jest łatwe. Czasami choroba objawia się wyłącznie skróceniem długości życia – jak w przypadku wirusa choroby czarnych mateczników. Zarażone nim robotnice pozornie nie różnią się niczym od zdrowych. Objawy są za to widoczne u larw młodych królowych. Rozwijają się one w matecznikach, strukturach w kształcie zwisających z plastra sopli wosku (podczas gdy larwy robotnic i trutni rozwijają się wewnątrz sześciokątnych komórek pszczelego plastra). Wirus powoduje ciemnienie ścianek matecznika i zamieranie larwy znajdującej się w środku. Larwy pozostałych kast, robotnic i trutni, zazwyczaj nie chorują.

Inny szeroko rozpowszechniony u pszczoły miodnej wirus – wirus zdeformowanych skrzydeł – również otrzymał nazwę od najbardziej charakterystycznego objawu. Pod jego wpływem pszczele skrzydła wykształcają się nieprawidłowo, są pofałdowane i uniemożliwiają latanie. To zniekształcenie powstaje w trakcie rozwoju, a więc dorosłe pszczoły nie są już narażone. Mogą być jednak nosicielkami wirusa i zarażać inne osobniki.

Brak widocznych symptomów infekcji u zarażonej pszczoły może wynikać nie tylko z tego, że wirus wywołuje chorobę wyłącznie w określonych stadiach rozwojowych. Czasem może nie dawać objawów, dopóki pszczoła jest w dobrej kondycji, za to ujawnić się w przypadku niedożywienia, narażenia na toksyczne substancje w środowisku czy jednoczesnego zarażenia inną chorobą. Stan zdrowia pszczoły jest wynikiem interakcji wielu czynników – a kondycja poszczególnych osobników przekłada się na zdrowie i losy całej kolonii.

W 2022 r. Dimitri Breda i współpracownicy pokazali w pracy opublikowanej w „Nature Communications", że mamy tutaj do czynienia ze swoistym „efektem motyla". Rodzina złożona z pszczół zarażonych wirusem oraz narażonych na działanie pestycydów może albo z sukcesem oprzeć się obu tym szkodliwym czynnikom i trwać dalej pozornie bez zmian, albo zginąć. Nawet subtelne różnice w kondycji poszczególnych robotnic mogą być decydujące dla losu całej kolonii.

Przekupstwo i włamanie

Do przenoszenia chorób między rodzinami dochodzi na różne sposoby. Niekiedy robotnice próbują dostać się do cudzego gniazda. Może to być efekt pomyłki, ale również próba rabunku zgromadzonych tam zapasów. Robotnice chętniej będą podejmować takie starania w sytuacji, gdy w okolicy jest za mało pokarmu w stosunku do potrzeb – np. gdy zagęszczenie pszczelich rodzin jest zbyt duże. Jeśli obca robotnica jest chora, to po wejściu do ula może zarazić jego mieszkańców. Zazwyczaj obce osobniki są zatrzymywane przed wejściem przez strażniczki, ale nie jest to stuprocentowo skuteczna linia obrony. Zawsze może dojść do pomyłki lub... a patogen może ją ułatwić.

W 2020 r. zespół Amy Geffre opisał w „PNAS" mechanizm rozprzestrzeniania się wirusa izraelskiego paraliżu pszczół (IAPV). Strażniczki rozróżniają własne siostry od intruzek na podstawie składu substancji chemicznych znajdujących się na powierzchni ciała każdej pszczoły. Ilość i proporcje poszczególnych substancji zmieniają się u zainfekowanych robotnic w taki sposób, że strażniczki reagują na nie mniej agresywnie. Pszczoły zarażone IAPV chętniej też wymieniają pokarm i wzajemnie się czyszczą z obcymi strażniczkami, co z jednej strony powoduje, że są jeszcze chętniej wpuszczane do gniazda, a z drugiej – ułatwia zarażanie się wirusem.

Do zarażenia może dojść również poza gniazdem. Chora pszczoła pozostawia na kwiecie cząsteczki wirusa czy zarodniki grzyba, a kolejna, odwiedzająca go chwilę później, może pobrać je w czasie żerowania. Co ciekawe, owady nie mają zbyt eleganckich zwyczajów i na kwiatach nie tylko jedzą, ale i załatwiają swoje potrzeby. Jeśli objawem choroby jest biegunka, to pozostawienie odchodów na roślinie staje się jeszcze bardziej prawdopodobne. Kolejny zapylacz może nie tylko w taką niespodziankę wdepnąć, ale nawet spróbować ją... zjeść. Patogenowi więcej nie trzeba, aby zakazić nowego gospodarza. W efekcie kwiaty to rodzaj centrum przesiadkowego dla drobnoustrojów. Phillip Burnham z zespołem, w opublikowanej w 2021 r. w „Journal of Applied Ecology" pracy, trafnie porównali je do brudnych klamek.

Kwiaty są odwiedzane nie tylko przez pszczoły miodne, ale też mnóstwo innych owadów. Dzikie gatunki pszczół, motyle, muchówki, chrząszcze i przedstawiciele innych grup przylatują, by napić się nektaru bądź zebrać pyłek. Każdy owad potencjalnie może zostawić na kwiecie patogeny, których jest nosicielem, a także zabrać ze sobą cudze. Niektóre są specyficzne dla konkretnego gatunku owadów i jeśli zostaną pobrane przez inny, nie wyrządzą mu krzywdy. Jednak są i takie patogeny, które mogą rozwijać się w gospodarzach pochodzących z różnych gatunków. Należą do nich zwłaszcza wirusy zbudowane z RNA. Ich tempo mutacji jest wysokie, dlatego szybko mogą przystosowywać się do przełamywania barier odpornościowych u nowych żywicieli.

Z gatunku na gatunek

W Polsce stwierdzono do tej pory około 480 gatunków dzikich pszczół – na świecie opisano ich już ponad 20 tysięcy. Choć większość z nich nie produkuje miodu ani nie pozyskuje się od nich innych produktów, to są ważnymi, zarówno dla przyrody, jak i dla rolnictwa, zapylaczami. Dawniej były niedoceniane nawet przez naukowców i do dziś często większość zasług w zapylaniu przypisuje się pszczole miodnej. W rzeczywistości dzikie pszczoły mogą być bardziej efektywnymi zapylaczami. Pszczoła miodna, choć bardzo wszechstronna, nie byłaby w stanie całkiem zastąpić swoich dzikich kuzynek.

Mimo tak dużego znaczenia dzikie pszczoły wciąż są stosunkowo słabo zbadane. O atakujących je chorobach ↦

↦ wiadomo o wiele mniej niż o chorobach pszczoły miodnej. Wiemy jednak na pewno, że istnieje możliwość wzajemnego międzygatunkowego zarażania się przynajmniej niektórymi z nich. Patogeny atakujące pszczołę miodną wykryto w organizmach tak różnych gatunków pszczół jak pszczolinki (*Andrena*), trzmiele (*Bombus*), murarki (*Osmia*) czy zadrzechnie (*Xylocopa*).

Bzygi są owadami z rzędu muchówek, które – obok pszczół (należących do rzędu błonówek) również odgrywają ważną rolę jako zapylacze. W 2018 r. Emily Bailes i współpracownicy opublikowali w „Biology Letters" wyniki badań dotyczących tej grupy. Badacze nie tylko wykryli u nich aż trzy „pszczele" wirusy – choroby czarnych mateczników, choroby woreczkowej czerwiu i zdeformowanych skrzydeł – ale także zaobserwowali, że zainfekowany osobnik ma w sobie tyle cząsteczek patogenu, że najprawdopodobniej będzie zarażać kolejne owady.

Nie jest natomiast pewne, czy wirus może namnażać się w organizmie bzyga, a tym bardziej – czy wywołuje u niego jakieś objawy chorobowe. Badania genetyczne pokazały, że wirusy infekujące bzygi i pszczołę miodną w tym samym siedlisku nie tworzą oddzielnych linii, ale są niemal identyczne. Sugeruje to, że wirusy infekujące obie grupy żywicieli swobodnie przeskakują między pszczołami a muchówkami, kiedy nadarzy się ku temu okazja.

W 2022 r. opublikowano z kolei badania dokumentujące obecność pszczelich wirusów również u motyli – Metka Pislak Ocepek wraz ze współpracownikami zbadali 120 osobników należących do czterech różnych rodzin i znaleźli na nich łącznie sześć gatunków wirusów. Wyniki badań wskazują, że wirusy nie namnażały się w organizmach motyli, a tylko były przez nie przenoszone.

Podróże międzykontynentalne

Hodowlane pszczoły miodne często są mocno zainfekowane wirusami i innymi patogenami, przez co stają się źródłem chorób nie tylko dla innych pasiek, ale i dla żyjących z nimi po sąsiedzku dzikich zapylaczy. Jednak duża powszechność chorób w rodzinach hodowlanych pszczół to nie jedyna rzecz, która martwi entomologów. Tak samo, a może i bardziej niebezpieczne są patogeny obcego pochodzenia, które na skutek działalności człowieka zaczynają infekować nowe gatunki.

W naturalnych warunkach zwierzęta mają ograniczone możliwości przemieszczania się. Dalekie migracje są charakterystyczne tylko dla niektórych gatunków (ptaków wędrownych, a wśród zapylaczy – pewnych gatunków motyli). Większość owadów zapylających nie przemieszcza się na duże odległości, a zwiększanie zasięgów występowania jest u nich procesem powolnym, dodatkowo utrudnianym przez bariery geograficzne, takie jak pasma górskie czy granice kontynentów. Człowiek swoimi podróżami po całym świecie diametralnie zmienił tę sytuację. Obecnie nawet ocean nie jest dla nas przeszkodą, a razem z nami podróżują inne organizmy. Pszczoła miodna właśnie dzięki człowiekowi podbiła niemal cały świat. Dawniej występowała w Europie, Afryce oraz Azji, a obecnie można spotkać ją na wszystkich kontynentach poza Antarktydą.

Przemieszczanie pszczół miodnych zachodzi też cały czas w ramach gospodarki pszczelarskiej. Pszczelarze sprowadzają do swoich pasiek pszczoły wyselekcjonowane w kierunku pożądanych cech, takich jak produkcja dużych ilości miodu, niechęć do rojenia się czy łagodność. W sezonie niektóre rodziny podróżują w miejsca, gdzie potrzebne jest zapylenie – na pola kwitnącego rzepaku czy innej uprawy – po czym wracają do pasieki. W USA popularne są pasieki wędrowne, gdzie ule są przewożone sukcesywnie na kolejne uprawy, w miarę jak jedne przekwitają, a drugie zaczynają kwitnąć.

Choć pszczoły miodne są przemieszczane na największą skalę, to nie są one jedynymi „podróżnikami mimo woli". Kiedy opracowano metody hodowli trzmieli i zaczęto je sprzedawać, szybko stały się one popularnymi zapylaczami upraw szklarniowych, ale także drzew owocowych czy borówek. Jednym z kilku hodowanych gatunków jest trzmiel ziemny (*Bombus terrestris*), sprowadzony z Europy, gdzie naturalnie występuje, m.in. do Ameryki Południowej czy Nowej Zelandii. A razem z tymi wszystkimi pszczołami podróżują ich patogeny i pasożyty.

Dave Goulson, brytyjski badacz pszczół, w książce „Bee Quest" opisuje swoje wędrówki po całym świecie za trzmielami. W jednym z rozdziałów wspomina podróż do Ameryki Południowej i poszukiwania największego trzmiela świata, *Bombus dahlbomii*. Gwałtowny spadek liczebności tego gatunku zbiegł się w czasie z pojawieniem się w tamtym rejonie trzmiela ziemnego. Po sprowadzeniu go do Chile i Argentyny na przełomie XX i XXI w. trzmiel ziemny zaczął szybko zwiększać swój zasięg, już bez udziału człowieka. Równocześnie z jego spektakularnym rozprzestrzenianiem się po kontynencie zaczęto obserwować gwałtowne kurczenie się populacji *Bombus dahlbomii*. Tak gwałtowne, że wydaje się mało prawdopodobne, żeby można je było przypisać przegrywanej przez *B. dahlbomii* konkurencji o pokarm.

Goulson wskazuje na inną możliwą przyczynę wymierania największego trzmiela świata, która tłumaczyłaby tak szybkie tempo ginięcia tego gatunku – nową dla niego, przywiezioną z Europy i przenoszoną przez trzmiela ziemnego chorobę. Podejrzanym jest *Crithidia bombi*, pasożyt żyjący w przewodzie pokarmowym i powszechnie atakujący trzmiele ziemne, który nie był znajdowany u chilijskich trzmieli przed pojawieniem się ich kuzynów z Europy.

Czynnik ludzki

Choroby i pasożyty towarzyszyły zapylaczom od zawsze. Same w sobie nie byłyby niczym więcej niż jednym z wielu elementów odwiecznych mechanizmów ewolucji. Jednak działalność człowieka powoduje, że owady muszą mierzyć się z nowymi dla nich chorobami. Są też wystawione na więcej poważnych zagrożeń, takich jak zmiany klimatu czy niedostateczna ilość i jakość dostępnego pokarmu, które powodują, że trudniej im walczyć z patogenami.

Na pszczelarzach spoczywa więc duża odpowiedzialność. Od stanu zdrowia ich pszczół zależy, jak bardzo narażone na choroby będą dzikie zapylacze w sąsiedztwie ich pasiek. Mimo że wielu rzeczy jeszcze nie wiemy i konieczne są dalsze badania, zarówno podstawowe, jak też nakierowane na zapobieganie i leczenie, to już teraz pszczelarze nie są pozostawieni sami sobie. Zdrowie pszczół jest obiektem zainteresowania medycyny weterynaryjnej i również w Polsce można znaleźć weterynarzy zajmujących się tym zagadnieniem, potrafiących zdiagnozować chorobę i – jeśli to możliwe – zaordynować odpowiednie leczenie.

© JUSTYNA KIERAT

ELIZA

Kącka:
Nie mój zgon

Chełmska, przychodnia. rejestratorka w telefon: „ja nie pomogę w kwestii zgonu”. pauza. „to nie nasz rejon”. pauza. „proszę pana, zgon jest możliwy w dzielnicy Praga”. pauza. „tak, miałam tego pacjenta, ale zabrał dokumenty. i teraz jego zgon to nie jest moja statystyka, tak powiem”. pauza. „rozumie pan, to jest Pragi problem”. pauza. „ja muszę własne zgony opracować”. pauza. na wzmożeniu irytacji: „ten zgon to jest nie mój zgon, jasne?!”.

Wiata autobusowa, róg Czerniakowskiej i Chełmskiej. do ławki dobija dwóch kiele pięćdziesiątki, skacowanych. siadają, ten bliżej mnie gapi się w niebo. „no, ty patrz, powiedziałbym, że zmierzcha się”. drugi, na czkawce: „weź ty się do mnie nie odzywaj takim językiem”. „a tobie co?”. „nic. jakoś niezręcznie się robi”.

U fryzjerki rankiem. „urlopuje gdzieś pani?”. ja, że niezbyt. „trzeba. ja syna wysłałam z dziewczyną i jej rodzicami do Mielna”. „fajnie”. „ja to bym, haha, na to nie poszła. że ze starymi. ale może i dobrze, przynajmniej kontrola”. „aha”. „synuś musi odpocząć. za rok matura i studia”. „co planuje?”. „chciał medycynę albo prawo, wie pani, taki zawód dla ludzi”. „yhm”. „ale go przekonałam, że stomatologia”. „bo?”. „mówię: co się będziesz klauzurą sumienia przejmował”. „tek”. „teraz to wszędzie dadzą klauzurę”. „jak w zakonie”. „ototo. ale to sumienie nie może objąć zębów, prawda?”. „enieee, sumienie bezzębne”. „ahaha, pani to zawsze”.

Ten sam salon. staruszka na sąsiednim fotelu: „są znaki”. „jakie, pani Halinko?”. „nocą raptem: nie śpię. coś mnie obudziło”. „pan Antoni?”. „nie, mój już się rozliczył w czyśćcu i przestał mnie nachodzić”. „a to przykro”. „zawsze taki był. po obiedzie się mną przestawał interesować. to i teraz, jak mu niebo załatwiłam...”. „jak pani załatwiła?!”. „mszami”. „no tak”. „ale wczoraj to księżyc był”. „?!”. „taki wielki, czerwony. położyłam się i się modliłam o apokalipsę za moje krzywdy”. „i co?”. „no jak: co? widać, co. zupełnie jak z moim mężem”.

Młodzi w metrze, tuż obok. „dlaczego ty mnie nie obejmiesz?!”. „nie przy ludziach, pliz”. „no o to chodzi właśnie”. „ja bym wolał w domu”. „w domu masz bana, możesz tylko publicznie”.

Pisze mój polonista: „Pani Elizo, podsumowuję rok szkolny i wyciągam z teczki wywód, który już dawno chciałem Pani wysłać. Poprosiłem dzieci o wybór jednego ze związków frazeologicznych pochodzących z literatury. I opis krótki. Proszę: »Wybieram związek Pocałunek Alzamzora. Jest to związek celowo tajemniczy. Pochodzi on z Konrada Wallenroda – kontrowersyjnego utworu Adama Mickiewicza. Alzamzor pocałował w nim Konrada, od czego ów oszalał. Oraz przemienił się na powrót, co jest kanwą utworów romantycznych. Pocałunek Alzamzora to związek frazeologiczny nie do pogodzenia z pobożnością Konrada. Stąd jego upadek«”.

Autobus 116, w drodze na uczelnię. dwóch w wieku studenckim: „ja już sobie wycisnąłem mózg”. „ehe, słuchaj, metoda na seniora”. „?”. „Doppelherz. nie wiem, co oni tam ładują, ale podprowadziłem matce i teraz jadę na tym i czipsach”. „ej, ale nie umrzyj”. „eeetam, wczoraj dawałem z gwinta i fajne sny były”. „dawaj!”. „nie pamiętam, jakiś krajobraz porypany. ale wczoraj za dużo zapodałem tekstu. został mi cytat”. „cytat?”. „ze snu: »wszystkie symulakry tworzą jedną strukwę«”. „co to »strukwa«?!”. „nie wiem, zapytam się na egzaminie, jak Baudrillarda dostanę, haha”.

Listy się dostaje: „Dzień dobry, czy będzie Pani dostępna w sesji uniwersyteckiej? Wolę uniknąć spotkania w kawiarni czy podobnym lokalu przez wzgląd na wątpliwości. Jest Pani reprezentantką Instytucji, która kiedyś kształciła Henryka Sienkiewicza, a dziś tonie w wypaczeniach. Ponieważ wypowiada się Pani publicznie, podaje się Pani ocenie. Od razu zaznaczę, że ocena nie jest pozytywna. Ja nie chcę nic narzucać, ale wolał bym znać zapatrywanie osób kształcących młodzież. To nie jest Pani prywatny folwark. Pani może myśleć, co chce, droga wolna, ale młodzież to jest nasza przyszłość. Ponieważ sam nie mam szczęścia potomstwa, czuję się zobowiązany do służby kontroli takich osób jak Pani. Mam także personalne uwagi pod Pani adresem wypowiadania się. Zebrawszy to wszystko, liczę na konstruktywny kontakt celem przedstawienia moich uwag. Z szacunkiem”.

Rynek Główny, Kraków, instalacja igrzysk. przejść się nie da, trza okrążyć, ale się przysiada z notesem i zbiera: „Komu podoba się Kraków, ręce do góry! O, to są właśnie Polacy, ręce do góry! I od razu las rąk, Polacy! Dajcie mi tu entuzjazm, Polacy, niech Polacy was usłyszą, Polacy! Jesteśmy radośni, że dziś mamy okazję! Teraz widzę, na boku dochodzą kolejni państwo! Widzę również inne narodowości! Polacy! Okażcie radość! Niech nas zobaczą!”. pauza. „Nadciągają roześmiane twarze! Wy to potraficie, Polacy! Pokażcie twarze iiiii: ręce do góry!”.

Ulubiony sklep-rupieciarnia przy Konduktorskiej. dziś przecena: „Kołdry letnie” i „Karty Magic” za pół ceny. wchodzę. przede mną kobieta negocjuje: „a jakbym wzięła letnią kołdrę, to karty za darmo?”. „nie, pół ceny”. „a one działają?”. „na co?”. „na przyszłość”. „aaa, wie pani, ja pani dam specjalny wazon ezoteryczny”. „y?”. „zalepi pani tę dziurę i można wróżyć. pół ceny”. ©

PODESZLIŚMY, ZADZIWIENI NIEZWYKŁYM BRZEMIENIEM, JAKIE DŹWIGAŁ ÓW CZŁOWIEK. OBJAŚNIŁ, ŻE OD ZAWSZE LUBIŁ WSŁUCHIWAĆ SIĘ W SZUM MUSZLI, WIĘC PRZYCZEPIŁ SOBIE DO USZU GĄSIORY, KTÓRE DAJĄ SZUM GŁĘBSZY I BARDZIEJ UWODZICIELSKI.

KULTURA

PAN WRZĄTEK

Na spotkaniu autorskim spytano Sieńczyka, skąd wziął pomysł na opowieść o człowieku, który dla złagodzenia cierpienia kociąt chodził wokół nich, by pchły przeskoczyły na jego łydki. Tak, to był sam Sieńczyk.

WOJCIECH ALBIŃSKI

Kto nie zna takiego poziomu wstrętu wobec rzeczywistości, że aż nie chce się niczego dotykać, niczemu oddawać i z nikim gadać? Nogi drżą, ręce się pocą, źrenice zwężają z odrazy, napięcie blokuje całe ciało. Brzmi znajomo? Znam jednak prosty sposób na to, jak być i przeżyć w takim stanie. Obiecuję: niczego nie trzeba będzie dotykać poza jedną książką, nowym albumem graficznym Macieja Sieńczyka „Spotkanie po latach" (chodzi tu tak naprawdę o spotkanie z rzeczywistością).

Gdyby zaś kogoś stan dogłębnego poirytowania i złośliwej zgryzoty, „nienawistki", „podniechcenia" karmił, to również zalecam Sieńczyka. Albumy tego artysty, włącznie z ostatnim, dają bowiem nieskończoną ilość amunicji przeciwko światu.

Na początku lektury pojawia się śmiech, bo autor swoją bombastyczną, sardoniczną, pękatą karykaturą ośmiesza wszystkich, jak leci, a już najbardziej tzw. klasę czytającą, czyli nas. Ale potem zaczyna być widać, jak żrące od sarkazmu historie przegryzają się przez kartki. Aż wreszcie, pod warstewką liryzmu, pojawia się wyraźnie kanciastość świata i leniwa zgoda na wszystko, co i tak musi być. W tym właśnie miejscu, nad białą kartką, ślęczy nasz rysownik i wtłacza to, co w świecie dziwne i nieadekwatne, w proste komiksowe formy. Skąd u niego taka wrażliwość?

Reprodukcje z albumu „Spotkanie po latach" dzięki uprzejmosci autora i Wydawnictwa Literackiego

Zbieracz z Pragi

Maciej Sieńczyk urodził się w 1972 r. w Lublinie, skończył Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie i od początku lat 90. obecny był na stołecznej scenie artystycznej. Przez przyjaźń z Pawłem Duninem-Wąsowiczem związał się z pismem „Lampa" i wydawnictwem Lampa i Iskra Boża. Ilustrował książki Adama Wiedemanna, Michała Witkowskiego, Doroty Masłowskiej, co mocno wskazuje na jego związek z nową wrażliwością końca lat tysięcznych. Obecnie jego ilustracje wystawiane są w galerii aTak, a wcześniej – w galerii Raster, która mieściła u siebie wydawnictwo Lampy.

Miejsce, a przede wszystkim działania wydawnictwa (i osobno galerii) obrosły legendą. Zwykle narzeka się na odseparowanie środowisk artystycznych, ale tam, w jednym miejscu, na przełomie wieków można było spotkać debiutujących Dorotę Masłowską, Jakuba Żulczyka, malarzy grupy Ładnie, warszawskich poetów i oryginałów. Jak głoszą miejskie legendy, obrazy Sasnala stały oparte o kuchenkę, na której coś zawzięcie i na oleju pichcił Dunin-Wąsowicz, obok tworzono kadrę do piłkarzyków. A wszyscy czuli się tam jak w schronie, nad którym krążyły egzemplarze prasy w milionowych nakładach i miraże czekającego wszystkich bogactwa.

Sieńczyk, gdy przyglądać się dziś jego wizerunkowi i filmom, które publikuje w mediach społecznościowych, zachował coś z tego ducha przekory i dystansu. Emploi artysty wskazuje na człowieka bez zamiłowań artystycznych; statystycznego, raczej skromnego bliźniego z warszawskiej Pragi. Czy to obrona przed – jak kiedyś powiedział – „korozją charakteru", którą przynosi zainteresowanie mediów? Czy raczej wynik ciśnień sprzed dwóch i więcej dekad, gdy wszystko mogło być prawdziwe, ale nie nadciągające bogactwo i sława? Trudno powiedzieć.

Mimo tych starań jego renoma rośnie. Wśród chcących uchodzić za kulturalnych Sieńczyk znany jest powszechnie, ale często nieświadomie, choćby z ilustracji (sam nie wiem, co tak pociąga zamawiających) w prasie kolorowej. Mniej znany jest z nieoczywistych zamiłowań kolekcjonerskich. Otóż Sieńczyk bez opamiętania grzebie w śmietnikach. Swego czasu zbierał protezy nóg, specjalizuje się także w plakatach z okresu PRL poświęconych bezpieczeństwu i higienie pracy. Nie wzgardzi też okazjonalnym, socjalistycznym drukiem i dziwnym przedmiotem. Słowem: oddany jest zepsutemu campowi sprzed dekad. Niedawno w mediach społecznościowych chwalił się wejściem w posiadanie skajowego etui z czasów PRL. Na kapcie.

Kocopały

Największą część dzieła Sieńczyka stanowią albumy komiksowe (albo powieści ↦

↦ graficzne): „Hydriola” (2005), „Wrzątkun” (2009), „Przygody na bezludnej wyspie” (2012, pierwszy w historii komiks nominowany do Nagrody Nike) oraz wydane właśnie „Spotkanie po latach”. Wszystkie, poza ostatnim, opublikowało wydawnictwo Lampa i Iskra Boża, zbierając drukowane wcześniej w należącym do wydawnictwa piśmie „Lampa” komiksy, przetworzone tak, by pasowały do łączących je albumowych, narracyjnych ram.

Od powieści graficznych Sieńczyka nie odróżnia się klimatem wydana przez niego proza „Wśród przyjaciół” (2016), która, podobnie jak albumy, rozpada się w plątaninę samodzielnych, amorficznych historii (co wydawcy tłumaczyli swego czasu podobieństwem utworu do „Dekameronu”). Książka, warto zauważyć, choć wydana przed pandemią, antycypuje covidową izolację. Odwrócony „Dekameron” Sieńczyka to opowieści o śmierci i rozkładających się ciałach starców w nieodwiedzanych przez bliskich domach.

Najnowszy album zaczyna się od zwyczajnej towarzyskiej wizyty: „dawni znajomi kupili nowe mieszkanie i zapragnęli, abym ich odwiedził” – wyznaje narrator (i możliwe alter ego autora). Na drugiej planszy rusza już anegdota: „Chcesz pewnie opowiedzieć historię zatytułowaną »ręce«? – zapytała [znajoma], na co [znajomy] przytaknął samym opuszczeniem powiek”. Opuszczeniem powiek! No jasne, tak się przecież komunikują wrażliwi ludzie.

O czym jest ta historia? O sztucznych rękach, które wkłada się do rękawów tak, by wyglądały jak prawdziwe. To ręce, „które pozwalają grać na pianinie osobom pozbawionym wszelkich zdolności”. Czy już jest śmiesznie, czy jeszcze tylko troszkę dziwnie?

Kolejna anegdota, stronę dalej. O nudnym mężczyźnie, który „wydzwaniał do wszystkich i opowiadał o znakomitości swojej i swojej rodziny, aż... dostał mleka” i wszyscy go pokochali. Narrator nazywa tę postać laktosem i kwituje odmianę jego losu słowami: „w naszej kulturze nawet ludziom o zatwardziałych sercach uginają się nogi przed powagą macierzyństwa”. Ktoś parsknął ze śmiechu?

Albo początek innego albumu, weźmy takie „Przygody na bezludnej wyspie”: „Pewnego razu siedziałem w fotelu, porządkując swoje pamiątki. Wreszcie po-

ARCHIWUM PRYWATNE MACIEJA SIEŃCZYKA

MACIEJ SIEŃCZYK *jest rysownikiem, autorem powieści graficznych, pisarzem. Od początku swojej twórczości związany z miesięcznikiem „Lampa”, i wydawnictwem Lampa i Iskra Boża. W 2013 r. jako pierwszy w historii twórca komiksu został nominowany do Nagrody Literackiej Nike i znalazł się w finale.*

„Spotkanie po latach” Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023

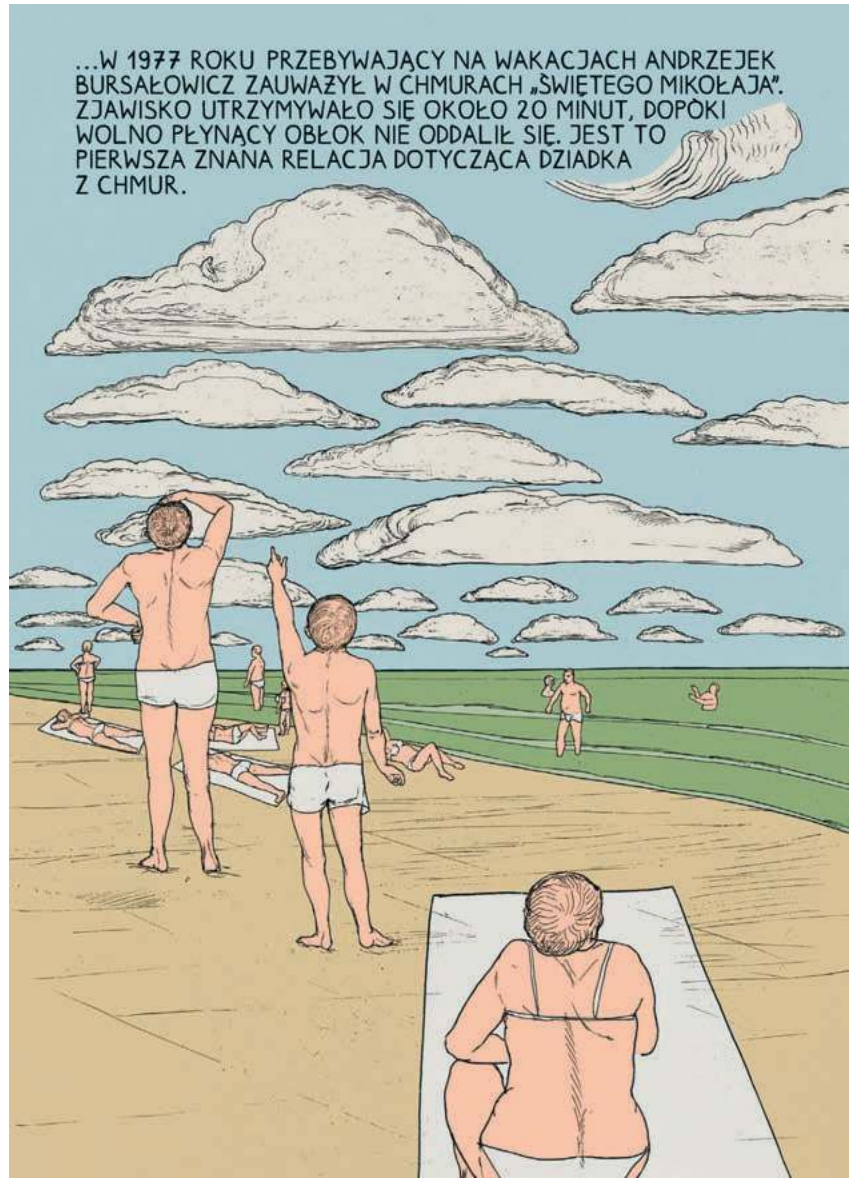

czułem znużenie i głowa mi opadła na miękkie oparcie. (...) Zbudziło mnie ciche pukanie. Za drzwiami na wycieraczce leżał podniszczony zeszyt zatytułowany »Przygody na bezludnej wyspie«". W ten oto sposób narrator trafia do historii, w której bohater znalezionego zeszytu zaciągnął się na statek płynący do egzotycznych krajów.

Na pokładzie witają go tak: „Przypomina pan mojego znajomego, który nagle zachorował. Na początku było lekkie pieczenie, a potem zaczęły wypływać z niego krwawe glutki...". Zero zdziwienia. Bohater ma gotową odpowiedź: „Gdyby pana znajomy potraktował owo pieczenie obojętnie, na pewno nie przybrałoby tak groźnej postaci. Organizm czuje, kiedy się boimy, i wówczas pozwala sobie na więcej". I tak dalej, temu podobne kocopoły, od których śmiać się można, aż do przykrych zmian w mimice twarzy zwiastujących utrwaloną złośliwość.

Kurz śpiewak

Sieńczyk się jednak nie krzywi. Jak wytrzymuje bez śmiechu? Swego czasu przyznawał się do fascynacji Raymondem Rousselem, francuskim pisarzem z przełomu wieków, protoplastą surrealistów. Roussel znany jest z wymyślnego sposobu budowania zdań i obrazów, zupełnie przejrzystego, opartego na matematyce sylab czy głosek, dającego przez to najdziwniejsze zestawienia słów i wynikających z nich obrazów, jakby bez pośrednictwa autora. Wśród bohaterów Sieńczykowych historii znajdziemy zatem wspomnianego laktosa, ale też wrzątkuna, czyli dzieciaka, który mógł żyć tylko we wrzątku, agrona – postać z podmiejskich działek, czy chlebieja – zawstydzającego ludzi niecałujących chleba, ale też inne równie ciekawe postacie. Język zniesie wszystko.

Skoro pojawił się komizm, warto poznać inne jego barwy. W „Słowniku komunałów" Gustave Flaubert twierdzi, że zapisał „Wszystko, co należy mówić w towarzystwie, aby być człowiekiem przyzwoitym i sympatycznym". I tak dla przykładu: „Biblia – to najstarsza książka świata", „Kozacy – jedzą świece", „Musztarda – to ruina żołądka". Podobny posmak ironii, nawet bardziej zjadliwej przez swoją dyskrecję, czuje się u Sieńczyka, gdy wypowiada się o końcu parytetu złota, poppsychologicznych problemach z negowaniem sygnałów z ciała, które „pozwala sobie na więcej", i obśmianiu niemal każdej poważnej sprawy dyskutowanej przez nas „w towarzystwie" na co dzień. Sprawa taka doznaje wtedy lekkiego *désintéressement*, by w końcu, przez wstyd albo inne licho, już nikt nie zawracał nią sobie gitary. Za przykład niech posłuży poletko permakultury i takie oto zagadnienie: „czy gdyby podlewać grządki wodą suto zaprawioną miodem, można by uzyskać wyjątkowo słodkie owoce"?

Owszem, okrucieństwo autora wobec ludzkich przywar daje opowieści moc, ale jest ono zaledwie przedsmakiem prawdziwej radości z lektury. Otóż Sieńczyk to autor romantyczny. Głęboko uczuciowy i wrażliwy. Z tego właśnie zasobu należy czerpać, gdy wchodzimy w stan wrzenia, w którym stale przebywać musi wspomniany już wrzątkun. Ba! On bez zanurzenia w gotującej wodzie nie przeżyje. Czy to nie genialna metafora naszych czasów: FOMO, ADD, ADHD, PTSD itd.? Co zatem wymyśla na takie *dictum* stwórca wrzątkuna? Maszynę-zbiornik, która pozwoli mu w tym wrzątku żyć i funkcjonować jak w czajniku. Śmieszne? A może też trochę surrealistyczne, a nawet liryczne? Ktoś delikatnie z tej wrzącej wody podaje nam pomocną dłoń.

Pierwszy raz złapałem to wrażenie, proszę się nie śmiać, gdy bohater Sieńczyka opisał nużące zazwyczaj sprzątanie: „Aby zamiatanie posuwało się szybciej, wyobraziłem sobie, że paproszki i drobiny kurzu śpiewają" – obok oczywiście ↦

↦ rysunek śpiewających kurzków. W tegorocznym albumie pojawiają się także niekochani mężczyźni i kobiety. „Czy rzeczywiście czuła się pani aż tak bardzo niekochana? O tak – odpowiada kobieta – niekochaniem mnie można by wybrukować wszystkie piekła obojętności”.

Na spotkaniu autorskim spytano Sieńczyka, skąd się wziął pomysł na opowieść o człowieku, który w celu złagodzenia cierpienia kociąt chodzi wokół nich, by ich pchły przeskoczyły na jego łydki. Tak. To był sam Sieńczyk.

Wstyd i woda

Jeśli dotąd w odniesieniu do pomysłów rysownika padały nazwiska francuskich mistrzów stylu i wyobraźni, należy podkreślić, że sam Sieńczyk jest erudytą, a źródeł jego inspiracji można szukać właściwie wszędzie: u Edgara Allana Poego, w absurdach socjalistycznych druków ulotnych czy też wśród drugiego garnituru niemieckich romantyków (fantastyczne postacie, zmyślone awantury). Ale przychodzi mi do głowy jeszcze amerykańska psycholożka Brené Brown. Wstyd, o którym u niej czytamy, jest praktykowany przez samego Sieńczyka w jego opowieściach: przeżyć, ujawnić, być autentycznym. Współczesna psychologia podpowiada, że jesteśmy absurdalni, a większość z tego, co robimy, to automatyzmy. Tym cenniejsze są momenty, gdy automatyzm się na moment zacina. Jest wtedy dziwnie, ale za to można się rozejrzeć.

Proszę spojrzeć na ilość wody przelewającej się na planszach tych komiksów (na okładkach trzech z czterech jest woda) – jest jej tyle, że powinna nas utopić. To wszystko symbolizuje nieświadome, wyparte, wstydliwe. A Sieńczyk uczy nas, jak w tym pływać. Nie terapeutycznie, bynajmniej. Gdy kultura zamienia się w terapię, autor proponuje, by traktować tę kanciastą rzeczywistość jako źródło (tak, znowu woda) rozkoszy, życia i energii. Zastanówmy się np., dlaczego „Pan Żaróweczka” ze „Spotkania po latach”, zwany tak od ilości kropel potu na skórze, zaczął pięknie pachnieć po pięćdziesiątce i dlaczego pokochało go nagle całe miasto?

Sieńczyk zaczynał rysować w latach 90. Z tamtego czasu został nam w pamięci wszechobecny parnasizm (Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Wisława Szymborska) ścinany przez autorów pisma „Brulion” i Totart, co miało później swój ciąg dalszy w banalizmie forsowanym przez Pawła Dunina-Wąsowicza i gorączkowych poszukiwaniach autentyczności: *à rebours*, przez szyderstwo, po swojemu. Na tamtą rzeczywistość, „z krainy pazłotka”, będąc poważnym człowiekiem, można się było tylko obrazić. Albo walczyć – ironią, banałem, postmodernizmem. Ale Sieńczyk używając takich właśnie sposobów (ilustrował przecież wszystkie ówczesne ironie), po dwudziestu latach ich destylacji doszedł do odmiennych wniosków. Może w Polsce jednak coś się zmieniło, może nie ma sensu być wiecznym partyzantem? Rzeczywistość nabrała nagle słodszego smaku. Jakiego dokładnie?

Grona

Gdy patrzę na wyraz graficzny plansz, ich kompozycje, albo nawet na same ich kolory, przychodzi mi do głowy metafora z autobiograficznej prozy Mircei Eliadego. Autor śni, budzi się, coś wspomina i nagle „czuje, jakby znalazł się we wnętrzu winogrona”. Rumuński antropolog, znawca i syntetyzator tysięcy lat kultury, nie traci kontaktu z bazą: rodzimą przyrodą, jej słodyczą i słońcem. Domem. Sieńczyk podobnie wrzuca nas do wnętrza winogrona. Na każdej stronie jego rysunków jest zielono, brązowo i onirycznie.

Tak proszę potraktować te komiksy – każdy z nich to niby drobna rzecz (najnowszy jest największy) i czyta się je mniej więcej tak długo, jak zjada kiść winogron. Jedna strona, jedna historyjka, jedno gronko. Winogrona mogą być rodzime, nawet powinny być polskie, co ułatwia nam ocieplenie klimatu. Lektura będzie trochę kwaśna, momentami słodkawa, niby przykra, a przecież radosna, ale już sam ten nierówny smak płynący ze wszystkich stron, jak glukoza płynąca do krwi, przynosi zmianę spojrzenia.

Krzywouści zrozumieją w lot: „złość jest energią”, której poziom w końcu zmusza do działania. Melancholicy – też, bo: „energia jest wieczną radością”. Wszystko dzięki nieco idiotycznemu, a trochę prostodusznemu spojrzeniu na świat. Jeśli Sieńczyk miałby kandydować do Nobla, to może zacząć od pokojowego.

© WOJCIECH ALBIŃSKI

Niewdzięczny kraj

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z HAJFY

Z pisarki przybliżającej czytelnikom codzienność życia w Izraelu Zeruya Shalev stała się głosem obywatelskiej opozycji wobec najbardziej prawicowego rządu w historii kraju.

Są różne sposoby pisania. Niektórzy planują fabułę z dużą skrupulatnością, rozpisując ją na dziesiątki karteczek. Zeruya Shalev, jedna z najlepszych i najchętniej tłumaczonych obecnie pisarek Izraela, pracuje inaczej. Pomysły rodzą się spontanicznie, a najważniejszym materiałem pisarskim jest dla niej instynkt.

– Pisanie jest dla mnie jak nocna jazda przy na wpół zgaszonych światłach, bo nie chcę od razu znać zakończenia, nie chcę widzieć za daleko. Piszę, nie wiedząc jeszcze, co powstanie, dokąd idę, i dopiero w toku pracy zaczynam rozumieć i kontynuuję. Nie planuję swoich książek, bo to nie ma sensu – mówi Zeruya, gdy rozmawiamy w Izraelu wkrótce po polskiej premierze jej ostatniej książki „Los”. Autorką tłumaczenia – a także przekładu poprzedniej książki „Ból” – jest Magdalena Sommer. To pierwsza książka Shalev pisana po jej przeprowadzce z Jerozolimy do Hajfy, co nie jest bez znaczenia dla fabuły „Losu”. Gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy w 2016 r., Zeruya właśnie zaczynała ją tworzyć, a atmosfera nadmorskiego miasta – otwartego, słynącego z arabsko-żydowskiej koegzystencji, znacznie spokojniejszego niż kipiąca od emocji Jerozolima – zdawała się temu sprzyjać. Siedem lat później rzeczywistość Izraela wygląda inaczej: społecznie, a także politycznie.

GAWRISCH / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Zeruya Shalev

Zmieniła się też sama Zeruya: – Nie umiem powiedzieć, że dobrze poznałam moje nowe miasto. Zresztą proces pisania „Losu" mnie pochłonął, był dużo bardziej dramatyczny niż w przypadku poprzednich książek. Miałam momenty walki z moimi bohaterami i historią. Na początku sądziłam w ogóle, że piszę krótki artykuł. I wtedy nagle Rachel zapukała do moich drzwi. Zupełnie jak w książce.

Pionierzy

Rachel, najstarsza z bohaterek książki, bojowniczka o wolność Izraela z 1947 r. z ramienia Lechi – militarnej żydowskiej organizacji podziemnej – mieszka samotnie na południu Izraela, odwiedzana przez ultraortodoksyjnego syna i – dużo rzadziej – przez drugiego, rozczarowanego ich relacją.

Pewnego dnia Rachel odwiedza wyjątkowy gość: Atara, córka jej pierwszego męża Mano, wielkiej miłości, który rok po ślubie zdecydował się uciąć z młodą żoną wszelkie kontakty. Dla Rachel to wielka, ledwo zabliźniona rana. Atara z kolei stara się zrozumieć, kim jest owa Rachel, której imię wymówił przy niej ojciec w ostatnim okresie swojego życia. Z pomocą detektywa dociera do staruszki – i w tym momencie opowieść zaczyna się na dobre.

Rachel i Atara to postaci na dwóch biegunach izraelskiego społeczeństwa i polityki – choć trzeba podkreślić, że Zeruya odchodzi od klasycznych kryteriów podziału na „lewicę" i „prawicę". Ale nie ukrywa, że w procesie twórczym to postać Rachel stanowiła dla niej największe wyzwanie.

– Gdy piszesz, wyobraźnia jest tak rozbudzona i żywa, że fabuła wydaje się pokrywać z rzeczywistością. Rachel, niemalże namacalna, przyszła do mnie i poprosiła o obecność w tej książce. Chwilę mi zajęło, zanim ją zaakceptowałam, bo nigdy nie miałam do czynienia z aż tak ideologicznie jednoznaczną postacią. Byłam nią nawet trochę zirytowana. Jestem podejrzliwa wobec fanatyków, ekstremistów, ludzi, którzy bardziej kochają ideologie niż swoich bliskich, a jako bojowniczka Lechi Rachel taka właśnie jest. Bałam się, że sobie z nią nie poradzę, i nie byłam pewna, czy mogę spędzić z nią wiele lat, potrzebnych do skończenia książki. Trudno mi się z nią było identyfikować, dużo czasu zajęło mi poznanie jej. Ale naciskała, była uparta, bardziej niż ja, i w końcu dopięła swego – opowiada Zeruya.

Shalev sięga do szczególnego wątku w historii Izraela: działań żydowskich organizacji partyzanckich sprzed powstania państwa, walczących z Brytyjczykami i dopuszczających się aktów terroru. Jest to też wątek, który częściowo łączy się z jej rodzinną historią: ojciec Shalev był bojownikiem Lechi.

We współczesnym Izraelu historię organizacji poddaje się rewizji (jak wiele innych wątków historycznych). Prawica, która chętnie wraca do okresu walk o niepodległość państwa, wychwala postawę bojowników. Paradoksalnie, bo często powtarza się, że członkowie organizacji mieli nadzieję na ułożenie się z arabskimi sąsiadami, wierzyli, że relacje z nimi naprawią się, gdy tylko Brytyjczycy opuszczą kraj. To wizja bardzo odległa i wręcz sprzeczna z wyobrażeniami tych, którzy dziś rządzą w Izraelu. Shalev, wplatając historię miłosną Rachel i Mano w wątek partyzantki, zadaje pytanie o przeszłość – a tym samym również o teraźniejszość i przyszłość swojego kraju.

– Pochodzę z rodziny pionierów. Moi dziadkowie przyjechali do Izraela z Polski i z Rosji na początku XX w. Oczywiście mieli inny obraz przyszłego państwa. Moi rodzice, dzieci tych pionierów, walczyli za Izrael, dla nich największym doświadczeniem była wojna o niepodległość, walka o państwo i budowanie go, bazując na zupełnie innej wizji niż to, co dziś tutaj mamy – mówi Shalev.

Trzy strony

Po raz pierwszy w historii swojego pisarstwa nie unika pytań o przyszłość kraju ↦

↦ i politykę. „Los” miał swoją izraelską premierę w 2021 r. Właśnie teraz jednak, po dojściu do władzy najbardziej prawicowego rządu w historii Izraela i rozpoczęciu wielkich manifestacji, które nieustannie trwają od stycznia, trafia na swój moment.

A Shalev z pisarki unikającej tematów politycznych, przybliżającej czytelnikom codzienność życia w Izraelu i uniwersalność problemów, z jakimi borykają się jego obywatele, stała się jednym z głosów opozycji.

– Gdy zaczynałam pisać tę książkę, nie mogłam przewidzieć, jak daleko zajdą zmiany. Wtedy jeszcze tak bardzo się nimi nie przejmowałam, byłam bardzo zajęta burzliwymi latami 1947-48. Dziś jestem zaskoczona tym, że książka w pewien sposób komentuje to, co się w kraju stało; nie byłam tego świadoma podczas pisania – mówi Zeruya.

Gdy w styczniu rząd podjął się reformy, czy – jak twierdzą przeciwnicy – przejęcia systemu sądowniczego, niechęć pisarki do komentowania polityki zniknęła:

– Stałam się całkiem polityczna. Piszę artykuły, demonstruję, opowiadam, zarówno w Izraelu, jak i poza jego granicami – przyznaje Shalev. – Bo w tej chwili my, pisarze, nie mamy już tego luksusu, żeby kontynuować życie z literaturą. Bez demokracji nie ma literatury. Dlatego czuję, że to mój obywatelski obowiązek. Niestety, ciężko jest pisać, gdy człowiek zajmuje się polityką. Zaczęłam pisać nową książkę, ale przestałam na jakiś czas. Mam równo trzy strony – dodaje.

W „Losie” bieg historii i zmiany społeczne nie tyle są tłem, ile wręcz wchodzą w splot z osobistymi dramatami Rachel, Atary i ich rodzin. I nie jest to wyłącznie zamysł autorki: w niewielkim, dziewięciomilionowym Izraelu relacje społeczne w dużej mierze opierają się na pokrewieństwie. A państwo, niczym głowa rodziny, chce chronić domowników przed realnym zagrożeniem. Siła, skierowana na zewnątrz, może jednak ulec wypaczeniu i dotknąć tych, o których powinna się troszczyć.

ZERUYA SHALEV:

Premier Netanjahu uprawia rodzaj przemocy domowej. Karze swoje państwo za podejrzliwość wobec niego. On był krajowi oddany przez wiele lat, a kraj jest niewdzięczny. Dlatego jest gotowy go zniszczyć.

– W ostatnich miesiącach odnotowujemy w Izraelu wiele przypadków przemocy domowej. Sytuacji, w których ktoś jest krzywdzony przez najbliższych sobie ludzi. Pomieszanie porządków. To poczucie, wynikające z perspektywy kraju jako modelu rodziny, towarzyszy nam tutaj od kilku lat. Model relacji pomiędzy liderem i społeczeństwem jest jak tragiczna historia miłosna. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to, co premier Beniamin Netanjahu robi nam w tej chwili, to rodzaj przemocy domowej. Karze swoje państwo za podejrzliwość wobec niego [wobec premiera toczy się od lat proces korupcyjny – red.]. To tragiczna i pełna przemocy historia miłosna: on był krajowi oddany przez wiele lat, a kraj okazał się wobec niego niewdzięczny, i dlatego jest gotowy go zniszczyć – uważa Zeruya Shalev.

Zawodowy dylemat, przed którym staje Atara – czy zachować architektoniczną spójność zabytkowego domu, czy złamać ją i przystosować do współczesnych wymagań budowlanych, wymagających wybudowania schronu w każdym izraelskim mieszkaniu – jest bardzo symboliczny. Izrael-dom, który ma chronić, robi tak pod warunkiem rezygnacji z pierwotnych ideałów.

Wyjścia

Wobec wszystkiego, co tu napisano, trudno jednak oczekiwać od „Losu” jednoznacznej odpowiedzi na pytanie, co dalej.

– Jeden z bohaterów decyduje się na powrót do religijności w ortodoksyjnym wymiarze. To droga, której ja osobiście nie popieram, wręcz boję się jej. Jest inny sposób eskapizmu: wyjazd z kraju, na który decyduje się inna z bohaterek. Rodzi się pytanie: jeśli wszyscy wyjadą, to kto zostanie w tym zsekularyzowanym, demokratycznym, liberalnym społeczeństwie? – zastanawia się Shalev. – Książka może pokazać religijność jako rozwiązanie, ale ja tego nie popieram. Wynika z tego, że „Los” mówi innym głosem niż ja. Ale nie mam z tym problemu. Chciałam pokazać opcje i zagrożenia w narodowym i osobistym aspekcie. I nie mam na te dylematy gotowej odpowiedzi. Myślę, że jestem bardziej optymistyczna niż moja książka. Nie mam wątpliwości, że nasza sytuacja musi się zmienić. Że to nie jest państwo, o którym śniliśmy, o które walczyli nasi przodkowie. Ale wciąż wierzę, że możemy to naprawić.

Przede wszystkim jednak pozostaje Zeruya Shalev czułą obserwatorką kobiecej duszy. Jak mało kto potrafi opisać emocje kobiety próbującej ułożyć się z własną złością, stratą, bólem w kluczowych momentach życia. Z łagodnością i zrozumieniem tka wielowątkową historię współczesnej patchworkowej rodziny, w której historie przodków kształtują przyszłość potomków i ich dzieci. Jak sama podkreśla, wierzy, że literatura ma zbawczą moc ukazywania złożoności świata ludzkich emocji – i „Los” jest tego obrazem.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku pod sygn. akt I Ns 141/23 toczy się postępowanie z wniosku Bernarda Jayko o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Sanoku obręb Posada, a składającej się z działek oznaczonych numerami ewidencyjnymi:
– 1651/1 o powierzchni 0,0205 ha, która odpowiada parceli budowlanej nr 3194/1 gm. kat. Sanok III – objętej wykazem hipotecznym Lwh 716 Sanok III
– 1651/2 o powierzchni 0,0018 ha, która odpowiada działce 3193/1 gm. kat. Sanok III – objętej wykazem 191 ksiąg wieczystych dla Gminy Sanok III.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności Teklę Siemińską, Marię Kot, Jana Dżugana, Annę Dżugan, Włodzimierza Dżugana, Kazimierza Dżugana, Michała Dżugana, Stanisława Dżugana, Teodorę Przystasz, Stanisława Przystasza, Teofilę Solecką – lub ich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

STEPHANIE KEITH / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Przedstawiciele Amerykańskiej Gildii Scenarzystów domagają się wyższych płac. Protest przed siedzibą NBCUniversal. Nowy Jork, 23 maja 2023 r.

Czarny scenariusz

MICHAŁ WALKIEWICZ

Kwestia regulacji zasad wykorzystywania sztucznej inteligencji jest dzisiaj kluczowa. Władze dużych studiów filmowych chciałyby utrzymać przy sobie scenarzystów, a jednocześnie przyspieszyć automatyzację procesu pisania.

Jest zdanie, które tak dobrze oddaje naturę amerykańskiego biznesu filmowego, że powinno być wyryte na deptaku w Alei Gwiazd. Vito Russo, historyk filmu i aktywista, stwierdził: „W Hollywood nie ma »jutra«. Jest tylko »wczoraj« w wiecznej pogoni za »dzisiaj«".

Wczoraj do drzwi Fabryki Snów zapukały serwisy streamingowe i sztuczna inteligencja. Dzisiaj z powodu nieuregulowanych tantiem z internetu oraz strachu przed automatyzacją pracy na ulicę wyszli scenarzyści filmowi. Jutro efektem może być gospodarcza zapaść całego regionu. Zrzeszeni w Amerykańskiej Gildii Scenarzystów autorzy organizują strajk, prezydent Biden wzywa hollywoodzki establishment do uczciwości wobec pracowników, a kolejne filmy, seriale i programy telewizyjne trafiają do zamrażarki. To może być najrozleglejszy paraliż amerykańskiego przemysłu filmowego od ponad piętnastu lat, nie licząc pandemii, której skutki wciąż trudno zmierzyć. Im dłużej zaś trwa oraz im więcej związków zawodowych bierze w nim udział – już 12 lipca do strajku dołączy najpewniej Gildia Aktorów – tym większa szansa, że na trwałe zmieni krajobraz filmowej kultury.

Wschód-Zachód

Podobno da się nakręcić słaby film na podstawie dobrego scenariusza. Nie da się jednak nakręcić dobrego filmu na podstawie słabego scenariusza. W trakcie poprzedniego strajku w 2007 r. podobne refleksje o naturze tego medium były zbędne, ponieważ większość filmów kręcono... bez scenariusza. Tak powstało „007 Quantum of Solace", czyli 22. odsłona przygód Jamesa Bonda, a także „Transformers: Zemsta upadłych", sequel kasowego hitu Michaela Baya, oraz cała masa seriali, w których kurtyna zapadała w środku przedstawienia.

Trwający wtedy ponad trzy miesiące strajk miał realny wpływ na gospodarkę, kosztował Kalifornię ponad 2 miliardy dolarów i 38 tysięcy miejsc pracy. W tym roku za wcześnie na estymacje, lecz według optymistycznych kalkulacji magazynu „Vanity Fair" impas może potrwać aż do jesieni, a kto wie, być może zakończy go dopiero wizyta Świętego Mikołaja.

Z perspektywy czysto kulturowej strajk jest opowieścią o niedostatecznej medialnej ekspozycji scenarzystów oraz ich faktycznej roli w procesie powstawania filmu. W wywiadzie z magazynem „Esquire" zmarły przed dwoma tygodniami weteran aktorstwa Alan Arkin mówił: „Hollywood to dziwaczne miejsce. Klasowa struktura jest tam mocniej utrwalona niż gdziekolwiek indziej. Tyle że nie można jej dostrzec, gdyż stale się zmienia. Nigdy nie wiesz, do której klasy przynależysz – chyba że jesteś jedną z niewielu osób, która wytrwała w tym samym eszelonie przez lata".

Zrzeszająca autorów Amerykańska Gildia Scenarzystów (WGA) ma podobnej ↦

↦ strukturyzacji zapobiegać. Ta hybrydowa organizacja zakorzenia się symbolicznie pomiędzy Wschodem (WGA-E) i Zachodem (WGA-W), między Nowym Jorkiem i Los Angeles. Jej narodziny sięgają początków XX wieku oraz prenatalnego okresu systemu studyjnego. Po jednej stronie kraju zrzeszyli się pisarze i dramaturdzy, a po drugiej hollywoodzcy scenarzyści rozczarowani obniżkami płac w wielkich studiach filmowych, tzw. majorsach.

W trakcie swojej ponad stuletniej historii Gildia rozpadała się na mniejsze związki zawodowe i choć zwykle jej podmioty działają niezależnie, to też mają swoje Kolegium Szefów Połączonych Sztabów. Czasem spotykają się, by wręczyć prestiżowe nagrody w trakcie oscarowego wyścigu. Kiedy indziej – by mówić jednym głosem w trakcie strajku. Stroną w sporze jest natomiast Stowarzyszenie Producentów Filmowych i Telewizyjnych (AMPTP), zrzeszenie blisko 350 firm producenckich, studiów filmowych, podmiotów producencko-dystrybucyjnych oraz serwisów streamingowych, zatrudniające oraz negocjujące warunki pracy ze związkami zawodowymi wszelkich branż: filmowej, muzycznej, rozrywkowej. I właśnie od tych negocjacji zależy przyszłość strajku.

Jako że zarządzanie kryzysem to dla hollywoodzkich decydentów chleb powszedni, trwający konflikt wpisuje się w długą tradycję podobnych sporów. Ich charakter ma związek z dwiema regularnie powracającymi narracjami – jedną o pogarszających się warunkach pracy scenarzystów i drugą o technologicznych przełomach, stawiających sens owej pracy pod znakiem zapytania. W 1960 r. protestujący walczyli o tantiemy z zyskujących coraz większą popularność produkcji telewizyjnych. W 1988 r., w trakcie najdłuższego jak dotąd, trwającego 153 dni strajku poszło o dłuższe formy serialowe, przychód z rynku kaset VHS i Betamax, a także o zakres kompetencji przy samej produkcji filmowo-telewizyjnej (autorzy chcieli większego wpływu na wybór obsad i reżyserów).

Wreszcie, w 2007 i 2008 r. w centrum uwagi strajkujących były nowe media, w tym raczkujące usługi streamingowe oraz serwisy VOD. Niemal zawsze chodziło o dochód pasywny – zapas tlenu dla autorów, którzy pomiędzy jednym tekstem a drugim musieli przecież za coś żyć.

Megakorporacje filmowe, wchłaniające kolejne podmioty producenckie, **eksploatują talent autorów ponad miarę,** co w konsekwencji prowadzi do pogorszenia jakości sztuki scenariopisarskiej.

Czerwone światło

Superbohaterskie blockbustery („Blade", „Thunderbolt"), nowe sezony prestiżowych seriali („Euforia", „The Last of Us"), *talk shows* („Jimmy Kimmel Live!"), flagowe programy telewizyjne („Saturday Night Live"), ceremonie nagród (MTV i Peabody)... Lista „ofiar" strajku nie ma końca, obejmuje zarówno anulowane bądź czasowo wstrzymane produkcje, jak i przesunięte premiery. Bezterminowego zawieszenia prac uniknęły jedynie te studia, które pracowały na ukończonych zawczasu tekstach albo zamknęły już okres zdjęciowy. Choć i w tym przypadku zdarzały się wyjątki uzasadnione zawodową solidarnością całej branży. Jako że przerwa w pracy uderza rykoszetem w inne profesje, nieformalnie do protestu dołączyli reżyserzy, operatorki, scenografowie, kostiumografki. Truizm o kinie jako owocu kolektywnego wysiłku z rzadka znajduje tak jaskrawą, symboliczną reprezentację.

Głównym przedmiotem sporu jest kwestia regulacji tantiem z internetu, głównie – z serwisów streamingowych. Do czasu ich nagłej ekspansji AMPTP gwarantowała scenarzystom płacę minimalną na mocy umów z nadawcami telewizyjnymi. W przypadku kontraktów z gigantami branży streamingowej autorzy muszą jednak negocjować indywidualne zapisy w umowach, co często prowadzi do nadużyć. Do tego dochodzi ograniczanie wielkości tzw. writers roomów, gdzie autorzy pracują nad kolejnymi sezonami popularnych produkcji (z ośmiu osób do czterech, a nawet trzech), a także skrócenie samych sezonów (kiedyś standardem były dwunasto- bądź dwudziestoczteroodcinkowe cykle, dziś większość seriali zamyka się w maksymalnie dziesięciu odcinkach).

Jasne, można się spierać, czy pod względem artystycznym taka redukcja kosztów nie przynosi lepszych rezultatów – w przeciwieństwie do kina, gdzie kryzys dostrzegalny jest również w jakości tekstów, serialowa rewolucja wciąż wydaje dorodne owoce. Na pewno jest jednak nieopłacalna dla scenarzystów. Ci życzyliby sobie obowiązkowych progów zatrudnienia we writers roomach oraz jasno wyznaczonych okresów pracy, czyli – względnego poczucia bezpieczeństwa. W skali roku członkowie Gildii zyskaliby dzięki temu 429 milionów dolarów. Dzięki kompromisowi zaproponowanemu przez AMPTP ta kwota maleje niemal pięciokrotnie.

W 2008 r., gdy strajk wchodził w decydującą fazę, jednym z kół ratunkowych dla Hollywood okazał się zaciąg zagranicznych scenarzystów – stąd chociażby zalew izraelskich formatów przerabianych na anglosaską modłę. Tym razem, pomimo obaw branżowych dziennikarzy z Hollywood, podobna sytuacja wydaje się nieprawdopodobna.

– To publicystyczne *science fiction* – ocenia Krzysztof Rak, producent filmowy i członek zarządu Gildii Scenarzystów Polskich. – Zasysanie scenarzystów z Europy to zbyt długotrwały proces, a po drodze wiele się zmieniło. Jesteśmy nieźle zorganizowani, w większości krajów funkcjonują gildie lub inne stowarzyszenia zrzeszające autorów. Federacja Scenarzystów Europejskich jest w stałym kontakcie z amerykańską Gildią. Problemy, na które światło rzuca WGA, są powszechne na wszystkich rynkach, łączą ich podobne problemy, a fundamentem tej współpracy jest pełna zawodowa solidarność.

I sprawiedliwość dla wszystkich

W „Joan jest okropna", kapitalnym odcinku nowego sezonu „Czarnego lustra", *everywoman* z dobrze sytuowanej klasy średniej staje się mimowolną bohaterką serialu fikcyjnej platformy streamingowej Streamberry (inspirowanej w znacznej mierze Netfliksem, co urasta na ekranie do rangi trzeźwej samokrytyki). Algorytmy zamieniają jej codzienność w strukturę narracyjną, wirtualna kamera korzysta przy kreacji jej postaci z cyfrowego wizerunku Salmy Hayek, a dział prawny może iść na fajrant – zakładając konto i akceptując warunki umowy, kobieta sprzedała swoje życie za bezcen. To ciekawa meta-

fora zagrożeń związanych ze sztuczną inteligencją, podbita dodatkowo przez fakt, że twórca serialu Charlie Brooker zlecił napisanie jednego z odcinków ChatowiGPT.

Właśnie kwestia regulacji zasad wykorzystywania sztucznej inteligencji jest dzisiaj kluczowa. Czym innym jest w końcu używanie jej do dokumentacji, segregacji pomysłów czy katalogowania rozmaitych referencji, a czym innym zlecanie jej zadań wymagających wyobraźni i kreatywności.

„Większość z nas jest na przyjęciu koktajlowym i udaje, że wie, o czym mowa" – mówiła na konferencji poświęconej rozwojowi SI w Hollywood wicenaczelna magazynu „Variety" Cynthia Littleton. To niezły żart, ale i trafna ocena: włodarze dużych studiów chcieliby zjeść ciastko i mieć ciastko, utrzymać przy sobie autorów, a jednocześnie przyspieszyć automatyzację procesu pisania. Chcąc nie chcąc, lamentują więc na „hamulcowych postępu". Scenarzyści nie chcą z kolei walczyć z „maszynami do plagiatów" – poprawiać tekstów wygenerowanych przez boty albo, co gorsza, oddawać maszynom własnych tekstów do poprawki. „Nie boimy się, że naszą pracę w całości będzie wykonywać ChatGPT. Boimy się tego, że będziemy brać psie pieniądze za przepisywanie czegoś, co sami napisalibyśmy lepiej" – konstatuje C. Robert Cargill, krytyk filmowy, scenarzysta filmów „Czarny telefon" oraz „Doktor Strange".

Cyfrowe repozytoria wizerunków są kością niezgody pomiędzy AMPTP a szykującymi się do jeszcze większego protestu aktorami. SAG-AFTRA, czyli Amerykańska Gildia Aktorów oraz Artystów Teatralnych i Radiowych, jest przy Gildii Scenarzystów jak słoń przy mrówce, to ponad 160 tysięcy aktorów, konferansjerów, tancerzy, DJ-ów, artystów scenicznych, kaskaderów, marionetkarzy i ludzi mediów. Stoi na ich czele kobieta, z którą nie ma żartów, czyli pamiętna serialowa „Pomoc domowa" – Fran Drescher. Żąda wyższych płac po pandemicznej zapaści, wynagrodzeń za zdalne castingi, rekompensaty za straty spowodowane inflacją, a także regulacji w zakresie wykorzystania cyfrowych wizerunków oraz głosów należących do związkowców. I o ile można wyobrazić sobie czarny scenariusz, w którym negocjacje WGA potrwają do końca roku, a z filmowego kraniku będą skapywać pojedyncze filmy, o tyle bez aktorów Hollywood będzie przypominało scenografię z odwołanej sztuki.

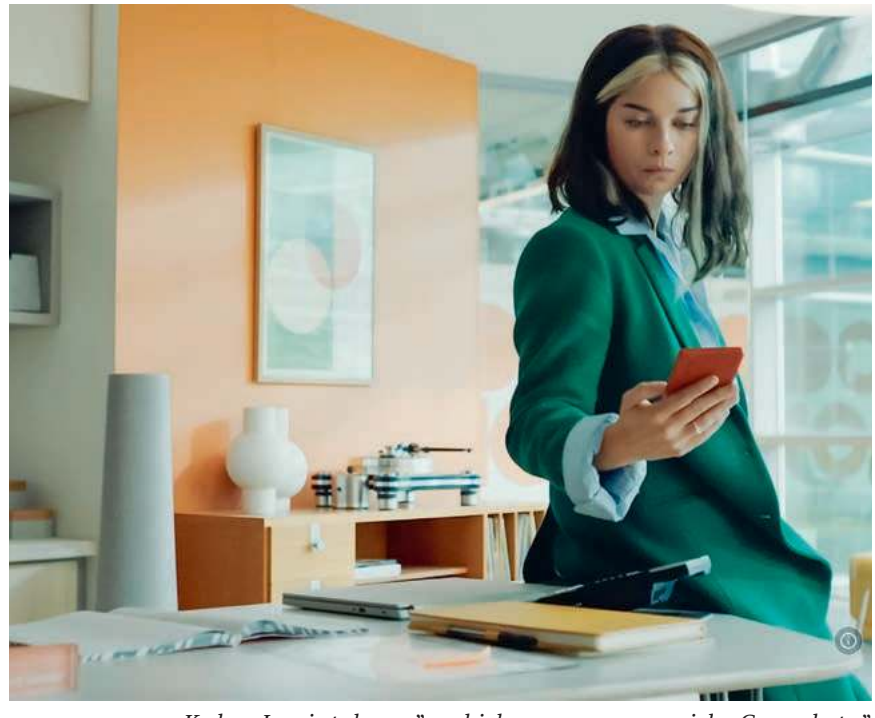

MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Kadr z „Joan jest okropna" – odcinka nowego sezonu serialu „Czarne lustro"

Kręgi na wodzie

– Mam wrażenie, że u podstaw problemu ze społecznym odbiorem naszego protestu leży niezrozumienie samego systemu tantiemizacji. Ot, znowu artystom jest za mało, znowu chcą więcej. A trzeba pamiętać, że pieniądze „przeznaczone na twórców" to również niebagatelne kwoty dla ludzi młodych, dopiero wchodzących do zawodu. To pomoc dla osób starszych, które kończą swoje kariery i nie są w stanie pracować; i to pomoc niezbędna w kontekście marnego systemu opieki socjalnej dla artystów. To tak naprawdę być albo nie być całej grupy zawodowej, dla całego środowiska – przekonuje Rak, który razem z resztą rodzimej Gildii dał wyraz solidarności z amerykańskimi scenarzystami.

Rodzime środowiska artystyczne pikietowały pod Kancelarią Prezesa Rady Ministrów. Polscy twórcy również domagają się tantiem za eksploatację ich twórczości w internecie oraz uregulowania kwestii SI. To dziś problem uniwersalny pod każdą szerokością geograficzną, choć w przypadku mniejszych kinematografii dochodzą do niego kwestie związane z popularnością anglosaskiej kultury oraz koniecznością pielęgnacji kultury lokalnej.

W Hollywood nie oddycha się tym samym powietrzem, więc i skala problemu jest zupełnie inna. Megakorporacje wchłaniające kolejne podmioty producenckie eksploatują talent autorów ponad miarę, co w konsekwencji prowadzi do pogorszenia jakości sztuki scenariopisarskiej. Wytracił się impet kina superbohaterskiego, próby dyskontowania naszej nostalgii przynoszą coraz gorszy – zarówno artystycznie, jak i finansowo – skutek, a produkcje formatowane pod nową obyczajowość spotykają się z coraz większą niechęcią widzów.

Pisze się zbyt dużo, zbyt szybko i zazwyczaj – na kolanie. I akurat z tej perspektywy podobny „restart" Fabryki Snów może przynieść kinu jakąś korzyść. Bo jak pokazuje historia, na związki zawodowe nie ma mocnych. WGA doprowadzało już do zmian w prawie autorskim, w modelach tantiemizacji, a nawet w społecznym postrzeganiu całej profesji. Kolejne strajki przychodzą jak monsuny, a gdy znów wychodzi słońce, układ sił w Hollywood okazuje się już nieco inny. Pytanie zaś, dlaczego kogokolwiek powinno to obchodzić, wydaje się retoryczne. Transmisje sportowe są przyjemne, a programy informacyjne – pożyteczne. Ale czasem po prostu chciałoby się obejrzeć coś innego.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Jazda na wstecznym

ANITA PIOTROWSKA

Dobrze czasem zobaczyć, z czego śmieją się nasi bliscy i zarazem dość odlegli kulturowo sąsiedzi. Zwłaszcza że czeskich filmów u nas ostatnio jak na lekarstwo.

Jeszcze nie tak dawno zazdrościliśmy czeskiemu kinu niemal wszystkiego – jego autentyzmu, humanizmu, surrealizmu... W tym samym czasie Czesi zazdrościli naszym filmom różnorodności, powagi, odwagi w mierzeniu się z historycznymi komplikacjami. Pewnie dlatego teraz, podczas oglądania „Sytuacji awaryjnej", gdzie Jiří Havelka znowu przygląda się z ukosa swoim ziomkom, powraca pytanie: jak wyglądałby film o pasażerach pociągu bez specjalnego nadzoru w polskim wydaniu? Bo czeskiemu filmowi szczypta smarzowszczyzny, czyli większej drapieżności i ekscesu, by nie zaszkodziła.

Bez wątpienia łączy nas brak zaufania do państwowych kolei, w tym przypadku regionalnych. Oto jednowagonowy pociąg z Kolešovic do Chrášťan staje w szczerym polu, maszynista znika bez wieści, a pojazd „autonomicznie" rusza dalej – tyle że w przeciwnym kierunku. Na dodatek nie działa w nim hamulec bezpieczeństwa, drzwi są zablokowane, telefony komórkowe zaś jak na złość odmawiają pasażerom posłuszeństwa.

Tymczasem na pokładzie mamy istną menażerię, złożoną z pozornie ogranych, acz mało przyjemnych typów. Jest więc ponure małżeństwo w kryzysie, wścibska paniusia, trzech początkujących rockmanów, samotna matka z dzieckiem, przemądrzały chłopczyk bez opieki i zapalony myśliwy. Żebyśmy nie mieli wątpliwości, iż oglądamy prawdziwy „czeski film", wśród podróżnych znalazł się także posępny właściciel zakładu pogrzebowego, kombatant z II wojny światowej czy dziewczyna z centrum handlowego przebrana za papugę.

Nic zatem dziwnego, że chociaż pojazd jedzie z prędkością pięciu kilometrów na godzinę i jest jedynym na tej trasie, reakcje na pokładzie eskalują z każdą minutą. Młodzi oglądacze horrorów dopatrują się w awarii działania sił paranormalnych, zwolennicy teorii spiskowych – zamachu terrorystycznego z udziałem arabskich islamistów. A dokąd ten uciekający pociąg zawiezie nas?

Jedną z pośrednich stacji będzie myśl nienowa, że ci wszyscy karykaturalni ludzie, prześcigający się we wzajemnych uprzedzeniach, pouczeniach i mikroagresjach, są tak naprawdę poczciwcami i będąc w krytycznym położeniu odsłonią przed nami swoją lepszą stronę. Po drodze utwierdzimy się w przekonaniu, że bez względu na domniemane niebezpieczeństwo, w jakim znaleźli się bohaterowie filmu, zawsze znajdą się tacy, którzy na „sytuacji awaryjnej" próbują zbić kapitał. Na przykład wykorzystać ją politycznie, co robi miejscowy wojewoda w związku ze zbliżającymi się wyborami, bądź zmonetyzować ją za pomocą mediów społecznościowych, jak pewna influencerka, która przypadkiem stała się świadkinią zdarzeń. W końcu lęki i lajki to dzisiaj równie cenna waluta. Tyle że obok cynicznych graczy natychmiast pojawiają się na ekranie czescy swojacy: zawiadowcy chodzący niczym w zegarku, ochotnicza straż pożarna, różnej maści sympatyczni piwosze. „Kochajmy się" i atmosfera festynu przykrywa ewentualne napięcia.

Albowiem czeski pociąg widmo nie ma na celu zmasakrować kogokolwiek i za to między innymi kochamy kino zza Olzy. Nawet zbitka tożsamościowa w postaci uwielbiającego polowania ksenofoba musi dopatrzyć się w nim równego gościa, a groteskowa zrazu mężatka, dla niepoznaki popijająca procenty z termosu, zaskoczy trzeźwością osądów i finalnie zasłuży na głębokie współczucie. Bo Havelka wzorem wielu swoich poprzedników nie tylko ociepla czy wręcz infantylizuje, ale też problematyzuje swoje postacie, w myśl wygłaszanej tu maksymy „nie oceniaj książki po okładce". I szkoda, że jego komedia nie robi tego konsekwentniej, z bardziej chwackim przegięciem. Owszem, w celebrowaniu nieistotności kryją się okruchy jakiejś prawdy o ludziach, lecz społeczno-polityczna satyra wypada nazbyt pluszowo. W polskim filmie prawdopodobnie gaz wciśnięty byłby dużo mocniej.

U Havelki cała para idzie jednak w awanturniczy szwung spod znaku „czy jedzie z nami maszynista". Twórca „Sytuacji awaryjnej" najwyraźniej nie chce, by

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

SYTUACJA AWARYJNA
(Mimořádná událost)
– reż. Jiří Havelka.
Prod. Czechy 2022.
Dystryb. Aurora Films.
W kinach.

Jiří Havelka (ur. 1980) to czeski reżyser, scenarzysta i aktor filmowy, a także twórca teatralny i telewizyjny. W kinie zwrócił uwagę komedią „Właściciele" (2019), nagrodzoną trzema Czeskimi Lwami i opartą na jego sztuce teatralnej. Opowiadając o zebraniu wspólnoty mieszkaniowej w jednej z praskich kamienic, ukazywał w krzywym zwierciadle różne warstwy społeczeństwa.

zaciążył na tej historii jego sceniczny rodowód, stąd bierze się hybryda literackich dialogów i takiegoż humoru z filmową jazdą po bandzie. Samej akcji w pociągu starczyłoby raptem na studencką etiudę, dlatego scenarzysta wypełnia ją szermierką słowną, złożoną także z aluzji do innych filmów, od „Dzikich historii" po „Lot 93". Szkoda, że chwilami bywa tak dosłowna, nastawiona bardziej na same wrzutki tytułów niż intertekstualne gry.

Są jednak momenty bardziej kreatywne, chociażby przywołanie „The Hurt Locker. W pułapce wojny". Albo gdy każdy z pasażerów w obliczu końca zaczyna wyznawać publicznie swoje przewiny – istna parodia kina katastroficznego. Trudno też zignorować scenę, w której przedstawiciel mało pobożnego narodu, wzięty na muszkę przez myśliwego, musi wyrecytować z pamięci „Ojcze nasz", żeby udowodnić, iż nie jest muzułmańskim zamachowcem. A wcześniej wytłumaczyć się z posiadania zbójeckiej lektury, czyli „Uległości" Houellebecqa.

Za to wszelkie metaforyczne pytania (kto powinien był zająć miejsce zaginionego maszynisty, dokąd zmierza pozbawiony steru pojazd i co właściwie miałaby oznaczać ta jazda na wstecznym) pozostają bez mocnego wybrzmienia i tym bardziej bez odpowiedzi. Ważniejsza okazuje się sama zabawa sytuacją, jaką jest uwięzienie w blaszano-tekturowej puszce, mniej lub bardziej komiczne zarządzanie kryzysem tudzież łagodne obśmianie ludzkich i narodowych przywar czy lokalnych stereotypów.

W czas wakacyjnych podróży koleją, jakże często traumatycznych cenowo, organizacyjnie i międzyludzko, całkiem udana „Sytuacja awaryjna" daje co najmniej chwilę wytchnienia. Jazda przez senną czeską prowincję, w rytm strażackiego umpa-umpa, mimo licznych niedogodności i kłopotliwego towarzystwa jest z pewnością dużo sympatyczniejsza niż u naszego przewoźnika. Jakkolwiek nawiązujące do zupełnie innej komedii zdanie „To, co było w pociągu, niechaj zostanie w pociągu" ciągle czeka u nas na filmowe rozwinięcie. A byłoby o czym kręcić i niekoniecznie w duchu Smarzowskiego czy Havelki. ©

Lektor:
Świat Świetlickiego

▪ *Marcin Świetlicki*
SIEROTKA (WIERSZE 2019-2022)
Wydawnictwo Wolno,
Lusowo 2023,
ss. 88.

Trzydzieści lat od książkowego debiutu, ponad czterdzieści lat pisania wierszy (bo debiutanckie „Zimne kraje" zawierały wiersze z całej dekady lat 80.). I kolejny rozdział coraz rozleglejszego tekstu, zespolonego nie tylko tematami i klimatem, ale też bezpośrednimi nawiązaniami. Jest tu „Polska 12" i „Polska 14", jest „Chmurka remix" i „Opluty, wersja ostateczna", a mroczny monolog nosi tytuł „Zimne kraje": „Ponownie staję się zwierzęciem, ale tym razem chorym zwierzęciem, młodzieńcze, fantazyjne wilkołactwo odpłynęło bezpowrotnie (...). Chorym zwierzęciem, siedzę w jaskini, w cieple, palę rękopisy, zdjęcia, usuwam wspomnienia...".

Czytam Świetlickiego ponad trzy dekady i jego świat – świat jego wierszy – stał się jakoś mój. Co nie znaczy, że oswojony – jest przecież groźny, czy raczej zagrożony przez ten drugi świat, zewnętrzny, który natrętnie czegoś się od nas domaga. „Nie otwieraj nikomu / to świat tutaj dzwoni, / namolny świat tutaj dzwoni, / chce koniecznie coś ci / zatrutego powiedzieć, / chce czegoś zabronić, / wcisnąć ulotkę / i pogrzebać w twoim / śmietniku / ciebie. / Pogrzebać ciebie. Ty / nie otwieraj nikomu".

Wiem, że nie znajdę tu łatwej pociechy, ale też nie będę narażony na pustosłowie, wytarte kalki językowe i mizdrzenie się. Będzie wiele zaskoczeń, czasem niemal rollercoaster, nie będzie natomiast nudy, fałszu i martwoty ani też ulegania modom (jak te wykpione w „Szkole poezji"). Zdrowa nieufność i dystans (jak w „Ludzinie": „A ludzi już widziałem. Nie polecam wcale"), anarchiczny stosunek do instytucji („Piosenka naiwna": „Państwo z zasady niestosowne jest"), czasem złość. I emocje, mocne, choć skryte pod maską ironii, jak w wierszu „Pół" – sami sprawdźcie, o czym to, bo temat ważny.

A dlaczego „Sierotka"? Odpowiedź w ostatnim wierszu tego zbioru, bardzo pięknym. „Jestem chłopcem z małego miasteczka. / Jestem chłopcem z małego ośrodka, / przez który przepływa rzeczka, / nazywa się Sierotka". Sierotka, miasteczko – małe? martwe? – one naprawdę istnieją, są czymś, co pozostaje i w czym się pozostaje, co niespodziewanie wraca. Na koniec zaś zacytujmy „Napisy końcowe": „I potem jeszcze żyli / o tyle o ile. / W tej bajce wystąpili / również inni ludzie / współistniejący / zazdrośnie". ©℗

OLGA

Drenda:
Rezerwat krzyku

Kilka lat temu zespół z Uniwersytetu Kalifornijskiego badał reakcje dzikich zwierząt na głosy człowieka i innych gatunków nietypowych dla danego miejsca. Żaby, na przykład, nie wywoływały szczególnej sensacji, jednak głos ludzki nieodmiennie płoszył pumy i wszelkie dzikie koty żyjące w okolicy. Odstraszała je nawet recytowana łagodnym tonem poezja, ale szczególną awersję odczuwały wobec amerykańskich komentatorów politycznych. Badacze doszli do wniosku, że to potwierdza status człowieka jako najgroźniejszego drapieżnika, który nawet szepcząc wiersz sieje grozę.

„Oho, ludzie chyba miewają odwrotnie", pomyślałam sobie. Oczywiście z analogiami do świata fauny trzeba ostrożnie. Kryje się bowiem w takich przykładach potencjał przypowieściowy. Nasze umysły, pracujące na baśniowych podzespołach mitologii, Ezopa, Perraulta i Krasickiego, już się palą, żeby przeinaczać nieintuicyjną, często nudną i złożoną rzeczywistość badań naukowych i dopasowywać ją do własnego sposobu postrzegania świata, tak by śmieszyły, tumaniły i przestraszały. Dość przypomnieć znane badanie Johna Calhouna dotyczące myszy, które ludzie nieufni wobec nowoczesności lubią przywoływać ku przestrodze – wbrew temu, o co w nim chodziło. Eksperyment dotyczył wpływu przeludnienia na mysią populację – okazywało się, że nawet zapewnienie optymalnych warunków życia nie równoważy negatywnych skutków życia na ograniczonej przestrzeni. Ktoś podjął jednak tę historię i zamienił w antysystemową przypowieść o niebezpieczeństwach dobrobytu: zobaczcie, jeśli będzie wam w życiu wygodnie, to skończycie jak te zgnuśniałe mysięta! Wielokrotne sprostowania samego pomysłodawcy eksperymentu oczywiście trafiały w ścianę obojętności, bo na tym świecie nie ma mocnych na logikę baśni. Kto ma potrzebę myśleć po baśniowemu, będzie to robić i nic go nie powstrzyma.

Zatem nie, ludzie nie są jak pumy. Tu koniec analogii. Natrafienie na wiadomość o badaniach nad głosem poprowadziło moją myśl raczej w stronę fenomenu „spontanicznych" komentatorów w mediach społecznościowych, ponieważ ci polscy coraz bardziej krzyczą i monologują, jakby chcieli stać się amerykańscy do sześcianu. Co ciekawe, odbiorcy chyba lubią, gdy się na nich lub przy nich krzyczy (dla podkreślenia wagi słów siłacz powinien palnąć pięścią w stół!). Wtedy komentator wydaje się najbardziej autentyczny.

Stworzenie wrażenia autentyczności to klucz. Najbardziej ceniony komentator to „człowiek znikąd", który „już nie wytrzymał i musiał to powiedzieć", „tylko dzieli się swoimi przemyśleniami" albo „zachęca do myślenia samodzielnie". Media społecznościowe tak kuszą ekspresową sławą i możliwością docelowego spieniężenia swoich dowolnych idiosynkrazji, że trudno mi uwierzyć, żeby ktokolwiek monologował do kamery jedynie sobie a muzom, ale to mniej istotne. Co to za opinie również nie ma znaczenia. Większość opinii, na szczęście, szybko przemija jak łzy w deszczu. Ciekawszy jest sposób, w jaki komentatorzy starają się je przekazywać, to, jak unoszą się z zapałem godnym lepszej sprawy.

Możliwe, że to ma coś wspólnego ze zwyczajem krzyczenia na telewizor. Zdarzało mi się kilka razy zaobserwować, jak telewidz, siedzący sam przed ekranem, wdawał się w zawzięty dialog z ludźmi za szkłem, zwykle mówiąc im, brzydkimi słowy, co mają robić albo co robią źle. Był to dialog połowiczny – nie monolog, bo przecież obie strony coś mówiły, ale zarazem tylko jedna słyszała. Dla rozognionego pasją komentowania (i mówienia tym durniom, tym baranom! do słuchu) nie ma to zwykle znaczenia.

Nakręceni gadacze z YouTube'a i z rolek są trochę pokrewni cholerycznym telewidzom i internetowa publika pewnie lubi ich dlatego, że krzyczą sobie za nich, w ich imieniu (bo jednak takie zachowanie mieści się w definicji tzw. robienia scen).

Oczywiście w bezpiecznych dawkach, bo to samo zachowanie – niekończące się, oburzone wyrzekanie i dzielenie się na głos swoimi pomysłami na świat – jest odpychające dla ludzi w pracy, na imprezie czy w środkach lokomocji. Niedawno czytałam artykuł amerykańskiej reporterki Amandy Petrusich o „końcu krzyczenia": kiedyś uchodziło za oznakę zdecydowania i pewności swoich racji, dzisiaj to najprostsza droga do zrobienia z siebie klauna. Kto podnosi głos w bezpośrednich kontaktach z innymi, staje się pariasem, człowiekiem niepoważnym.

„W kosmosie nikt nie usłyszy twojego krzyku", głosił słynny cytat z „Obcego". Ale na YouTubie usłyszy, i chyba tylko tam. Na żywo taki ktoś prosi się o wciśnięcie guzika „wycisz głos", tymczasem wystarczy pośrednictwo ekranu, żeby ludzie polubili coś, czego w tzw. realu nie cierpią. ©

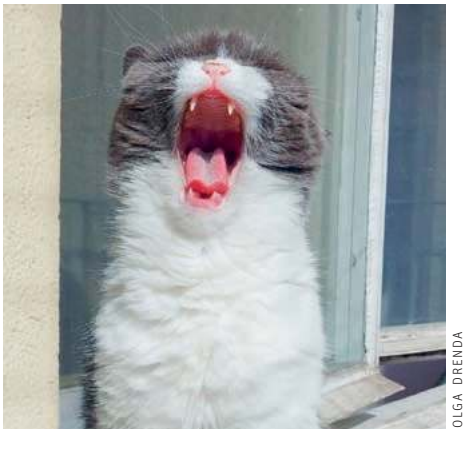

Aaaaaa AAAAA!

OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo:
Pierwsza potrzeba

Dwanaście liwrów to była cena, jaką wiosną 1775 r. byli gotowi zapłacić Francuzi za korzec pszenicy, podczas gdy kupcy żądali nawet trzydziestu. A mogli, bo świeżo upieczony król Ludwik XVI rok wcześniej, ulegając oświeceniowej modzie na racjonalizację świata, powołał na ministra skarbu imć pana Turgota, urzędnika i uczonego z grona tzw. fizjokratów. Z grubsza rzecz biorąc byli to ludzie przekonani, iż Bóg sobie życzy, by społeczeństwo mogło w sposób nieskrępowany działać w imię własnego zysku, a to zapewni najlepszą z możliwych, „fizjologiczną" równowagę w stosunkach ludzkich. Zawistne paryskie elity nie dały mu przepchnąć reform ustrojowych, tym bardziej z iście balcerowiczowskim zapałem zabrał się więc za urynkowienie wszystkiego, czego mógł dosięgnąć – na pierwszy ogień likwidując sieć restrykcji w obrocie zbożem i chlebem. Restrykcji oczywistych w oczach ludzi żyjących jeszcze w systemie ekonomii moralnej, gdzie monarcha, jako „pierwszy piekarz królestwa", winien zapewnić niezagrożony dostęp do chleba, a jeśli tego nie zapewniał, był to przejaw nieporządku, który uzasadniał wszelkie działania zmierzające do przywrócenia właściwej równowagi.

Reforma zbiegła się z wielkim nieurodzajem, a więc i spadkiem podaży, ale Turgot nie chciał ustąpić. Wybuchła tzw. wojna o mąkę, czyli fala ponad trzystu tumultów, również na przedmieściach Paryża. Ludwik musiał nawet na moment zwiać z Wersalu, istniała obawa, iż lud nie zadowoli się czyszczeniem królewskich magazynów. Mocny, zły omen na początek jego panowania zakończonego parenaście lat później definitywną wyprowadzką (do pałacu w Paryżu, a stamtąd rychło na szafot), wymuszoną tym razem przez kolejne rozruchy głodowe w październiku 1789 r. W naszych podręcznikach marsz wściekłych na drożyznę paryskich kobiet ciągnących armaty na Wersal pozostaje w cieniu lipcowego szturmu na Bastylię. Dopiero na fali „herstorii" próbuje się przywrócić proporcje, bo był to moment równie ważny, jeśli nie ważniejszy dla przebiegu rewolucji i ostatecznej rozprawy ze starym porządkiem.

Tymczasem w roku 1775, w trakcie wojny o mąkę, porządek jeszcze się trzyma, lud nie chce głowy króla-piekarza, tylko przywrócenia ładu, nie chce kraść, dlatego wynosząc zboże z magazynów stosuje *taxation populaire*, czyli opodatkowuje się sprawiedliwą miarą, zostawiając owe dwanaście liwrów za każdy wyniesiony samowolnie korzec. Z całej tej historii, którą opowiadam wam rzecz jasna w kontekście niedawnych francuskich rozruchów, ten moralny odruch mnie właśnie najbardziej uderza i wystaje z tła, bo tak poza tym wszystko wygląda znajomo. Nawet retoryka pamfletów, jakie w osiemnastym stuleciu pisano o motłochu miłującym chaos.

Nie chcę relatywizować, mówić „ten kraj tak ma" ani szukać na siłę analogii – ale pozwólmy się jeszcze przez moment prowadzić przez liczbę dwanaście, o tyle bowiem procent spadły przez ostatnie półtora roku wydatki Francuzów na żywność. Kto odpowie: „ci gówniarze kradli buty, nie chleb, a poza tym nie mają pojęcia, że żywność zdrożała, bo nie robią sami zakupów", nie rozumie, że w takich sprawach szukam korelacji, nie prostych związków przyczynowych. Niekoniecznie jedzą o dwanaście procent mniej, w rozwiniętych krajach istnieje pole manewru, gdy trzeba zdobyć tyle samo kalorii za mniejszą kwotę. Ale to jednak jest tąpnięcie, którego wagi nie wolno zlekceważyć. Odczuwalny wymiar psychiczny takich wyrzeczeń nie da się policzyć w euro – chyba że jako suma strat po tygodniu zamieszek.

O ile mniej da się kupić, żeby nie odczuć z piekącym upokorzeniem, że dramatycznie nam czegoś brak? Na ile jesteśmy w stanie zejść z jakości, gdy idziemy na targ z tą samą stówą co rok temu, a ceny o jedną trzecią wyższe? Czy kiedy za chwilę pojawią się na moim Placu na Stawach nieziemskie (choć przecież gruntowe) pomidory pana Grzegorza, już wcześniej drogie jak na moją kieszeń, to czy wyrzucę z koszyka coś innego, byle znów poczuć ich smak? Pomidory to nie chleb, nie „pierwsza potrzeba", zatem nie obejmuje ich ekonomia moralna (kiedyś wyśmiewana, dziś powracająca pod innymi nazwami). Ale może jednak dla mnie pierwsza? Inflacja i drożyzna weryfikują nam hierarchie potrzeb i przyjemności. I najbardziej boli, gdy potrzebą jest przyjemność. ©℗

ADOBE STOCK

Z prawdziwymi pomidorami, takimi mięsistymi jak np. bawole serca, da się wreszcie zrobić klasyk biednej toskańskiej kuchni na upał – sałatkę panzanella. To jedno z tych dań, gdzie jakość składników stanowi o wszystkim, dlatego także chleb ma znaczenie i musicie wybrać sobie najlepszy metodą prób i błędów (chyba że mieszkacie w Toskanii). Powinien być pszenny, nie na zakwasie, najlepiej jasny, zwyczajny polski lub od biedy bagietka. Cztery duże kromki chleba zanurzamy na parę minut w misce z wodą zakwaszoną octem winnym (proporcje kwasowości zależne od gustu), po wyjęciu rozkruszamy chleb palcami na drobne okruchy. Lepiej, żeby był czerstwy, bo nie powinien się nam rozpaść na papkę. Siekamy drobno 1 czerwoną cebulę, 1 świeży ogórek, 2 pomidory. Mieszamy i łączymy z chlebem. Solimy, polewamy oliwą i dodajemy szczodrze listki bazylii.

ZMYSŁY

INDIAŃSKIE LATO

Adam Fortunate Eagle, Czipewej z rezerwatu Red Lake, po wylądowaniu w Rzymie oświadczył, że „prawem odkrycia, obejmuje Włochy w posiadanie". Żartował.

BARTOSZ HLEBOWICZ

Książka o Indianach, w której wojny występują tylko jako zabawa chłopców, szkoła z internatem nie jest miejscem kaźni, lecz pogodnej młodości, a wychowankowie przywiązują się do nauczycieli i rosną na patriotów indiańskich i amerykańskich jednocześnie? Tak się przecież zazwyczaj nie opowiada o tubylczych Amerykanach. Gdy tylko „Pipestone" trafiła w moje ręce, wiedziałem, że muszę ją przetłumaczyć.

Autorem wydanej w USA w 2010 r. książki jest Czipewej z rezerwatu Red Lake w Minnesocie, który z wrażliwością i szczerością opisuje 10 lat nauki w jednej ze szkół dla Indian w latach 30. ubiegłego wieku. To wspomnienie tubylczego intelektualisty, który – płatając figla co bardziej wojowniczym obrońcom rdzennych Amerykanów, a także niektórym indiańskim aktywistom – serdecznie wspomina pobyt w szkole.

Edukacja za ziemię

„Włóżcie ich dzieciom do rąk elementarz i motykę, a one w sposób naturalny z czasem sięgną po pług, a kiedy oświecą się i otworzą ich umysły, ich książką stanie się Biblia, i wykształtują się w nich nawyki moralności i przedsiębiorczości, łowy na zwierzęta pozostawią tym, których umysły są mniej wyrobione, i staną się użytecznymi członkami społeczeństwa" – tak w 1818 r. komisja ds. Indian w Izbie Reprezentantów wzywała Kongres o pomoc w skierowaniu Indian na ścieżkę cywilizacji. Rok później Kongres faktycznie uchwalił Fundusz Cywilizacyjny, asygnując na potrzeby indiańskiej edukacji 10 tys. dolarów rocznie.

Jak zauważa David Wallace Adams, autor najlepszej bodaj rozprawy o edukacji dla Indian w USA (znamienny jest jej tytuł: „Education for Extinction", odnoszący się do edukowania w celu „wygaszenia" kultur indiańskich), urzędowa „filantropia" często była podszyta obłudą. Żeby to zrozumieć, trzeba cofnąć się o kilkanaście lat i przypomnieć powtarzaną przez prezydenta Thomasa Jeffersona tezę o konieczności ucywilizowania Indian. Jefferson proponował szczególny deal: Indianie oddadzą białym ziemię, w zamian biali obdarzą ich cywilizacją. Prezydent nazywał to „zbieżnością interesów", bo któż nie chciałby podnieść swojego statusu i z nieokrzesanego dzikusa przemienić się w kulturalnego czerwonego obywatela? Dla białych zaś obywateli młodego państwa „przestrzeń życiowa", a więc odbieranie terytoriów ludom tubylczym, była wręcz warunkiem przetrwania, politycznej niezależności i prężności społeczeństwa.

Meandry procesu „cywilizowania" były osobliwe. Ci, którzy rzeczywiście przyjęli obyczaje białego człowieka (m.in. tworząc własne szkoły), jak np. Czirokezi z Południowego Wschodu, szybko przekonali się, że ich starania poszły na marne, bo kiedy biały człowiek odkrył złoto na ich ziemiach, musieli je opuścić i powędrować na zachód od Missisipi. Z kolei Szaunisi w Ohio próbowali w desperackiej woj-

ANDY BARRON / AP / EAST NEWS

Adam Fortunate Eagle w swojej pracowni artystycznej w Fallon. Nevada, Stany Zjednoczone, 4 czerwca 2009 r.

nie, oczywiście przegranej, powstrzymać białych osadników, mających w nosie prezydenckie bajdy o cywilizowaniu dzikich, na poważnie biorących tylko tę część „umowy", która przewidywała odebranie Indianom ziemi.

Mimo to wysiłki na rzecz edukowania Indian nie ustawały. W drugiej połowie XIX w. filantropów ze Wschodniego Wybrzeża naprawdę przejął los osadzonych w rezerwatach Indian, często daleko od rodzinnej ziemi, a także bezduszne rozprawianie się rządu federalnego z tymi, którzy podejmowali dramatyczne próby powrotu do ojczyzny – jedną z nich uwiecznił w 1964 r. w filmie „Jesień Czejenów" John Ford, opowiadając o gehennie odłamu plemienia umieszczonego w Oklahomie i próbującego przedostać się do rodzinnego Wyoming. Niektórzy może pamiętają z powieści dla młodzieży „Indiański Napoleon Gór Skalistych" Arkadego Fiedlera historię exodusu ludu Nez Perce z Oregonu, który nie chciał się dać umieścić w rezerwacie.

Po tych wydarzeniach nauczanie dla Indian stało się poważnym i szczerym postulatem, choć oczywiście głoszonym w duchu paradygmatu epoki. Zasadzał się on na przekonaniu, iż wśród „dzikich" krzewić należy ideały protestanckiej Ameryki: indywidualną przedsiębiorczość i własność, wartość rodziny ze sztywnym podziałem ról mężczyzn i kobiet oraz przekonanie o „wspaniałości amerykańskiego przeznaczenia", jak ujął to historyk amerykańskiego szkolnictwa Carl F. Kaestle.

Ławki zamiast kręgu

„Problem indiański" rozwiązały w XIX stuleciu amerykańskie sądy – i usankcjonował ostatecznie Kongres w 1871 r. – które zawyrokowały, że osadzone w rezerwatach plemiona przechodzą oficjalnie pod kuratelę rządu federalnego, niczym sieroty potrzebujące prawnego opiekuna. Tę prawną ramę odzwierciedla też nastawienie, z jakim podchodzili do Indian biali edukatorzy pod koniec XIX w.: wychowawców, którzy ↦

↦ wiedzą lepiej, co jest dobre dla „indiańskich dzieci".

Do szczerych zwolenników polepszenia bytu Indian należał kapitan Richard Henry Pratt, weteran wojny secesyjnej, a potem walk z Indianami na Wielkich Równinach. W 1879 r. namówił sekretarza Departamentu Zasobów Wewnętrznych Carla Schurza (również uczestnika wojny domowej) do otwarcia szkoły zawodowej dla Indian w opuszczonym garnizonie wojskowym w Carlisle, w Pensylwanii. Pratt uważał, że rezerwaty, w których Indianie niejako siłą bezwładu podtrzymują stare zwyczaje, przeszkadzają im w integracji ze społeczeństwem. Dlatego indiańskie dzieci należało wyrwać z tego środowiska, żeby łatwiej przerobić je na amerykańskich obywateli. Kapitan był na swój sposób postępowy: lubił Indian, uważał, że kolor skóry nie ma znaczenia i że są oni równie pojętni, jak każda inna nacja.

Na początku Pratt skaptował około 140 uczniów z różnych plemion – ponad połowę stanowiły lakockie dzieci z rezerwatów w Rosebud i Pine Ridge w Dakocie Południowej. W Carlisle usiłował zmienić je w cywilizowanych ludzi m.in. poprzez obcinanie długich włosów, naukę języka angielskiego, różnych zawodów (chłopców uczono np. uprawy roli, stolarki i blacharstwa, a dziewczęta gotowania, prania i szycia), chrześcijaństwa oraz... muzyki (maszerująca indiańska orkiestra dęta z Carlisle zdobyła sławę na całym świecie). Wszystko w wojskowym drylu. Filozofię edukacyjną Pratta streszcza ukuty przez niego slogan: „zabić Indianina, ocalić człowieka". Warto jednak pamiętać, że cały ten pruski system, płciowo przypisane umiejętności, a także program nauczania nie były czymś wyjątkowym, zawarowanym tylko dla Indian, lecz standardem edukacyjnym w wiktoriańskiej Ameryce. Placówka Pratta była inspiracją dla kolejnych szkół z internatem dla Indian w USA, wśród nich Pipestone, założonej zaledwie cztery lata później.

Wspomnienia odwrotnego wojownika

W 1933 r. komisarzem ds. Indian został John Collier, wątpiący w kapitalizm idealista, który wcześniej zakładał ośrodki edukacyjne w Nowym Jorku. Indian poznał w Taos, w Nowym Meksyku, i zafascynował się wspólnotowym charakterem ich kultury, podobnie jak inni ówcześni reformatorzy-przyjaciele Indian, wabieni magnetyzmem Południowego Zachodu i „pierwotnych" kultur tubylczych. Collier, pozostający komisarzem aż do 1945 r., realizował politykę Nowego Indiańskiego Ładu, która zasadzała się na przekonaniu, że zachowanie przez tubylców odrębnych zwyczajów nie musi być sprzeczne z integracją do amerykańskiego społeczeństwa. Filozofia Pratta zresztą już od dawna była krytykowana, a on sam musiał odejść z Carlisle w 1904 r., 14 lat przed zamknięciem szkoły.

Właśnie w latach 30. i 40. dzieje się akcja „Pipestone", historia opowiedziana przez Adama Nordwalla (dziś nosi nadane mu przez Indian Wrony imię Fortunate Eagle), Czipeweja. Szkoła, w której spędził dzieciństwo, znajdowała się nieopodal miasteczka Pipestone, w pobliżu słynnego parku – „pomnika narodowego", w którym Indianie po dziś dzień wydobywają katlinit, miękki czerwono-brązowy kamień do wyrobu świętych fajek i innych przedmiotów.

> Wspomnienia pełne są opisów wypraw w plener, **polowań na króliki i bażanty, wycieczek do kina,** gdzie chłopcy oglądali filmy z Indianami i kowbojami, czasem nieopatrznie biorąc stronę białych.

Autobiografia Fortunate Eagle'a jest nie tylko pasjonującym dokumentem epoki, dającym wyjątkowy wgląd w życie w szkole dla Indian, ale też po prostu dobrą literaturą.

„Pipestone" to szczególny rodzaj wspomnień, spisanych 65 lat po zakończeniu nauki w szkole. Autor przyjął znakomitą strategię pisarską: „Postanowiłem opowiedzieć o życiu w internacie, tak jakby to zrobił chłopiec, którym wtedy byłem, jako narrator w pierwszej osobie. Zdecydowałem się na język pośredni – ani niezbyt dziecinny, ani niezbyt uczony. Zależało mi na wiernym opowiedzeniu tej części mego życia, tak jak go doświadczałem". Zdaje sobie sprawę, że doświadczenia innych – w Pipestone i gdzie indziej – bywały bardziej dramatyczne, i nie usiłuje narzucić swoich ocen. Ale też stawia tamę krytykom, zapowiadając we wstępie, że gotów jest wysłuchać polemik tylko ze strony tych, którzy są równie starzy jak on i sami uczyli się w szkole z internatem.

Od pierwszych stron narrator wzbudza sympatię, dzięki subtelności, z jaką wspomina oderwanie od matki (po śmierci ojca nie była w stanie utrzymywać licznej rodziny) i pierwsze dni pobytu w obcym miejscu; dzięki humorowi opisów szkolnych przygód oraz wnikliwości spostrzeżeń.

Historia Fortunate Eagle'a jest niebanalna, wymyka się schematom i stereotypom. Dowiadujemy się, że nie wszystkie szkoły dla Indian w USA były jednakowe, że od czasów Pratta przeszły ewolucję i że doświadczenia tubylczych dzieci w USA bywały zgoła odmienne od horrorów, które czekały na tubylcze dzieci w tzw. szkołach rezydencjalnych w Kanadzie, prowadzonych przez Kościoły katolickie i protestanckie. Warto też pamiętać, że większość dzieci tubylczych w USA chodziła do regularnych szkół publicznych, a tylko nieco ponad jedna trzecia do szkół z internatem.

Autor jest, jak celnie zauważa w posłowiu wybitny historyk amerykański Laurence M. Hauptman, typem „odwrotnego wojownika" – „który zawsze podaje w wątpliwość to, co inni przyjmują bez zastrzeżeń", i który wręcz rozkoszuje się naigrawaniem się z naszych uprzedzeń. W późniejszych latach Fortunate Eagle był pomysłodawcą takich głośnych eventów, jak okupacja przez „Indian Wszystkich Plemion" opuszczonego więzienia na wyspie Alcatraz w latach 1969-71 czy deklaracja, po wylądowaniu w Rzymie, iż „prawem odkrycia obejmuje Włochy w posiadanie". A podczas spotkania z papieżem Pawłem VI uniknął ucałowania papieskiego pierścienia, zamiast tego wyciągnął do papieża własną dłoń z pierścieniem. Papież uśmiechnął się i klasnął w dłonie.

Ale ostrze dowcipu (czyli inteligencji) „odwrotnego wojownika" Fortunate Eagle potrafi skierować w każdego. W „Pipestone" nie ma skargi na przymusową asymilację, dzieci nie są porywane z domów przez stróży prawa i siłą zawożone do placówek edukacyjnych – sami rodzice oddają je do szkoły, bo wiedzą, że tam będą miały lepsze warunki niż w rezerwacie

(przypomnijmy, że akcja zaczyna się w czasie Wielkiego Kryzysu). Szkolni wychowawcy nie znęcają się nad dziećmi (aczkolwiek kary cielesne są na porządku dziennym), indiańscy chłopcy i dziewczęta nawiązują przyjaźnie, dzieci nie są karane za mówienie w rodzimych językach, lecz... za przeklinanie.

Wbrew stereotypowym wyobrażeniom, dzieci nie są odbierane rodzinom na wiele lat, lecz co roku wracają do domu na wakacje – o ile rodziny stać na ich utrzymanie. Nie są też zamknięte w internacie jak w więzieniu: wspomnienia Adama pełne są opisów wypraw w plener, polowań na króliki i bażanty, chłopięcych wycieczek do miasteczka Pipestone, gdzie w kinie oglądali kroniki wojenne czy filmy z Indianami i kowbojami, czasem nieopatrznie biorąc stronę białych...

Adamowi i jego kolegom praca i nauka w szkole – jak przyznają po latach – pozwoliła odnieść sukces w dalszym życiu. „Nigdy nie miałem problemów ze znalezieniem roboty. W szkole z internatem poznałem tyle zawodów, że bez trudu dostawałem pracę", zwierzył się po latach Adamowi Percy Powless, Oneida z Wisconsin, inny absolwent Pipestone.

Indiańscy bohaterowie

Większość z nas, przyzwyczajonych do opowieści o ucieczkach indiańskich dzieci ze szkół, uderzać musi fakt, że Adam, owszem, na swój sposób też uciekł, ale z domu... do szkoły, na ostatni rok w Pipestone, kiedy okazało się, że matka zapisała go do innej, bliższej. „Chcę skończyć szkołę w Pipestone. Dorastałem z tymi dzieciakami. To moi przyjaciele i chcę ukończyć szkołę razem z nimi" – oświadczył. „Gdybym miał zacząć życie od nowa, chciałbym znowu trafić do Pipestone" – wyznaje najbliższy przyjaciel Adama, Joe Crown, Czipewej z Leech Lake, innego rezerwatu w Minnesocie. A wychowawczynię, panią Burns, wszyscy chłopcy uważają za drugą matkę. Nawiasem mówiąc, ona też jest Indianką, córką wodza plemienia Peoria. O relacjach maluchów z opiekunami wiele mówi przezabawne wspomnienie o tym, jak jeden z uczniów pyta panią Burns, czy jest indiańską księżniczką, ona zaś reaguje śmiechem.

Z „Pipestone" dowiadujemy się o efektach ubocznych edukacji dla Indian, których nie przewidział Pratt, skupiony na przekuwaniu Indian w białych. Dzięki kontaktowi z innymi dziećmi Adam uczy się o historii i zwyczajach innych plemion – tak kiełkowało poczucie międzyplemiennej wspólnoty, które historycy nazwali później „panindianizmem". Dwaj inni wychowankowie szkoły w Pipestone, Dennis Banks i Eddie Benton-Banai, zakładali Ruch Indian Amerykańskich (AIM), który od 1968 r. walczy o polityczne prawa Indian. Narrator dostrzega także wady i ograniczenia systemu edukacji dla Indian: zastanawia się, dlaczego indiańskie dzieci muszą się uczyć o białych odkrywcach, pionierach i oficerach. Wskazuje, że Kolumb, Daniel Boone czy Kit Carson nie mogą być bohaterami tubylczych Amerykanów. „Oni są bohaterami Ameryki, bo walczyli z Indianami".

Prawdziwymi bohaterami są np. czterej starsi bracia Adama (wszyscy odebrali edukację w Pipestone), którzy po 1939 r. zaciągnęli się do wojska i walczyli na różnych frontach II wojny światowej, otrzymali liczne odznaczenia wojskowe za odwagę i poświęcenie, a w uznaniu ich zasług 23 marca 1998 r. na Kapitolu wywieszono flagę.

ARCHIWUM AUTORA

Alton Nordwall, brat Adama, nosił łańcuszek do zegarka, ale bez zegarka. 1941 r.

Wielkie i małe narracje

„Pipestone" nie jest więc pochwałą systemu szkół dla Indian, ale pozwala nam zrozumieć, że system ewoluował, że szkoły w czasach Pratta i późniejsze różniły się, i wreszcie że wychowawcy i dyrektorzy różnili się między sobą. Wspomnienia Adama Fortune Eagle'a nie zamazują faktu, że przez dekady szkolnictwo dla Indian było niedofinansowane, a wielu urzędników było skorumpowanych, albo że sam pomysł na ucywilizowanie Indian wziął się z bałamutnego przekonania o ich niższości.

Książkę należy odczytywać raczej jako przestrogę, że tworząc „wielkie narracje" (typu: szkoły dla Indian niezmiennie oznaczają kaźń i upodlenie) niesłusznie zagłuszamy „mniejsze narracje", które mogą zawierać szczęśliwe dzieciństwo, wzajemny szacunek dzieci i nauczycieli. „Nic nie jest czarno-białe – zdaje się mówić odwrotny wojownik Fortunate Eagle – a schematy konstruowane, obojętne, w dobrej czy złej wierze są jednakowo szkodliwe". © BARTOSZ HLEBOWICZ

Adam Fortunate Eagle,
PIPESTONE. ŻYCIE W SZKOLE Z INTERNATEM DLA INDIAN,
przeł. Bartosz Hlebowicz,
Wydawnictwo Tipi, Wielichowo 2023

STANISŁAW

Mancewicz:
O montażu

Ludzie lękają się, że sztuczna inteligencja zabierze im pracę, zastąpi ich w podejmowaniu decyzji kluczowych dla świata, ale przede wszystkim – decyzji dużych i małych, rodzinnych i domowych. Coraz częściej tu i ówdzie możemy obejrzeć filmy bądź usłyszeć głosy wyprodukowane przy jej udziale i rzec trzeba, że włos się człowiekowi jeży.

Jeży, bo zaiste byle robot umie już dziś wygłosić dowolną frazę, dowolnym, dajmy na to naszym własnym, identycznym głosem, na dowolny temat. Jest to o tyle przejmujące, że zaraz zatrze się różnica pomiędzy tym, co rzeczywiste, a rzeczywistością wykreowaną. Pomiędzy tym, co naprawdę powiedzieliśmy, a tym, co inni nam włożą w usta. Ktoś powie, że i tak od dawna tej różnicy prawie nie widać, ale jest to jednak przesada. No więc rzeczywiste zatarcie będzie bardzo bolesne, boleśniejsze niż to, co się teraz wydaje ludziom mało zorientowanym, a przestraszonym.

Myślą oni mianowicie, że sztuczna inteligencja pozbawi ich pensji albo zagnieździ się w mieszkaniu. Że będzie ona od rana do wieczora leżeć na kanapie, w jakby niewypranym podkoszulku, będzie oglądać publiczną telewizję. Z niej będzie się uczyć wulgarności, kłamstwa i chamstwa i owe umiejętności zastosuje wobec nich, to znaczy wobec każdego z nas, jak tu i teraz ponuro siedzimy. Że będzie ona – sztuczna inteligencja – od rana nam rozkazywać. Zrób to, tamto, a teraz, powiada, czyń siamto. Przynieś, podaj, pozamiataj. Że może wymagać od nas zbyt wiele, że z wrodzonego, genetycznie wszczepionego sadyzmu każe nam zanadto główkować. Dodawać, odejmować, dzielić, potęgować albo pierwiastkować. Że każe nam napisać list intencyjny albo zapytanie ofertowe dla zabawy, albo każe nam napisać *curriculum vitae*, ale zaiste będzie ono jeszcze bardziej skłamane niż spis patriotycznych zasług Jarosława Kaczyńskiego z Mateuszem Morawieckim razem wziętych. Albo każe nam rymować, albo – co gorsze – każe nam napisać wiersz biały. Powieść, kryminał, hymn na cześć Beaty Szydło, każe nam rozwiązać jakąś starotestamentową zagadkę bądź opowiedzieć dzieciom na dobranoc coś cacanego o biskupie Jędraszewskim. Albo każe nam się – ni stąd, ni zowąd – rozdziać do rosołu, zrobić sobie tzw. *selfie* i posłać je do urzędu skarbowego mailem. Dla hecy. A jak się nie zgodzimy, to ona – sztuczna inteligencja – i tak nam taką fotkę wykombinuje, i wyświetli ją podczas obrad parlamentu na tablicy z wynikami głosowań. Albo że będzie na nas wrzeszczeć, wyzywać nas od hitlerowców bądź lewaków i paląc nasze papieroski, każe polecieć po piwko. Że tak będzie. Tego się boimy, i słusznie. Te wyjęte teraz z rękawa, bardzo przykre przygody są oczywiście do wyobrażenia, ale jakoś do przeżycia będzie jednak gorzej.

Wmontowanie naszego wizerunku w najkoszmarniejsze dla nas sytuacje, miejsca, krajobrazy i towarzystwo jest realne. Już się dzieje. A jest to tak koszmarne, że najkoszmarniejsze sny są przy tym bajką dla grzecznych dzieci. W ciągu ostatnich dni obejrzeliśmy nieco takich – ogólnie dostępnych – materiałów. Na razie występują w nich politycy i choćbyśmy ich szczerze bardzo nie lubili, to rzec trzeba, że współczujemy. Zresztą na razie zorientowanie się, czy mamy do czynienia z mniej lub bardziej chamskim żarcikiem, nie jest takie trudne. To chwilowe. Koty za płoty. Nieodległa przyszłość będzie wypełniona rzeczywistą nierzeczywistością i zaiste nie bardzo wiadomo, jak się do niej przygotować.

Optymiści powiadają, że zawsze będzie się dało odróżnić to, co prawdziwe, od sfałszowanego, ale jest to marzenie ściętej głowy, nierzeczywistość bowiem będzie dążyć do rzeczywistości. Ktoś powie, że się teraz egzaltujemy i unosimy, że myśl nasza gorączkuje i się chorobowo zmienia. Oby był to tylko taki problem. Przed nami wybory i kampania, nieograniczone możliwości technologiczne i staroświecka, podniszczona ludzka percepcja w różnym wieku. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

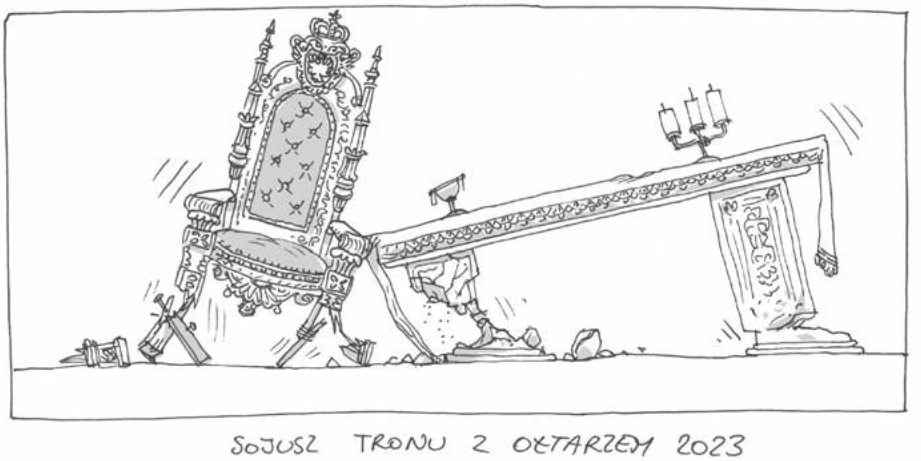

Weź urlop na czytanie!

26 rozmów z pisarkami i pisarzami.

JUŻ W SPRZEDAŻY!

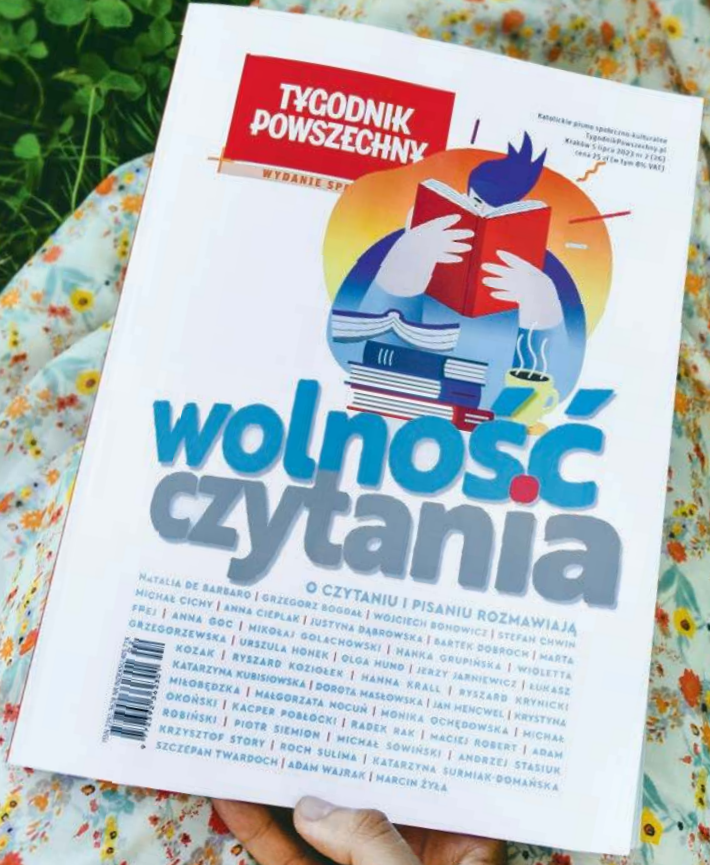

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

WSPÓŁWYDAWCA:

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA:

Kraków

ERGO HESTIA

PRZE KRÓJ fundacja

ZAKAMARKI

REKLAMA

ORGANIZATOR Prestige MJMI

BILETY BILET SERWIS